**SAGA O LUDZIACH LODU  
Tom XXIX  
Miłość Lucyfera**

Margit Sandemo

ROZDZIAŁ I

Dimmuborgir... Tak brzmi nazwa pewnej okolicy w północnej Islandii, owianej tak niesamowitą, mistyczną wprost sławą, że wywołuje lodowaty dreszcz grozy nawet u najbardziej racjonalnie myślących ludzi. Dosłownie nazwa ta znaczy: „czarne grodzisko”, a jeśli się tam przybędzie w mglisty lub deszczowy dzień, łatwo odnieść wrażenie, że zostaliśmy rzuceni w najbardziej przerażający świat baśni. Cała okolica pełna jest dziwacznych, groteskowych niekiedy formacji kamiennych, porośniętych mchem skał nasuwających przypuszczenie, że to właśnie tutaj trolle przemieniły się w czarne głazy tamtego dnia, gdy dosięgły je promienie słońca, lub że kiedyś, u zarania dziejów, zostały zalane gorącą lawą wulkaniczną i tak zastygły.

Dimmuborgir leży w terenie wymarłym. W najbliższym sąsiedztwie znajduje się równie mistyczne, osobliwe pod każdym względem jezioro Myvatn i wciąż bulgoczące bagniska Namaskard. Ludzi w pobliżu Dimmuborgir mieszka niewielu. Surowy i ubogi krajobraz otacza „czarne grodzisko”; niedaleko stąd do groźnych gór, które mogą w każdej chwili, znienacka, ocknąć się z uśpienia i ciskać w powietrze słupy ognia i rozpalonej Iawy.

Pośród skał Dimmuborgir czają się śmiertelnie niebezpieczne groty i głębie wypełnione czarną, połyskliwą wodą, której temperatury nie zna nikt. W niektórych miejscach, gdzie ciśnienie jest znaczne, dochodzi podobno do trzystu stopni, w innych można sobie pozwolić na rozkoszną ciepłą kąpiel. Jak okiem sięgnąć, wśród wzniesień koło jeziora Myvatn igrają wzbijające się wysoko kłęby pary. A wszystko to tchnie wspaniałą, porażającą urodą, przywodzącą na myśl zamierzchłe czasy gdzieś z początku świata, kiedy nie istnieli jeszcze ani ludzie, ani zwierzęta, a jedynie nieme głazy, i gdy wichry hulały tam i z powrotem po bezkresnych pustkowiach.

Pewnej wiosny gdzieś w połowie dziewiętnastego wieku w Dimmuborgir rozegrały się ponure wydarzenia. Nikt by już teraz nie potrafił powiedzieć, kiedy się to dokładnie zdarzyło — chyba pomiędzy rokiem 1840 a 1870 — ani co to konkretnie było. Przetrwały tylko głuche wieści przekazywane z ust do ust.

Ludzie mieszkający w pobliżu Myvatn mówili o jakimś strasznym niepokoju, opowiadali o przelatujących nad okolicą wielkich chmarach krzyczącego ptactwa. Najwięcej jednak wiedziało paru mężczyzn, którzy w tym czasie podróżowali przez pustkowia na małych, ale bardzo silnych islandzkich konikach. Za bardzo do Dimmuborgir się owi jeźdźcy zbliżyć nie mogli, powiadano. Coś jednak tam dostrzegali, a konie stawały dęba i szarpały się niespokojnie, tak że trudno je było utrzymać w cuglach.

Od tego punktu poszczególne opowieści już się bardzo od siebie różnią. Jedni mówią, że jeźdźcy widzieli ogromne chmary spłoszonego czarnego ptactwa kołujące nad okolicą. Inni twierdzą, że były to strzelające w górę purpurowe płomienie ognia, które barwiły na czerwono formacje zastygłej lawy, jeszcze inni upowiadają o drganiach powierzchni ziemi albo o strasznym, bolesnym krzyku, wydobywającym się z jej wnętrza.

Jeśli chodzi o wybuchy ognia i trzęsienie ziemi, to w tej okolicy nie jest to nic nadzwyczajnego. Być może więc zdarzyło się tu jakieś zwyczajne trzęsienie ziemi, ubarwione dodatkowo w podaniach. Takie opowieści na ogół z latami rozrastają się i nabierają grozy.

Czy zatem istnieją puwody, by dawać wiarę pogłoskom o wydarzeniach w Dimmuburgir?

Nie byłoby powodu, gdyby nie ten głęboki towarzyszący upowiadaniom lęk. To nie był zwykły niepokój, jaki na ogół poprzedza wybuch wulkanu czy gejzeru, to coś poważniejszego, twierdzą ludzie. Coś dotyczącego głębi człowieczej duszy.

Ale nie stało się potem nic, co mogłoby zagadkę wyjaśnić. Choć nie dla wszystkich. Niektórzy wiedzieli...

Ogień trzaskał wesoło, w pokoju było miło, ciepło i przytulnie, jak w całym domu Kola i Anny Marii Simonów, którzy mieszkali niedaleko Varnberg w Upplandii. W tę popołudniuwą godzinę Anna Maria w dogasającym świetle dnia cerowała skarpetki. Jej córka Saga siedziała przy niej i jak zwykle czytała. Kola nie było, wyjechał załatwić jakieś sprawy dla młodego Axela Oxenstierny, właściciela Varnherg, który najczęściej przebywał w Sztokholmie, gdzie piastował godność ochmistrza następcy tronu. Znaczna część prac w posiadłości Varnberg spadała w związku z tym na Kola Simona. Zresztą teraz coraz mniej, bo Kol nie był już taki młody, wciąż jednak lubił być użyteczny. Axel Oxenstierna rozumiał to bardzo dobrze.

Saga w pełni zasługiwała na swoje imię. Szwedzkie słowo „saga” znaczy bowiem tyle co baśń.

Jako dziecko wyglądała jak mała księżniczka z bajki. Kruczoczarne włosy układały się jej w piękne loki; karnację odziedziczyła po swoim walońskim ojcu, Kolu. Tylko oczy miała inne. Oczy Kola były takie brązowe, że sprawiały wrażenie czarnych, Saga natomiast oczy miała jasnozielone. Nie kocio żółte, jak u obciążonych dziedzictwem Ludzi Lodu, ponieważ Saga należała do wybranych, nie do przeklętych. Wszyscy wiedzieli o tym od jej urodzenia, choć nikt nie umiał powiedzieć, po czym to się mianowicie poznaje, że ktoś został wybrany. Może otacza ich jakaś specjalna aura, którą ludzie wyczuwają, choć jej nie widzą?

Oczywiście ta sytuacja bardzo martwiła Simona i Annę Marię. Wybrani mieli zawsze jakieś konkretne powołanie, musieli wypełnić określone zadanie, gdy ich czas nadejdzie. Przynosili też ze sobą na świat specjalne, potrzebne do spełnienia tego, co zostało im przeznaczone, zdolności. Zazwyczaj było to zadanie bardzo trudne, które mogło kosztować ich wiele, niekiedy nawet życie. Dlatego Kol i Anna Maria żyli w niepokoju.

Saga osobiście nie żywiła takich obaw. Dziewczynka przyjmowała życie z ogromną godnością i powagą, która jej rodziców napełniała dumą, ale też czasami przerażała. Była dzieckiem niezwykle żądnym wiedzy, nieustannie zadawała to samo pytanie: „dlaczego?”, co rodziców doprowadzało niekiedy do rozpaczy, ale odpowiadali najlepiej jak umieli. Na szczęście Anna Maria była osobą bardzo oczytaną, w młodości pracowała przecież jako nauczycielka, a i później nie zarzuciła studiów i lektury dla własnej przyjemności.

Saga była też dzieckiem w widoczny sposób wolnym od lęku. Po prostu nie wiedziała, co to strach, i dlatego trzeba jej było bardzo pilnować, bo wciąż popadała w sytuacje niebezpieczne nawet dla życia. Poza tym była nieskończenie dobra, wciąż zaniepokojona, czy kogoś nie uraziła, wciąż zatroskana tym, by wszystkim ludziom i zwierzętom wiodło się jak najlepiej. Ale najważniejszej cechy, mianowicie tej dominującej w jej charakterze osobistej godności, poczucia własnej wartości, wielu ludzi nie dostrzegało. Sprawiała wrażenie istoty spokojnej, lecz chłodnej, do czego przyczyniały się zwłaszcza jej zielone, zimne oczy. Obcy uważali ją często za małą hrabiankę, która z rezerwą odnosi się do innych ludzi, wyniosłą i sztywną. Ale to nie była prawda. Saga miała na przykład bardzo subtelne poczucie humoru, które dawało o sobie znać w jej spojrzeniu, choć rzadko wywoływało uśmiech na wargi. Uśmiechała się tylko czasami, a i to jedynie kącikami ust. Natomiast jej szybkie, błyskotliwe repliki świadczyły i o poczuciu humoru, i o bystrej inteligencji.

Czarować natomiast nie umiała wcale.

Jako dziecko była niczym księżniczka z bajki, to prawda. Jako kilkunastoletnia panienka była już pięknością przede wszystkim dzięki ciemnej karnacji.

Teraz Saga miała już szesnaście lat. Wciąż jeszcze nie przestała pytać „dlaczego”. Wciąż jej ciekawość była nienasycona.

Podniosła oczy znad książki i zmarszczyła swoje przypominające skrzydła brwi.

— Mamo, kim jest Lucyfer?

Anna Maria zakończyła cerowanie, starannie zwinęła skarpetkę i odłożyła do koszyczka. Jej ciemne włosy byłyjuż teraz mocno przyprószone srebrem, bo urodziła córkę późno, teraz była kobietą pięćdziesięciopięcioletnią.

— Kim był Lucyfer, chciałaś zapytać. Bo przecież on nie istnieje. Ludzie mają co prawda zwyczaj nazywać różnego rodzaju drani właśnie jego imieniem, ale to tylko przezwisko.

— Tak, no właśnie. Tak też jest napisane w książce: „Czyś ty oszalał? Zachowujesz się jak Lucyfer, ty nędzniku”!

— Tak — rzekła Anna Maria, zastanawiając się nad słowami córki. — Mimo wszystko to jest trochę niesprawiedliwe w stosunku do prawdziwego Lucyfera...

— Chciałabym wiedzieć coś więcej.

Anna Maria uśmiechnęła się z czułością. Kiedyż to Saga nie chciałaby wiedzieć więcej? Patrzyła na czysty profil córki, podziwiała jej śliczną cerę i pomyślała sobie, że mogłaby umrzeć z miłości dla tej istoty, jej jedynego dziecka.

— Wiesz, oczywiście, Sago, że z biegiem czasu wokół postaci wymienianych w Biblii narosło wiele legend, podań i mitów. I tak się też stało z Lucyferem.

— Ale kim on właściwie był?

Anna Maria na moment zmarszczyła czoło.

— Bardzo trudno jest go ściśle określić, bo występował pod wieloma postaciami i miał wiele imion. Gdyby się chciało odtworzyć jego możliwie najpełniejszy wizerunek, należałoby cofnąć się do Koranu, w którym, jak wiesz, występuje wiele osób i postaci biblijnych.

Saga odłożyła książkę, przysunęła stołeczek bliżej kominka, skuliła się obejmując ramionami kolana, gotowa słuchać. Matka była dla niej najważniejszym źródłem informacji o świecie.

Anna Maria mówiła dalej:

— A kiedy się już zbierze wszystkie poświęcone mu fragmenty Biblii i Koranu, a także związane z nim mity, to wyłoni się z tego mniej więcej taki obraz: Pan miał wielu aniołów. Dla uproszczcnia będę mówić o Panu, choć czasami chodzi tu o Boga, a czasami o Allacha.

Saga skinęła głową na znak, że tak będzie lepiej.

— Pan, ów najwyższy, dał Lucyferowi, lub Azazelowi, jak nazywa go Koran, najwspanialszą postać i wyznaczył go na najwyższe stanowisko wśród aniołów.

— A więc on był aniołem?

— Tak. Został wyznaczony do czuwania nad firmamentem niebieskim i tak się z tego zadania znakomicie wywiązywał, że Pan uczynił go też skarbnikiem w Edenie.

Lucyfer należał do takiego rodu anielskiego, który zostały stworzone z pustynnego ognia. Wszystkie anioły zostały stworzone z ognia, także i ten ród. Lucyfer jednak powstał z płomienia bez dymu, takie płomienie pojawiają się tylko na krańcach palącego się ognia. Różnił się więc nieco od pozostałych. W Koranie anioły tego rodu nazywane są dżinnami.

Potem Pan stworzył Ziemię. Pierwszymi istotami, którym pozwolił na niej zamieszkać, były właśnie dżinny. One jednak nie umiały żyć w pokoju, mordowały się nawzajem, a ich krew spływała na ziemię i zatruwała ją. Wtedy Pan zesłał na ziemię Lucyfera na czełe oddziału aniołów. Lucyfer prowadził prawdziwą wojnę przeciwko dżinnom, a potem poumieszczał ich na morskich odległych wyspach albo w górach, gdzie nikt nie bywał.

To właśnie wtedy Lucyfer nabrał przekonania, że jest i piękniejszy, i lepszy od innych aniołów. Dokonał wielkiego czynu i nie był w stanie o tym zapomnieć.

Saga chłonęła opowieść wszystkimi zmysłami. Legendy i baśnie interesowały ją zawsze najbardziej.

— W końcu Pan stworzył z gliny człowieka. Ktoś bowiem musiał mieszkać w Raju, który opuściły dżinny. Pan rozkazał wszystkim aniołom, by czciły tego człowieka, któremu nadał imię Adam. Lucyfer jednak odmówił. Miałby on, najwybitniejszy z aniołów, szanować istotę, stworzoną z gliny?

Pan odparł na to: „Zważ, że to ja go stworzyłem, własnymi rękami. Masz czcić wszystko, co stworzyłem!”

Lucyfer, a trzeba tu powiedzieć, że imię to oznacza: „nosiciel światła” uparcie odmawiał, za nic nie chciał paść przed Adamem na kolana. Odparł z pychą: „Jestem dużo więcej wan niż on, jestem też od niego starszy i obdarzony znacznie większą siłą. Stworzyłeś mnie z bezdymnego ognia; czemu miałbym szanować stworzenie ulepione z prochu?”

Pan nie chciał tego słuchać, był zagniewany, bo słowa Lucyfera znaczyły dobitnie, że samego Pana także czcić nie zamierza, skoro nie chce okazywać podziwu jego dziełu. To bardzo oburzyło Pana, który nigdy nie tolerował obok siebie innych bogów.

Anna Maria na pewno by w ten sposób nie mówiła, gdyby Kol był w domu. On bowiem należał do najbardziej żarliwych katolików, co zarówno żona, jak i córka respektowały, uważały zresztą, że to bardzo piękna strona jego natury. Anna Maria co prawda także co niedziela chodziła do kościoła i w samotnych chwilach modliła się do Boga, ale mimo to nie mogła wyzbyć się pewnego niedowierzania i podejrzliwości przynajmniej w odniesieniu do niektórych dzieł Stwórcy. Teraz ciągnęła dalej swoją opowieść:

— Dlatego Pan powiedział do Lucyfera: „Twoja pycha i nieposłuszeństwo staną się przyczyną twego upadku. Od tej chwili pozbawiam cię wszystkich dóbr!” Po czym strącił Lucyfera w otchłań.

— Aha! — rzekła Saga. — To ja teraz rozumiem!

— Otóż to! Lucyfer stał się Szatanem. Koraniczny Azazel przemienił się w Eblisa. Zwróć uwagę na to ostatnie imię: Eblis — Diabeł, to jest to samo słowo.

— Tak, rozumiem — potwierdziła Saga.

— Taki jest główny wątek opowieści o Lucyferze, ale oprócz tego istnicje mnóstwo legend i mitów. O tym, jak jego piękna powierzchowność z czasem się zmieniała, aż stał się odpychającym potworem. Portretując go artyści wszystkich czasów czerpali inspirację z podobizn orientalnych demonów i przedstawiali jego oblicze jak najokropniej. Tak groteskowo, jak to tylko możliwe, a ludowe wierzenia na ten temat także rozkwitały bujnie.

— Czy chrześcijaństwo zawsze pożyczało tak wiele z innych religii?

— Wszystkie religie pożyczają od siebie nawzajem, to nieuniknione. Weź na przykład opowieść o potopie! Istnieje ona w sumeryjskim i babilońskim Poemacie o Gilgameszu, i to jako opis prawdziwego, historycznego wydarzenia. Stamtąd zapożyczył ją Stary Testament jako własną opowieść. Utnapisztim został w nowszej wersji nazwany Noem.

Saga uśmiechnęła się leciutko tym swoim uśmiechem, którego raczej należało się domyślać.

— To było w nawiasie. Wracajmy do Lucyfera!

— Otóż to. Lucyfer stał się zatem złą mocą chrześcijaństwa i islamu. A ludzie wprost prześcigają się w pomysłach, żeby wszystkie swoje złe uczynki, mniejsze i większe, złożyć na jego karb.

— To prawda! — potwierdziła Saga cierpko.

— Zamieszanie wokół jego postaci powiększa jeszcze Stary Testament, który poległego króla Babilonu nazywa Gwiazdą Zaranną, co w tłumaczeniu na łacinę brzmi „Lucifer”. Lud Izraela chętnie każdego swego wroga określał mianem Lucyfera, którego jego Pan, Jahve, powinien strącić do otchłani. Tylko że ci wrogowie byli jak najbardziej ziemscy i nie mieli nic wspólnego z opowieściami o Lucyferze z czasów, kiedy Pan Bóg stwarzał świat.

Anna Maria zamilkła na chwilę. W jej oczach pojawił się wyraz rozmarzenia.

— Istnieje jeszcze jedna, mniej znana legenda. O miłości Lucyfera...

— To brzmi intrygująco! Opowiedz!

— Dobrze, jeśli jeszcze coś pamiętam. Czytałam o tym tak dawno temu. W domu w Skenas, Bóg wie, ile to już lat minęło...

— No, no, nie przesadzaj — uśmiechnęła się Saga.

Anna Maria musiała się najpierw zastanowić, nim zaczęła opowiadać:

— W czasach kiedy Lucyfer był jeszcze aniołem Pana i miał za zadanie pilnować, sprawdzać i karać, zobaczył na ziemi piękną kobietę. Tutaj mity różnią się między sobą, jak to zresztą często bywa, bo przecież według najstarszych Lucyfer miał być strącony w otchłań, zanim jeszcze kobieta została stworzona. Więc albo ów piękny potępiony był dżinnem, albo też Lucyfer był aniołem jeszcze przez jakiś czas po stworzeniu ludzi. To jednak bez znaczenia, to przecież tylko baśń. A baśń powiada, że Lucyfer zapałał do tej kobiety wielką miłością.

Saga westchnęła. Uznała, że wszystko to brzmi niezwykle romantycznie.

— Jednak aniołowi nie wolno wchodzić w tego rodzaju związki z mieszkankami Ziemi — mówiła jej matka. — Dlatego Lucyfer mógł jedynie z daleka podziwiać swoją ukochaną, a ona nic o tym nie wiedziała.

Wkrótce potem nadszedł jego upadek i został całkowicie pozbawiony jej widoku, po prostu z dna otchłani nie mógł widzieć powierzchni Ziemi. Ale jeden z archaniołów od dawna domyślał się uczuć Lucyfera do ziemianki i to on zwrócił się do Pana z prośbą o łaskę dla swego byłego przyjaciela.

Pan był początkowo nieubłagany. Nikomu nie wolno sprzeciwiać się Stwórcy, Lucyfer sam jest sobie winien! Kiedy jednak także inni archaniołowie wstawiali się za Lucyferem, Pan ustąpił, choć, jak się okazało, dobrze wiedział, że jego łaska na nic się potępionemu nigdy nie zda.

Pan postanowił bowiem, że Lucyfer będzie miał prawo wędrować po Ziemi raz na sto lat. Zwróć uwagę, Sago, że w tej opowieści Lucyfer nie jest Diabłem, który może pojawiać się wśród ludzi kiedy, gdzie i jak chce. Tutaj jest naprawdę upadłym aniołem. Istotą, której wolno się poruszać jedynie w otchłani. Lub po Gehennie, jak mówi Biblia.

Zresztą tak naprawdę Gehenna jest wypaloną słońcem, pozbawioną wody doliną na południowy zachód od Jerozolimy. Było tam miejsce zwane Tófet, gdzie Żydzi ofiarowywali swoje dzieci Molochowi. Później palono tam zwłoki przestępców i padłych zwierząt. Dlatego nazwa „Gehenna” oznacza też piekło, miejsce, w którym przebywają przeklęci.

— Aha — powiedziała Saga. — Tylko tyle znaczy mit o piekle?

— Tylko tyle. Ale księża są i z tego zadowoleni, bo mają czym straszyć ludzi. Otóż Lucyfer z mitu co sto lat pojawia się na Ziemi i wędruje po niej przez krótki czas. Owej wytęsknionej, kobiety nigdy już nie zobaczył, bo przecież nie mogła żyć tak długo ani tym bardziej zachować młodości. Pan jednak postanowił, że Lucyfer nigdy nie wyzbędzie się tęsknoty ani bólu. Dobrze wiedział, że powtarzające się przez całą wieczność wędrówki nieszczęśnika na zawsze pozostaną daremne. Tym sposobem Pan mimo wszystko zemścił się na nieposłusznym aniele.

Anna Maria skończyła opowieść. Wstała, by odłożyć skarpetki. Saga jednak pozostała skulona na swoim stołeczku. Zapadł już zmrok, matka pozapalała lampy w całym domu.

— Mamo! — zawołała Saga. — Dlaczego ze mną nigdy nic się nie dzieje?

Anna Maria wróciła do pokoju. Wiedziała, o co córka pyta.

— Shira, która także należała do wybranych, moje dziecko, musiała czekać długo, bardzo długo. Ale kiedy otrzymała znak, natychmiast wiedziała, co powinna robić. Nie miała najmniejszych wątpliwości.

Podeszła do córki, która wpatrywała się w dogasający ogień, i położyła jej rękę na ramieniu.

— Czy ty się boisz?

Saga podskoczyła.

— Czy się boję? Nie, wcale nie! Jestem tylko trochę niecierpliwa. Nie mam ochoty się zestarzeć, zanim otrzymam znak.

Anna Maria uśmiechnęła się.

— Myślę, że możesz jeszcze poczekać kilka lat, zanim czas nadejdzie. Możesz mi jednak wierzyć, że i ja, i twój ojciec niepokoimy się jeszcze bardziej niż ty.

Saga ujęła rękę matki.

— Nie musicie się martwić. Moje zadanie nie może być trudniejsze niż zadanie Shiry. A skoro ona sobie poradziła, to i ja powinnam dać radę.

— My się tylko tak strasznie boimy Tengela Złego. A ty będziesz musiała podjąć z nim walkę. Chociaż Heike powiedział, że nie sądzi, byś była tą silną istotą, na którą ród od dawna czeka. On uważał, że twoje zadanie będzie polegało na czym innym. Ale przecież niczego nie można wiedzieć na pewno. Czy ty nigdy nie miałaś żadnych powiązań ani kontaktów ze zmarłymi z naszego rodu? Z naszymi opiekunami?

— Nigdy nie przeżyłam niczego niezwykłego. jestem chyba najmniej interesującym członkiem rodu.

— Nie, nie jesteś — uśmiećhnęła się Anna Maria. — Jesteś raczej najbardziej zagadkową istotą. Nawet my, twoi rodzice, cię nie znamy.

— Przyjemnie to brzmi, nie ma co! — zażartowała Saga i wstała.

Zastanawiała się przez chwilę nad miłosną historią Lucyfera i musiała się uśmiechnąć sama nad sobą. Bo czyż nie uważała, że to było bardzo romantyczne? Czarny anioł... Który w tak tragiczny sposób został strącony do otchłani, a potem musiał przeżywać wieczną tęsknotę. Za kobietą, której nigdy nie mógł mieć, ponieważ zmarła przed tysiącami lat.

A jeśli on nie był Szatanem? Jeśli był tylko upadłym aniołem? W takim razie musiał zachować swoją dawną urodę.

Musiał być nieopisanie piękny.

Wrażliwa Saga puściła wodze fantazji, zaczęła marzyć o tym, że to ona pocieszy nieszczęsnego samotnika. Sprawi, by zapomniał o tamtej kobiecie z pradawnych czasów. Przeniesienie się w marzeniach do głębin podziemnej otchłani nie było dla Sagi niczym trudnym. Widziała się w wyobraźni, jah stoi tam, na samym dnie, a Lucyfer siedzi skulony, zakrywając twarz rękami. Podchodzi do niego, wolniutko odsuwa jego dłonie i spogląda mu w oczy z tak wielką miłością, na jaką tylko ją stać. Jego oblicze rozjaśnia się, oczy wpatrują się w nią niczego nie rozumiejąc, ręce dotykają jej twarzy, jakby piękny potępieniec nie wierzył, że jest rzeczywista. Ona zaś mówi: Przyszłam do ciebie i pragnę tu zostać. Jeśli mnie zechcesz.

Tutaj? — zapyta. — W tej otchłani strachu?

Tak. Nie chcę, byś dłużej był sam.

Saga! Jesteś tą, na którą czekałem setki lat! Witaj!

— Nie pomogłabyś mi nakryć do kolacji? Ojca tylko patrzeć — niespodziewanie przerwał jej marzenia głos matki.

Saga potrząsnęła głową, by wrócić do prozaicznej rzeczywistości.

— Tak, oczywiście. Już idę.

Nakrywając do stołu śmiała się pod nosem, aż Anna Maria musiała zapytać, o co chodzi.

— Ach, nic takiego — odparła Saga. — Czasem się po prostu nie mogę nadziwić, jaka jestem głupia i naiwna.

— To bywa niekiedy bardzo zdrowe — powiedziała Anna Maria.

ROZDZIAŁ II

Rozwód...

Dla Sagi samo słowo było jednoznaczne z porażką.

Mimo to jednak nie widziała innego wyjścia.

Szczerze mówiąc, po prostu nie miała wyboru.

Sprawiało jej to dotkliwy ból. Nie myśl o rozstaniu z tym mężczyzną, który uśmiercił w niej wszelką miłość, lecz świadomość, że będzie musiała przyjść do matki i wyznać, iż jej jedyna córka została odesłana do domu jako ktoś, kto się nie nadaje. Kogo się nie chce.

Ojca już nie było. Spodziewano się tego, oczywiście, nie był przecież młody, kiedy Saga się urodziła. Ale ją śmierć ojca pogrążyła w głębokiej żałobie. W smutku, który miał pozostać na długo.

I mama, Anna Maria, też nie była już taka jak kiedyś. Także i ją naznaczył czas. Za każdym razem, kiedy Saga ją odwiedzała, wydawała się mniejsza i drobniejsza. A śmierć Kola jakby odebrała jej ostatecznie chęć do życia.

Tak się cieszyła, że Saga dostała dobrego męża!

Ślub przed dwoma laty... Saga miała wówczas dwadzieścia dwa lata i nieustannie słyszała, jak znajomi wychwalają jej urodę. Wciąż powtarzały się okrzyki, jaki to Lennart jest szczęśliwy, że dostał taką żonę!

On sam także był znakomitą partią, przystojny, uzdolniony młody dyplomata, przed którym rysowała się świetna kariera polityczna. Spotkali się dzięki przyjaciołom rodziny i od razu egzotyczna, chłodna uroda Sagi wywarła na Lennarcie ogromne wrażenie. Moja królowa lodu, mawiał do niej. A ona uśmiechała się tym swoim jakby nieobecnym uśmiechem i myślała, że to, co odczuwa, to z pewnością jest miłość.

Teraz, już po wszystkim, widziała wyraźnie, że myliła miłość z wdzięcznością. Głupią, pokorną wdzięcznością za to, że zwrócił na nią uwagę!

Uważała, że są szczęśliwi, bo nic innego nie znała. Robiła wszystko, co dobra żona powinna w domu robić, była lojalna i zawsze przy nim, gdy jej potrzebował.

Początkowo Lennart śmiał się i żartował z jej związków z Ludźmi Lodu. Ani przez moment nie wierzył w te wszystkie fantastyczne historie, które opowiedziała mu pewnej nocy w pierwszych miesiącach małżeństwa. Nierozważnie zwierzyła mu się też, że jest jedną z wybranych i ma do spełnienia zadanie, więc będzie musiał okazać jej wyrozumiałość, kiedy nadejdzie jej czas.

Przemiany następowały powoli. Lennan zaczął sobie z niej szydzić z powodu tego „zadania”. Stopniowo miał jej coraz więcej do zarzucenia. Jej chłodny stosunek do życia, który pnedtem uważał za fascynujący, teraz go drażnił i wciąż jej to wypominał. Mówił, że spodziewał się, iż zdoła stopić w niej ten lód, traktował to jako wyzwanie. Ale że teraz widzi, iż za tym nic się nie kryje. Ona cała jest jak z lodu. Zimna do szpiku kości, nie ma w jej duszy nawet iskierki ognia; mylił się sądząc, że jest inaczej.

Saga brała to sobie bardzo do serca i starała się zmienić. Wkrótce jednak mogła się przekonać, iż krytyczny stosunek Lennarta do niej ma znacznie głębsze przyczyny.

Lennart coraz częściej spędzał wieczory poza domem. Ona siedziała sama i wciąż przełykała ślinę, żeby pozbyć się tego bolesnego ucisku, który czuła w gardle. I musiała zacząć kłamać przed własną matką, Kol już wtedy nie żył, że oczywiście, małżeństwo jest szczęśliwe, a ona jest tylko zmęczona długą zimą...

Anna Maria była chora. Saga nie miała złudzeń, że to sprawa poważna, a ponieważ mieszkała niezbyt daleko od rodzinnego domu, często matkę odwiedzała. Lennart, rzecz jasna, nie miał nic przeciwko temu.

No i właśnie zdarzyło się kiedyś, że Saga wybrała się do matki, by zostać u niej kilka dni. Kiedy jednak przyjechała na miejsce, stwierdziła, że zapomniała zabrać bardzo potrzebne lekarstwo. Zawróciła nie zwlekając i po paru godzinach była znowu w domu.

Powinna była wiedzieć, że tak się nie robi, rozumieć niebezpieczeństwo, ale nie rozumiała.

Szok był potworny. Otworzyła drzwi i skierowała się wprost na pierwsze piętro po lekarstwo. Dotarły do niej jakieś głosy z sypialni, więc zamyślona, jak jej się często zdarzało, poszła zobaczyć, co się tam dzieje. No i przyłapała ich na gorącym uczynku. Bardziej gorący trudno sobie wyobrazić. Jedna z przyjaciółek Sagi. Ich wspólna przyjaciółka.

Saga zamknęła oczy, by nie widzieć ich przerażonych, ogłupiałych spojrzeń. Po czym odwróciła się i wyszła. Tego dnia jej miłość, której tak znowu wiele w sobie nie miała, umarła nieodwołalnie. Ból był dojmujący.

Próbowała uniknąć jakichś burzliwych porachunków, to nie było w jej stylu. Pojechała do matki i kredowobiała wyjaśniła, że jest zaziębiona i bardzo źle się czuje, więc zostanie tylko przez jedną noc.

Następnego dnia wróciła do „domu”. Lennart miał czas przemyśleć sprawę, kobiety, rzecz oczywista, nie było, on zaś uznał za najistosowniejsze zachowywać się wobec żony agresywnie. Myślał widocznie, że atak jest najlepszą formą obrony, zaczął więc oskarżać Sagę,obciążać ją winą za wszystko. Cóż on ma z tego małżeństwa? pytał dramatycznie. Przyszło mu żyć z bryłą lodu. Jemu, człowiekowi tak uczuciowemu!

Z tej jego uczuciowości Saga nie poznała zbyt wiele. Ich życie intymne było zawsze bardzo poprawne, nic szczególnie podniecającego nigdy się nie działo. Pochyliła głowę i odparła, że wie, iż nie została obdarzona wielkim temperamentem, ale zawsze starała się to zrekompensować pogodą i życzliwością oraz troską o to, by miał wszystko, czego potrzebuje.

— I ty myślisz, że to wystarczy? — syknął z wrogością. — Oczywiście, jesteś miła! Ale gdybym tylko tego potrzebował, to wystarczyłoby zatrudnić odpowiednią gospodynię!

Był oczywiście niesprawiedliwy. Jakaż gospodyni byłaby taka reprezentacyjna? Kto by pełnił honory domu podczas licznych obiadów, które wydawał dla swoich przełożonych i innych wysoko postawionych osób?

Saga także miała dość czasu na myślenie, spędziła bezsenną noc.

— Czego się spodziewasz, Lennarcie? Jak zamierzasz rozwiązać tę sprawę? Bo przecież kontynuować tego nie można.

Posłał pospieszne, przerażone spojrzenie, w którym mogła czytać jak w otwartej księdze: „Jej pieniądze! Ogromny posag Sagi, nie mogę go stracić!”

— Co tam ja — odparł niepewnie. — Chodzi o to, czego ty byś chciała.

Saga wyprostowała się.

— Moja matka jest poważnie chora. Chciałabym jej oszczędzić zmartwienia, jakim by dla niej był nasz rozwód. Gdybyś się zgodził nie zdejmować maski, dopóki mama żyje, to nie będę prosić o nic więcej.

Lennart wpadł w panikę.

— Ale ja nie chcę żadnego rozwodu! To by zniszczyło moją karierę! Chyba rozumiesz! Czy nie mogłabyś...?

Boże drogi, dzięki Ci, że nie mamy dzieci, pomyślała.

— Czy nie mogłabym czego?

Lennart wyciągnął do niej ręce.

— Czy nie mogłabyś zapomnieć, wykreślić tego, co się stało? Zacząć wszystkiego od nowa?

— To by nie było uczciwe wobec ciebie.

— Wobec mnie? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ja ciebie już nie kocham. Szczerze mówiąc, to ledwo cię znoszę. I wątpię, czy kiedykolwiek cię kochałam.

Lennart był zupełnie załamany. Wydawało mu się, że jest w tym związku silniejszy, a teraz był stroną całkowicie pokonaną. Saga dostrzegła w jego oczach coś nowego i przerażającego. Jakiś paskudny, pospieszny błysk, bo Lennart nigdy nie był w stanie ukryć swoich uczuć. Teraz jego spojrzenie mówiło: Istnieje tylko jedno wyjście. Gdyby ona umarła, nie doszłoby do skandalu, a ja dostałbym pieniądze.

W sekundę później to wszystko zgasło, w spojrzeniu Lennarta pojawiło się zawstydzenie. Saga jednak powiedziała spokojnie coś, co nie było prawdą, ale uznała, że tak będzie lepiej:

— Dzisiaj w drodze do domu wstąpiłam do mojego adwokata. Postawiłam mu list, który powinien zostać otwarty po mojej śmierci. Adwokat jest w pełni zorientawany w tym, co się stało.

— Nie powinnaś była... — zaczął gniewnie, ale przerwał.

Sago, jeden nieważny błąd, jeden fałszywy krok. Powinnaś się okazać na tyle wielkoduszna, by...

— Nie chcę tego dłużej ciągnąć — ucięła krótko. Odwróciła się do niego plecami.

— Dobrze, to zabieraj się stąd! — krzyczał za nią. — Razem z tym swoim „zadaniem”! Wynoś się i zajmuj się czarami! Ale chcę ci powiedzieć, że nie wrócisz już do tego domu, żebyś nie wiem jak chciała. Mowy nie ma! Jeszcze mi tu przywleczesz jaką paskudną chorobę albo co innego. Dobrze, przeprowadzimy prawdziwy rozwód, ludzie rozumieją takie sprawy!

Saga odwróciła się i spojrzała na niego tak, że musiał spuścić oczy.

— Tamta kobieta... Chcesz ją mieć? — zapytała cicho.

On mimo woli wzruszył ramionami.

— Gdybym miał wolną rękę...

— Więc będzie tak, jak powiedziałam — zdecydowała. — Zostaniemy razem, dopóki mama żyje. Ona nie powinna cierpieć z powodu naszych błędów. A potem zobaczymy, jak to rozwiązać.

Lennart musiał przyjąć jej warunki. Podszedł do Sagi, by wziąć ją w ramiona i może ukoić ból, ale ona się wyrwała.

— I drzwi do sypialni są zamknięte. Będziesz sypiał gdzie indziej.

— To zemsta! — krzyknął.

— Nie. To niechęć! — odparła i wyszła z pokoju.

Nikt nigdy nie widział jej smutku. Na zewnątrz trwała idylla.

Jednak jakaś struna w duszy Sagi pękła. Poczucie klęski okazało się dla niej brzemienne w skutki. Ona, która potrzebowała jak największej pewności siebie, by wypełnić to nie znane czekające ją zadanie, była teraz obolała, niepewna, błądziła bez celu, jakby po omacku.

Żeby tylko miała dość czasu na dojście do siebie, ale patrzenie na człowieka, któremu była poślubiona, spotykanie go każdego dnia, stawało się coraz większym obciążeniem...

Po raz pierwszy w życiu mogła poznać, czym jest lęk. Lęk, że nie okaże się dość silna, kiedy czas się dopełni.

Saga miała szczęście być przy matce do dwudziestego czwartego roku swego życia. Wtedy Anna Maria zgasła cicho, przeświadczona, że jej jedynej córce jest dobrze. Saga kłamała aż do ostatniej chwili. Na kilka dni przed śmiercią matki oświadczyła jej z przejęciem, że spodziewa się dzieeka. Kłamstwo naprawdę wielkie, ale przecież wiedziała, jak bardzo Anna Maria chciała zostać babcią. Słysząc radosną nowinę rozjaśniła się i szepnęła: „O, jakże się cieszę!”

W dwa dni później umarła.

Saga natychmiast wyprowadziła się od męża i wróciła do pustego teraz i cichego rodzinnego domu. Jej adwokat przez cały czas przygotowywał sprawę rozwodową, w całkowitej dyskrecji, żeby żadne pogłoski nie wydostały się na zewnątrz, i teraz pozostawał tylko proces. Saga udzieliła adwokatowi wszelkich pełnomocnictw, sama wycofała się całkowicie z życia towarzyskiego, nie chciała z nikim rozmawiać, a już najmniej z mężem.

Lennart podejmował rozpaczliwe próby załagodzenia konfliktu, śmiertelnie przerażony, że rozwód źle się odbije na jego politycznej karierze. Ona jednak pozostawała nieugięta. Chciała się po prostu jak najszybciej od niego uwolnić. Nie była w stanie znieść myśli o kontynuowaniu tego małżeństwa jeszcze przez kilka miesięcy, może nawet przez rok, prosiła więc adwokata o pośpiech.

Jak odrętwiała chodziła po swoim starym domu i próbowała uporządkować te wszystkie bolesne i tragiczne doświadczenia, które ostatnio stały się jej udziałem. Akurat teraz bardzo potrzebowała wsparcia bliskiego człowieka, ale sama myśl o mężu budziła w niej sprzeciw. Zrozumiała, jak mało on w gruncie rzeczy dla niej znaczył. Ona sama miała mocno wyidealizowany pogląd na małżeństwo, widziała je jako głęboko przeżywane partnerstwo. A za porażkę winiła przede wszystkim siebie. Absolutnie nie była jeszcze dojrzała do małżeństwa. Najwyraźniej nie znała istoty miłości, bezwolnie akceptowała i dawała się ponieść opinii otoczenia, że ona i Lennart stanowią taką wspaniałą parę.

Zawiodła go, równie boleśnie jak on zawiódł jej zaufanie.

Lennart jednak był już zamkniętym i w gruncie rzeczy obojętnym rozdziałem jej życia. Dużo trudniej było przeżyć utratę rodziców. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek uwolni się od smutku i bólu z tego powodu.

Ale, oczywiście, ból przycichał, a wspomnienia bladły. Serce potrzebuje czasu, by zaakceptować wyroki losu, a gdy się to stanie, najgorsze mamy za sobą.

Pewnej wiosennej nocy, w jakiś czas po pogrzebie Anny Marii, Saga obudziła się i usiadła na łóżku.

Serce biło jej mocno, ledwie miała odwagę oddychać. Długo wpatrywała się w ciemność.

— Ktoś mnie wzywa — wyszeptała. — Czekali... Czekali z szacunkiem, dopóki rodzice żyli. A teraz wzywają. Mój czas nadszedł!

„Oni”, to byli przodkowie Ludzi Lodu, tak myślała. Dobrzy opiekunowie.

Po raz pierwszy uświadamiała sobie, że naprawdę należy do wybranych. A więc to tak się odczuwa? Wciąż się przecież zastanawiała, jak to będzie.

Saga wsłuchiwała się w to wezwanie, brzmiące gdzieś w głębi jej duszy. Wsłuchiwała się długo i uważnie, aż stało się jasnym i wyraźnym przekonaniem.

Tak właśnie należało to określić: przekonanie, które nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Nagle wszystko stało się takie proste!

— Muszę pojechać do parafii Grastensholm — powiedziała głośno. — Do Lipowej Alei. Tak! Muszę jechać do Norwegii. Jestem tam potrzebna. Zadanie czeka na mnie właśnie tam.

Był rok 1806. Dwanaście lat minęło od chwili, gdy Viljar z Ludzi Lodu musiał opuścić Grastensholm i przenieść się do Lipowej Alei.

Właściwie to Saga nie wiedziała zbyt wiele na temat, co się tam działo przez ostatnie lata. Miała bardzo dobry kontakt z Malin, córką Christera. Bo tak jak Anna Maria związana była z rodziną Axela Oxenstierny, który piastował godność ochmistrza u następcy tronu, tak rodzina Christera wierna była rodowi Posse. Córka Arvida Mauritza Posse poślubiła Adama Reuterskiolda, ochmistrza na dworze małżonki następcy tronu, a obecnie królowej Szwecji. W wyniku tych koligacji rodziny Anny Marii i Christera bardzo się do siebie zbliżyły i często ze sobą spotykały. O trzeciej linii Ludzi Lodu, tej norweskiej, wiedzieli natomiast mało co. Viljar i Belinda mieli dziesięcioletniego synka; nazwali go Henning na pamiątkę legendarnego Heikego. Solveig i Eskil zmarli niedawno, więc rodzina Viljara mieszkała w Lipowej Alei sama.

To była cała wiedza Sagi.

Teraz musiała tam jechać. Koniecznie, bo tamci jej potrzebowali. Nie wiedziała tylko dlaczego.

Szczerze mówiąc, nie miała nic przeciwko temu, by porzucić tak nieznośnie teraz pusty dom. Zastanawiała się dzień czy dwa, w końcu postanowiła dom sprzedać.

Sprawa nie należała do skomplikowanych, wszystko poszło gładko. Cały inwentarz przeprowadziła do Christera. Mogą z tym zrobić co zechcą, oświadczyła. Mogą sobie zabrać, co im potrzebne, przechować dla niej albo sprzedać. Krewni rozumieli konieczność jej wyjazdu, wszyscy przecież od dawna wiedzieli, że Saga należy do wybranych. Christer był oczywiście bardzo ciekawy, jakie zadanie ją czeka, i prosił, by koniecznie przysyłała im pisemne raporty. Trochę się jednak także niepokoił, bo Saga zachowywała się tak, jakby nie zamierzała do Szwecji wracać.

O, miała zapewne swoje plany. I nic dziwnego, że chciała się oderwać od zmartwień, jakie tu niedawno przeżyła.

W końcu Saga poszła do Varnberg, by pożegnać się z obiema hrabinami Oxenstierna, starszą i młodszą, zwłaszcza że w czasie rozwodu obie panie opowiedziały się po jej stronie.

— Naprawdę zamierzasz nas opuścić? — pytały zmartwione. — Zostałaby przerwana taka dawna tradycja. Ale chyba wrócisz do domu?

Patrzyły ze smutkiem na tę wyprostowaną młodą kobietę o zielonych chłodnych oczach. Miała jakąś trudną do opisania kruchą urodę, jakby pochodzącą z obcego świata, nierzeczywistą. Wydawała się bardzo odległa, tak by to można określić. Taka pełna rezerwy, powściągliwa, jakby otoczenie wcale jej nie obchodziło. Chociaż podobna i do pogodnej Anny Marii, i do skupionego, poważnego Kola, nie miała w sobie nic z ich bezpośredniości i ciepła. Saga była osobą jedyną w swoim rodzaju, a one prawie jej nie znały.

— Ja już nie wrócę, niestety — powiedziała z dziwną pewnością i nie wyglądało na to, że ta perspektywa ją martwi. — Jeśli jednak kiedykolwiek będę miała dziecko, opowiem mu o państwa długiej przyjaźni dla nas i naszej służbie u rodziny Oxenstiernów. Przekażę mojemu dziecku, żeby się w każdej potrzebie do państwa zwracało.

Obie panie, i stara hrabina Eva Oxenstierna, i młoda Lotta z domu Gullenhaal, przyjęły słowa Sagi ze wzruszeniem. Życzyły jej szczęścia i powodzenia.

Będę z pewnością potrzebować tego błogosławieństwa, myślała opuszczając pałac.

Saga napisała list do Viljara i Belindy o tym, że otrzymała wezwanie i że jedzie do nich.

Ponieważ to właśnie jej gałąź rodu od dawna była najlepiej sytuowana wśród Ludzi Lodu, Saga miała dość pieniędzy, by podróżować w komfortowych warunkach. Wtedy już w Szwecji wybudowano pierwsze koleje żelazne, ale, jeszcze, niestety, nie w okolicach, które Saga musiała przebyć. Długo się zastanawiała, czy nie kupić wygodnego powozu i nie wynająć zaufanego stangreta, ale to by rodziło kolejny problem, jak potem stangreta odesłać do domu. Pociągałoby też za sobą zupełnie niepotrzebne wydatki.

Doznała szoku, kiedy uświadomiła sobie, z jaką stanowczością przygotowuje się do tej drogi, z której nie zamierzała powrócić.

Wiedziała, że nie ma możliwości powrotu, i przyjmowała to z zadowoleniem. Z pewnością w Norwegii też można mieszkać.

Najważniejsze pytanie jednak, które dręczyło ją cały czas, brzmiało: Co właściwie ją czeka? Co będzie musiała zrobić i co się z nią stanie?

No cóż, wkrótce się dowie.

W końcu Saga zdecydowała się skorzystać z powszechnie używanego środka lokomocji, jakim w tamtych czasach był pocztowy dyliżans, wiozący podróżnych od stacji do stacji. Taka podróż mogła dostarczyć różnych niespodzianek, ale też był to stosunkowo bezpieczny sposób przenoszenia się z miejsca na miejsce. Można było całą odpowiedzialność złożyć na barki kogoś innego.

Pewnego dnia wezesnego lata Saga była gotowa rozpocząć długą podróż do Norwegii...

Ostatniej nocy w domu miała osobliwy sen, jeden z tych, w którym człowiek sam chce się obudzić, bo marzenia są zbyt męczące. Dlatego też zapamiętała bardzo dobrze, co jej się śniło. Długo leżała, wstrząśnięća i przerażona, starając się odtworzyć wszystkie szczegóły. Domyślała się bowiem, że sen miał znaczenie prorocze.

Najwyraźniejszym doznaniem był wiatr. Jakby stała na przełęczy, gdzie hulały wściekłe wichry.

Słyszała słabe, stłumione głosy, które nawoływały w oddali. A kiedy wytężyła wzrok, mogła dostrzec niewielką grupę ludzi z trudem brnących przed siebie, szarpanych przez wichurę. Choć nie mogła widzieć ich twarzy, wiedziała, że są to przodkowie Ludzi Lodu, ich dobrzy opiekunowie.

To ją wołali.

„Saga! Saga!” dochodziły do niej ich głosy jak odległe echo.

W przestrzeni, która ją od nich oddzielała, wiał wicher.

„Saga! Nie możemy do ciebie przyjść.”

Wiedziała o tym. We śnie wiedziała, że duchy opiekuńcze nie mogą nawiązać kontaktu z wybranymi, dopóki wybrani nie umrą i nie dołączą do ich grona. To oni pomagali Shirze, ale tylko na odległość. Nigdy wprost, tak jak pomagali nieszczęśnikom obciążonym dziedzictwem. Tarjei także należał do wybranych. On jednak nie otrzymał żadnej pomocy, więc zginął, został zamordowany, zanim zdążył wypełnić swoje zadanie.

Ciężko było teraz o tym myśleć. Jak radzić sobie całkiem samotnie, kiedy człowiek nie wie, co powinien robić?

Villemo, Dominik i Niklas także byli wybranymi. Tylko że ich zadanie było stnsunkowo proste. Mieli przemienić bestię, jaką był Ulvhedin, w istotę myślącą i czującą po ludzku. Nie mieli do czynienia z duchami.

A czy Saga będzie miała? Trzeba poczekać, przekonać się...

„Saga! Saga!” rozległo się żałosne echo. „Bądź ostrożna z...”

„Co mówicie?” zawołała, a wiatr porywał jej słowa. „Nie mogę zrozumieć, co mówicie!”

Bo tak to jest, że człowiek we śnie widzi i ludzi, i rzeczy dość wyraźnie, lecz głosy zawsze są niejasne. Zawsze! A jeśli na dodatek dochodzą z tak daleka i przedzierają się przez wichurę, to naprawdę nie można zrozumieć ani słowa.

„Stało się coś całkiem nieoczekiwanego!” wołali tamci. „Znalazłaś się w niebezpiecznej strefie, a my nie możemy ci pomóc.”

„Co wy mówicie?” zawołała znowu. „Co się stało?”

Nie słyszała odpowiedzi. Po chwili jednak wiatr znowu przywiał kilka słów:

„Przysłaliśmy do ciebie człowieka. Zwykłego śmiertelnika, żeby ci pomógł. Polegaj na nim.”

„Kto to taki? I kogo mam się wystrzegać?”

Wiatr przemienił się teraz w grzmiący huragan, grupa przodków stawała się coraz mniej widoczna i wreszcie całkiem znikła. Kontakt z tamtym światem został przerwany i Saga, która rzucała się na łóżku i krzyczała zdławionym głosem, zdołała się w końcu uwolnić z koszmaru.

Rozdygotana, ciężko dysząc, próbowała zrozumieć przesłanie. Na ile można wierzyć sennemu marzeniu? W głębi duszy czuła, że powinna je potraktować ze śmiertelną powagą.

Gdyby tylko wiedziała choć trochę więcej!

Powinna być ostrożna, to prawda. Ale to nie takie proste zachowywać ostrożnośe, jeśli człowiek nie wie, gdzie czai się niebezpieczeństwo ani na czym ono polega.

ROZDZIAŁ III

Gorąco! Straszne gorąco!

Słońce paliło dach powozu; wewnątrz dyliżansu panował upał jak w piecu chlebowym.

Wszystko było mokre i lepkie, kurz osiadał grubą warstwą na skórze i włosach, trzeszczał w zębach, pot spływał strużkami po ciele. Wilgotne ubrania przyklejały się do rąk i nóg, krew pulsowała głucho w skroniach, mokre, czerwone twarze wokół i smród, smród! Teraz wychodziło na jaw, kto dbał o higienę, a kto zapomniał zmienić bieliznę przed wyjazdem.

Podróż była potwornie dokuczliwa, prawie nieznośna w tej zatłoczonej, kiwającej się i trzęsącej karocy. Saga była zmęczona i czuła się źle. Całe ciało miała obolałe, ale starała się zachować spokój i opanowanie.

Nie można było otworzyć żadnego okna, zaduch panował straszny, a ciężko pracujące płuca podróżnych wciąż wdychały to samo gęste powietrze i znowu je wypuszczały.

Roczne dziecko krzyczało nieustannie, a matka bliska histerii jęczała: „Cicho bądź, dziecko!”, co oczywiście odnosiło skutek dokładnie odwrotny do zamierzonego. Ojciec malca, sympatyczny i nieśmiały człowiek o bardzo niepozornym wyglądzie, starał się uspokajać niemowlę i chronić przed niecierpliwymi rękami matki.

Na samym początku podróży matka wdała się w zupełnie otwarty flirt z jakimś komiwojażerem, ubranym z pospolitą, krzykliwą elegzncją, chociaż dość nędznie. Czarny tużurek był wyświecony na rękawach i kołnierzyku, rondo kapelusza miało tłustą obwódkę, a ciasne spodnie najwyraźniej pamiętały lepsze czasy. To wszystko mogło oczywiście nie mieć znaczenia. Dużo gorsza była jego hałaśliwa jowialność, pokrywająca zdenerwowanie. Saga poważnie wątpiła w jego odpowiedzialność w interesach, a tym bardziej w sprawach romansowych. Wykorzystywał swoją powierzchowność i bardzo dobrze zdawał sobie sprawę, jakie ma atuty. Kiedy tylko wsiadł do powozu, pospiesznym spojrzeniem dokonał oceny sytuacji i natychmiast skierował zainteresowanie na Sagę. Ponieważ nie zareagowała, zaczął kokietować młodą matkę, co szło mu znacznie lepiej. Saga współczuła małżonkowi kobiety, który boleśnie dotknięty pochylał głowę nad dzieckiem.

Teraz jednak upał pokonał nawet chęć flirtu. Jedynym uczuciem, jakie dawało o sobie znać, była irytacja.

W rogu drzemała jakaś starsza wiejska gospodyni.

Byli w podróży od kilku dni i Saga nabrała pewnej rutyny. Miała już za sobą różne postoje, noclegi, jedni pasażerowie wysiadali, inni wsiadali. Uświadamiała sobie, jak bezpiecznie i komfortowo żyła dotychczas w czterech ścianach rodzinnego domu. Podczas tej podróży poznała sprawy, o których nie byłaby w stanie mówić głośno. Poprzedniej nocy musiała dzielić pokój z tą właśnie drzemiącą w powozie gospodynią, co dla tamtej było dość trudnym doświadczeniem. Mieszkać w jednym pokoju z taką elegancką i wytworną panią, kiedy samemu ma się taką nędzną bieliznę!

Saga jednak poradziła sobie nieoczekiwanie dobrze; tak naprawdę zawsze żyła we własnym, odrębnym świecie, uśmiechała się teraz chłodno, jak to una, mówiła cicho i przyjaźnie, dobrze rozumiejąc skrępowanie tamtej. W pewnym sensie okazywały sobie przyjaźń, w jakiś taki pełen nieśmiałości powściągliwy sposób. Od czasu do czasu uśmiechały się do siebie albo wymieniały kilka konwencjonalnych zdań, kiedy sytuacja stwarzała po temu okazję. Jadły przy tym samym stole śniadanie, najpierw jedna nieśmiało zapytała, czy można się przysiąść, a druga, równie skrępowana, odparła, że oczywiście, będzie bardzo miło. Nagle Saga zauważyła, że kobieta w kącie powozu zrobiła się ziemistoblada. Zaczęła więc stukać w ściankę do woźnicy, a kiedy zatrzymał konie, otworzyła drzwi i zawołała:

— Proszę zjechać nad rzekę! Jedna z pasażerek zasłabła od gorąca.

Powóz ruszył pospiesznie we wskazaną stronę, a Saga wachlowała chorą dłońmi.

Powietrze na zewnątrz było nieznośnie ciężkie, żar lał się z nieba. Nad horyzontem zaczynały się zbierać ciemne burzowe chmury. Mimo wszystko opuszezenie powozu było niesłychaną ulgą. Tu przynajmniej powietrze choć trochę się poruszało.

— Będziemy mieć burzę — oświadezył komiwojażer.

— Jeszeze tylko tego brakowało — burknęła ze złością młoda matka.

Jej mąż pomógł Sadze wyprowadzić chorą kobietę z powozu. Nie mogła stać o własnych siłach, opierała się ciężko na podtrzymujących ją ramionach, przybiegł też woźnica z pomocnikiem i wspólnie doprowadzili kobietę nad brzeg rzeczki, gdzie ułożyli ją na trawie. Saga umoczyła chusteezkę do nosa i obmywała twarz chorej.

— Co z nią będzie? — pytał woźnica.

— Nie wiem — odpaiła Saga. — Spróbuję porozpinać jej ubranie pod szyją i w pasie.

Mimo wszelkich prób pomocy kobieta wciąż czuła się bardzo źle. Leżała z przymkniętymi oczyma, oddech miała ciężki, urywany. Twarz robiła straszne wrażenie, sinoblada z czerwonymi plamami.

Saga rozejrzała się wokół. Pod drzewem niedaleko od nich siedział mężezyzna, ale widziała go niewyraźnie w rozedrganym od upału powietrzu. Właśnie miała na niego zawołać, gdy tą samą drogą, którą przybył dyliżans, nadjechał jeszeze jeden ekwipaż. W oddali słychać było pierwszy głuchy grzmot. Powóz zatrzymał się i wysiadł z niego eleganeki pan, na którego widok Saga mimo woli otworzyła szerzej oczy.

Nigdy przedtem nie widziała nikogo takiego, nawet nie przypuszezała, że istnieją istoty podobne do człowieka, który się do niej zbliżał. Schodził z niewielkiegu wzniesienia, od strony powozu, słońce miał za plecami, tak że jego piękne jasne włosy tworzyły wokół głowy aureolę. Miał wspaniałą sylwetkę, królewską, uznała Saga, a kiedy podszedł bliżej i znalazł się w innym oświetleniu, zobaczyła wyraźniej rysy twarzy.

Był to człowiek wyjątkowy pod każdym względem. Ogromne oczy uśmiechały się do niej, nos przybysza bvł arystokratyczny, prosty, a zęby białe i silne. Twarz doskonała w każdym szczególe.

Inni podróżni przyglądali mu się także. On zaś bardzo uprzejmie zwrócił się do Sagi:

Przydarzyło się jakieś nicszezęście? Czy mógłbym w czymś pomóc?

To przywołało Sagę do rzeczywistości, dość nieskładnie zaczęła opowiadać, że w dyliżansie panowało straszne gorąco, czego ta nieszczęsna kobieta nie zniosła.

— W moim powozie jest dużo chłodniej — powiedział wytworny pan łagodnym, melodyjnym głosem. — Czy moglibyśmy tam przenieść pani przyjaciółkę? Chętnie zabiorę obie panie.

Podczas gdy Saga zakłopotana zastanawiała się, co odpowiedzieć, dostrzegła kątem oka, że mężczyzna siedzący dotychczas pod drzewem wstał i zbliża się do nich. Dziwnie zmieszana odniosła wrażenie, że o tym wszystkim, co się tutaj dzieje, zadecydował los. Jakby uczestniczyła w jakimś dramatycznym spektaklu, we śnie, czy czymś takim... Wszyscy odwrócili się ku nowo przybyłemu.

Saga zmarszezyła brwi. Gdzie ona już przedtem widziała tę twarz?

Na odpowiedź nie musiała długo czekać.

— O Jezu! — szepnęła młoda kobieta. — Czy państwo są rodzeństwem?

Wtedy Saga pojęła, kogo jej ten człowiek przypomina. Czarne loki otaczające pięknie rzeźbioną twarz, oczy, które na tle ciemnej twarzy wydawały sig bardzo jasne, ich trochę rozmarzony, nieobecny wyraz... jakby widziała samą siebie! W nieco bardziej wyrazistym męskim wydaniu!

On także zwrócił uwagę na podobieństwo. Poznała to po błysku zaskoczenia w jego oczach. Nie było jednak czasu zastanawiać się nad tym.

Nieznajomy ukląkł przy chorej, dotknął dłonią jej twarzy, potem zbadał puls...

— Czy pan jest lekarzem? — zapytała Saga zdziwiona, bo nie wyglądał na medyka. Jego szeroki ciemnobrązowy płaszcz przypominał raczej zniszczony mnisi habit, a proste, podobne do sandałów buty nosiły ślady długiej wędrówki.

— Kiedyś byłem — odparł krótko. — Ale musiałem zmienić zawód.

I nic więcej. Każdy mógł te słowa rozumieć, jak chciał.

Wykwintny pan o jasnych włosach stanął obok Sagi i delikatnie położył rękę na jej ramieniu. Jakby chciał się oprzeć, kiedy się pochylał, patrząc na chorą. Saga niebywale ostrożnie usunęła ramię. Z trudem znosiła taki bezpośredni kontakt z innymi ludźmi. Cała jej istota zdawała się mówić: noli me tangere, nie dotykaj mnie. Sprawa z Lennartem także zrobiła swoje, dopełniła miary, można powiedzieć. I nic nie pomogło, że ten pan tutaj wyglądał niezwykle sympatycznie, na dodatek do wszystkich swoich wspaniałych cech.

Mężczyzna o ciemnych włosach spojrzał na Sagę. W ogóle bardzo ją dziwiło, że obaj obcy zwracają się akurat do niej, choć pozostali podróżni starali się to przyjmować jako coś oczywistego.

— Chora zaraz dojdzie do siebie — powiedział jakimś piskliwym głosem. — Myślę, że powinna siedzieć obok stangreta, tam będzie jej najlepiej.

Woźnica dyliżansu skinął głową na znak, że się zgadza. Elegancki pan wstał, a leżąca na ziemi kobieta otworzyła oczy, jęknęła i zakryła twarz dłońmi.

Ciemnowłosy mężczyzna ukłonił się Sadze i odszedł, zanim zdążyła powiedzieć coś na temat tego uderzającego podobieństwa między nim a sobą. Ale z pewnością było ono najzupełniej przypadkowe.

Pan o blond włosach kłaniał się także.

— Mój powóz jest w dalszym ciągu do pani dyspozycji — rzekł. — Powinna pani podróżować w bardziej komfortowych warunkach.

— Bardzo dziękuję — odparła Saga z pełnym rezerwy uśmiechem. — Ale w dyliżansie daję sobie znakomicie radę. Gorzej jest z moją współpasażerką.

Nie wyglądało na to, że pan równie chętnie ofiaruje miejsce w swoim powozie wieśniaczce.

— Myślę, że będzie jej bardzo dobrze na siedzeniu obok woźnicy — uśmiechnął się. — Niech tylko włoży czepek na głowę dla ochrony przed słońcem! Ale proszę mi wybaczyć, nie przedstawiłem się. Nazywam się hrabia Paul von Lengenfeldt.

— A ja jestem Saga Simon. Dziękuję panu za uprzejmość i pomoc, hrabio. Ale teraz myślę, że powinniśmy ruszać dalej.

Saga wróciła po rozwodzie do panieńskiego nazwiska. Nie była w stanie używać nazwiska Lennarta.

Ekwipaż hrabiego ruszył przed dyliżansem. Saga patrzyła w ślad za nim, dopóki nie zniknął za zakrętem. Stangreta hrabiego nie widziała z bliska, jedynie skuloną, pokraczną postać na koźle.

Wciąż miała przed oczyma sylwetkę szlachcica. Jakiż to piękny mężczyzna! Niczym książę z bajki, albo — dziwne porównanie — archanioł. Ale w końcu, dlaczegóż by nie?

Cóż za głupstwa, uśmiechnęła się sama do siebie. Wszyscy wrócili już na miejsca, więc i Saga musiała wsiąść do powozu. Burzowe chmury zasnuły już większą część nieba.

Było całkiem ciemno, kiedy powóz wjeżdżał na dziedziniec ładnej gospody, w której mieli nocować. Znajdowali się już daleko w Varmlandii, dowiedziała się Saga. Czyli że połowę drogi miała za sobą. Bogu dzięki, bo była to jazda naprawdę wyczerpująca.

Saga dostała tym razem pokój tylko do swojej dyspozycji. Umyła się więc starannie i przebrała, zanim zeszła na dół na spóźnioną kolację.

Nad okolicą szalała burza z piorunami, deszcz lał taki, jakby się chmura oberwała. Dobrze było w taką pogodę siedzieć w ciepłej izbie, pod dachem, przy zastawionym stole.

Wieśniaczka już ich opuściła, jej podróż dobiegłakońca.

Komiwojażer natomiast uznał, że należy mu się w końcu jakaś przygoda. Włożył do kolacji świeżą koszulę, zlał się czymś mocno pachnącym, a przed jedzeniem, i do posiłku także, wypił parę kufli piwa i był gotów do ofensywy. Najpierw zastanawiał się, czy uderzyć do Sagi, czy do młodej kobiety z dzieckiem. To znaczy dziecko już spało, a przy stole siedzieli we czworo: młode małżeństwo, Saga i komiwojażer.

W głębi mrocznej sali, przy stoliku w kącie, Saga widziała owego ciemnowłosego wędrowca, który tak był podobny do jej ojca, a zwłaszcza do niej. Zdziwiło ją, jak się tutaj dostał. Z pewnością ktoś go podwiózł.

Lekarz, który musiał zmienić zawód? A może z innych powodów krąży po wiejskich drogach? Nie można przecież sądzić człowieka nie wysłuchawszy jego racji. Tak uważała.

Ale nie mogła przestać się nim interesować. I chociaż sama spoglądała w jego stronę rzadko, wiedziała, że on przygląda jej się niemal bez przerwy.

On także, podobnie fak ja, zastanawia się nad naszym podobieństwem, myślała.

Niebo rozdarła błyskawica i uderzył piorun. Wszystkim się zdawało, że nad samą gospodą. Młoda kobieta krzyknęła przestraszona i rzuciła się w objęcia komiwojażera, który przytulił ją mocno.

Saga wpadła w gniew.

— Niech się pani trzyma swego męża! — powiedziała ze złością. — Zachowuje się pani śmiesznie!

Jej słowa podziałały na wszystkich, siedzieli zakłopotani i Saga pożałowała swego wybuchu. Zwłaszcza kiedy komiwojażer ze złośliwym uśmieszkiem zapytał, czy przypadkiem nie jest zazdrosna. Ale tej młodej kobiecie naprawdę potrzebny był taki wstrząs, zaczynała już przekraczać granice przyzwoitości.

— Wybaczcie mi — powiedziała Saga przygnębiona. — Nie chciałam psuć nastroju. Chodzi po prostu o to, że... — Och, jak im to wytłumaczyć? Musiała jednak znaleźć odpowiednie słowa. — Jestem wytrącona w równowagi. Moi rodzice zmarli niedawno, a ich związek był wyjątkowo udany... i nie mogę patrzeć, jak małżeństwo jest wystawiane na takie ryzyko dla jakiegoś taniego, przypadkowego i najzupełniej niepotrzebnego flirtu. Ale wybaczcie mi, nie mam prawa...

O własnym rozbitym małżeństwie nie mogła jeszcze mówić.

Nastrój stał się w najwyższym stopniu kłopotliwy. Uratował sytuację komiwojażer, który roześmiał się i poklepał Sagę po ręce.

— Pani jest stanowczo zbyt poważna, panienko! To przecież jasne dla wszystkich, że ani ta młoda dama, ani ja nie myśleliśmy nic złego.

Rozejrzał się po sali, jakby szukając wsparcia.

— Hej! Ty, tam w kącie! Chodź tu do nas, nie siedź tak samotnie. Przecież się już poznaliśmy!

Po chwili wahania mężczyzna wstał i podszedł do ich stołu. Saga ukradkiem przyglądała się jego twarzy. Rysy miał ładne i wyraźne, oczy głęboko osadzone, rzęsy kruczoczarne. Usta były wrażliwe, a w uśmiechu stawały się bardzo pociągające. Czarne loki opadały na czoło i na ramiona. Był w nim jakiś cień smutku, uważała Saga.

Kiedy usiadł przy stole, nieśmiało, jakby prosząc o wybaczenie, że się narzuca, komiwojażer powiedział:

— To zdumiewające, jacy wy jesteście do siebie podobni! Naprawdę macie pewność, że nie jesteście rodzeństwem?

— Absolutną pewność — odparła Saga wciąż badawczo przyglądając się ciemnowłosemu mężczyźnie. Miał około trzydziestu pięciu lat, a zatem był o jakieś dziesięć lat starszy od niej. — Ponieważ jednak ten pan jest bardzo podobny do mojego ojca, a on był Walonem, pozwolę sobie zapytać, czy i pan nie pochodzi z walońskiej rodziny?

Twarz obcego rozjaśniła się w radosnym uśmiechu.

— Pochodzi pani z Walonów? To wszystko wyjaśnia, bo ja także. Jak się nazywał pani ojciec?

— Kol Simon. Nie, przepraszam, właściwe imię ojca brzmiało Guillaume. Guillaume Simon.

Tamten podniósł wzrok.

— Simon...? Mój dziadek miał siostrę, która chyba wyszła za mąż za kogoś nazwiskiem Simon. Ale on umarł. Ciotka ponownie wyszła za mąż i zdaje mi się, że to drugie małżeństwo nie było szczęśliwe.

— Tak, drugie małżeństwo mojej babki nie było udane. Bo wyszła za mąż za nie-Walona.

Młody człowiek uśmiechnął się do niej. Jakie miał fantastycznie ciepłe i łagodne oczy, kiedy powiedział:

— W takim razie jesteśmy dość bliskimi kuzynami, prawda?

— Tak, rzeczywiście! — Saga ujęła jego rękę i mocno uścisnęła. — Tak się cieszę! Tak się cieszę, że mogę poznać kogoś z rodziny ojca! Jak się nazywasz?

— Marcel. A nazwisko nie ma znaczenia. Zbyt długie i trudne.

— Rozumiem. Nosisz, naturalnie, walońskie nazwisko — uśmiechnęła się Saga. — Och, jaka jestem rada!

— Ja także — odparł Marcel, ale wyraz smutku nie zniknął z jego twarzy. Saga domyślała się, że nie miał łatwego życia.

— Dokąd jedziesz? — zapytał.

— Do Norwegii.

— Ja też jadę do Norwegii — uśmiechnął się szeroko.

— Czy w takim razie nie mógłbyś podróżować dyliżansem?

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie stać mnie na to.

— Ale ja mogłabym...

Marcel natychmiast jej przerwał:

— Nawet mowy nie ma! Radzę sobie znakomicie, korzystam z przygodnych podwód i wszystko jest w porządku.

— Dobrze, ale w takim razie musimy mieć czas wieczorem, żeby porozmawiać. My...

Przerwała, bo ktoś właśnie wszedł do lokalu. I nagle jakby cała izba wypełniła się światłem.

To pewnie te jego złociste włosy, pomyślała Saga. A może promienny wyraz jego twarzy. Sprawia wrażenie kogoś znakomitego... w jakiś sposób nieziemskiego. I ta postawa, jakby posiadał cały świat! Ta przytłaczająca wszystkich osobowość... Nigdy nie spotkała nikogo podobnego!

Hrabia von Lengenfeldt podszedł wprost do ich stołu.

— Zatem znowu spotykam znajomych z wiejskich dróg — rzekł z uśmiechem. — Czy mogę się przysiąść?

Pozwolono mu, oczywiście; czuli się zaszczyceni jego towarzystwem.

Hrabia ubrany był znakomicie, nosił wysoki czarny cylinder, chustka pod szyją i inne dodatki miały jaskrawe kolory, zgodnie z najnowszą modą, w ogóle cechowała go elegancja w najlepszym stylu. Kuzyn Sagi, Marcel, wyglądał w porównaniu z nim dość biednie. Jak pielgrzym, który po długiej i męczącej wędrówce znalazł się pod jednym dachem z salonowym Iwem.

Hrabia wyjaśnił, że i on jedzie do Norwegii, ściślej do Christianii, bliższych szczegółów jednak nie zdradził. Zachowywał całkowite milczenie na temat celu swej podróży.

Saga musiała raz jeszcze wyjaśnić pokrewieństwo pomiędzy sobą i Marcelem, ponieważ hrabia także wyraził zdumienie, że tacy są do siebie podobni. Zdawało się, że wyjaśnienie go bawi, a w każdym razie że przyjmuje je z ulgą.

Przy stole mówił przeważnie komiwojażer, porządnie już podpity. Hrabia próbował wprawdzie raz po raz kierować rozmowę na bardziej interesujące tematy niż ceny różowego perkalu czy lenistwo sprzedawców, kupiec wracał jednak z uporem do swojego, nie bacząc, czy to kogoś interesuje, czy nie, i był w stanie zagadać wszystkich.

Saga napotykała co chwila wzrok hrabiego i widziała wyraźnie, co ten elegancki pan myśli o gadulstwie komiwojażera. Czasami jednak w niezwykle pięknych oczach hrabiego pojawiały się diabełskie błyski. Saga miała wrażenie, że dostrzega wtedy drugą stronę jego natury.

Choć okazywał wiele wyrozumiałości pospolitemu światu, Saga nie mogła pozbyć się myśli, że on odgrywa jakąś rolę. Nie potrafiłaby jednak określić, jakie jest jego prawdziwe ja.

Piwa nie można nadużywać bezkarnie. Komiwojażer robił się coraz bardziej znużony, mówił betkotliwie i coraz częściej kładł ręce na kolanach lub ramionach Sagi, lepkie i natrętne. W końcu natura upomniała się o swoje prawa; nudziarz musiał wstać od stołu, na niepewnych nogach udał się na dwór w nie cierpiącej zwłoki sprawie. Wszyscy mieli nadzieję, że potgm pójdzic spać.

Młoda para wstała także. Saga zamierzała pójść za ich przykładem, ale hrabia tą powstrzymał:

— Nie zechciałaby pani zostać jeszcze chwilę? Byłoby miło porozmawiać z młodą, kulturalną osobą.

Saga rzuciła pytające spojrzenie swemu kuzynowi, ale on skinął głową. Została wobec tego, nie widziała w tym nic niestosownego.

Teraz potoczyła się bardzo interesująca rozmowa. Obaj panowie byli ludźmi wykształconymi, Saga musiała wytężać całą inteligencję, żeby uczestniczyć w ich wymianie myśli.

Po jakimś czasie hrabia oświadczył:

— Jesteś bardzo zajmującą osobą, Sago. Po prostu czarującą, ale trochę zbyt chłodną, zbyt poważną. Pozwól ujawnić się temu ciepłu, które w sobie nosisz, wiem, że masz go wiele, czasem ujawnia się w twoim szczerym spojrzeniu, ale zaraz znowu je tłumisz. Czego się tak boisz?

Saga spuściła oczy.

— Ja... Och, jest wiele przyczyn...

— Może nam opowiesz — zachęcał hrabia. — Rozumiesz chyba, że człowiek w twoim towarzystwie odczuwa potrzebę uwolnienia w tobie tego ciepła. Prawda, Marcelu?

Marcel długo nie odpowiadał, uśmiechał się tylko, jakby rozważał słowa tamtego. Potem rzekł z wolna:

— Owszem...

— A zatem, Sago, opowiadaj!

— Wiele jest pewnie konsekwencją tego, że mam za sobą rozwód, bardzo trudną sprawę, i straciłam wiarę w siebie, chociaż nie to jest najważniejsze...

Uświadomiła sobie nagle, że chce historię swego życia opowiedzieć właśnie tym dwóm mężczyznom. Oni chyba zrozumieją, a przecież Saga nie miała teraz nikogo, z kim mogłaby porozmawiać o swoim wielkim niepokoju.

— Sprawy mają się tak, że ja urodziłam się po to, by spełnić pewne zadanie. To mnie bardzo ogranicza i pewnie dlatego jestem taka sztywna.

— Wcale nie jesteś sztywna — odparł hrabia. — Jesteś chłodna, pełna rezerwy.

— Możliwe. Ale właśnie zostałam wezwana do wypełnienia mojego zadania. Po prostu ja nie jestem taka jak inni ludzie...

— To odkryliśmy już dawno — powiedział Marcel łagodnie, jak to on.

— Rzeczywiście, masz bardzo silną aurę — przyznał hrabia, który chciał, by Marcel i Saga mówili mu po imieniu i sam też tak się do nich zwracał. — Tak, tak, ja się na takich rzeczach znam, bo ja sam też się różnię od innych ludzi.

— Och, ja bym powiedziała, że bardzo się różnisz! — zawołała Saga z przejęciem.

Hrabia uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony...

— Ale teraz opowiadaj, jakie to zadanie cię czeka!

— To bardzo długa historia.

— Przed nami cała noc.

Saga wahała się.

— A w końcu co to szkodzi — westchnęła. — Wolno mi przecież opowiadać o Ludziach Lodu.

— O Ludziach Lodu? — zawołał hrabia. — Chyba już o nich słyszałem. To przeklęty ród, prawda? Zaprzedany Szatanowi?

— Nie Szatanowi — sprostowała Saga. — Ale złu. I chociaż chrześcijanie złe moce określają mianem Szatana, to przecież jest to coś więcej, prawda? Coś znacznie głębszego, tak mi się zdaje.

— Oczywiście! — przyznał ciemnowłosy Marcel. — Szatan, ten z tradycji chrześcijańskiej, to tylko niewielki fragment świeckiego obrazu zła.

Paul nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie, że źle się czuje, nie był zadowolony, że rozmowa przybrała taki obrót. Może jest człowiekiem głęboko wierzącym? myślała Saga. A może nie podoba mu się, że jestem rozwiedziona?

Deszcz bębnił o szyby, słyszeli szum wody spływającej po dzicdzińcu.

— Nie powinniście jednak sądzić, że ja także zostałam zaprzedana złu — powiedziała spłoszona. — Moim zadaniem jest waIczyć ze złem. Tylko nie wiem jeszcze jak.

— Czy nie mogłabyś powiedzieć nam czegoś więcej o Ludziach Lodu? — poprosił Marcel.

Saga dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak wielki autorytet posiada ten człowiek. Był bardzo przystojny, choć nie tak oślepiająco piękny jak hrabia Paul. A jednak w spokoju Marcela Saga znajdowała pocieszenie. U kogoś takiego jak Marcel można szukać ochrony, choć z pewnością jest on równie biedny, jak hrabia bogaty.

Ponadto w Marcelu było coś nieokreślonego, czego po macoszemu przez życie potraktowana Saga nie była w stanie rozpoznać. Inttygowało ją to, choć nie rozumiała, o co chodzi, wiedziała tylko, że ją to niepokoi. Te jasnozielone oczy w mrocznej, jakby zaciętej twarzy, uśmiech, który miało się ochotę wywołać na jego twarzy, bo człowiek wiedział, że na pewno istnieje — wszystko to niesłychanie ją pociągało.

Nie można było winić Marcela za to, że znajdował się całkowicie w cieniu Paula, mężczyzny tak urodziwego, że patrzącym aż zapierało dech, zwracającego uwagę wszystkich.

Paul był człowiekiem o dwóch obliczach. Archanioła i diabła.

To tak bywa, kiedy się sądzi po pozorach, pomyślała Saga z ironią.

Nie zdążyła nawet rozpocząć opowieści o Ludziach Lodu, bo do izby wszedł woźnica dyliżansu wraz z pomocnikiem.

— O, panienka jest tutaj — powiedział woźnica. — I panowie, jak słyszałem, też jadą do Norwegii. Prawda to?

— Prawda.

— Pozostali pasażerowie pewnie się już położyli?

— Chyba tak.

— Obawiam się, że przynoszę nie najlepsze wiadomości. Z dalszej podróży do Norwegii nic nie będzie, niestety.

— Co takiego? — zawołała Saga. — Ja muszę tam jechać!

— Nic na to nie poradzę. Granica została zamknięta. W tej okolicy Szwecji panuje cholera i Norwegowie nie chcą, żeby pasażerowie przywlekli chorobę do nich.

— Cholera? — zapytała Saga. — Tutaj? Może także w tej gospodzie?

— Właściciel powiada, że nie. Mogą więc państwo być spokojni. Jedzenie nie jest zakażone. Ale jechać dalej nie można. Poczta zostanie tutaj aż do otwarcia granicy, a ja wracam do domu. Żałuję, ale nie mam tu już nic do roboty.

Wyszedł. Saga i jej towarzysze wstali i spoglądali na siebie nawzajem. Saga zauważyła, że jest z nich najniższa, co przecież nie powinno nikogo dziwić. Marcel był niemal o głowę od niej wyższy, natomiast hrabia Paul sprawiał wrażenie olbrzyma, chociaż tak naprawdę obaj mężczyźni byli prawie równego wzrostu.

Burza już przeszła. Tylko w oddali odzywało się jeszcze od czasu do czasu głuche dudnienie grzmotu i słabe błyskawice rozjaśniały ciemny prostokąt okna. Zrobiło się późno i w izbie poza ich trójką nie było nikogo.

— Ja muszę do Norwegii — powtórzyła Saga.

— Ja także — oznajmił Marcel.

— I ja — przyłączył się do nich Paul. — Udamy się tam moim powozem.

— Nigdy nam się nie uda przekroczyć granicy — ostrzegł Marcel.

— Owszem, jeśli pojedziemy przez pustkowia.

— A jakie to drogi prowadzą przez pustkowia? — zapytał Marcel.

Saga zadrżała. Słyszała o tutejszych pustkowiach. O dzikich rozległych przestrzeniach częściowo porośniętych lasami. Wymarłe odłogi, bagniska, jakieś niewielkie laski, to znowu sosnowe bory, gdzie trwa wieczna cisza, a panują wilki i niedźwiedzie. Ich królestwo, gdzie słychać tylko tajemnicze głosy sów i puszczyków, gdzie najbujniej rozkwitają baśnie i podania o czarach i o wszystkich tych nazwanych i bezimiennych istotach z tamtego świata.

Hrabia Paul mówił dalej przyciszonym głosem:

— Pojedziemy leśnymi drogami, jak długo będzie to możliwe. Wyruszymy o brzasku, zanim jeszcze ktokolwiek się obudzi. W tej chwili za bardzo pada, a poza tym konie są zmęczone. My zresztą także — uśmiechnął się przelotnie. — Woźnica będzie czekał z powozem, dopóki granica nie zostanie ponownie otwarta, my tymczasem przekroczymy ją na piechotę.

Marcel spoglądał pytająeo na Sagę.

— Co do mnie, to się zgadzam. Przyzwyczajony jestem do chodzenia piechotą. Przyjmuję propozycję z wdzięcznością. Ale czy ty, moja kuzyneczko, podołasz trudom?

— Oczywiście, jestem silna. Ja także przyjmuję propozycję, Paul. Dziękuję.

Umówili się z gospodarzem, kiedy ma ich obudzić, zapłacili i rozeszli się do swoich pokoi. To znaczy Paul i Saga, bo Marcel nocował w stajni.

Saga była oszołomiona. Wszystko stało się tak szybko. Tyle nowych wrażeń, nowi przyjaciele...

I cóż za mężczyzn dzisiaj spotkała! Mężczyzn, którzy obudzili w niej marzenia, jakich nigdy przedtem nie miewała!

Tej nocy także coś jej się śniło, ale niewyraźnie. Ktoś — nie mogła sobie potem przypomnieć, kto to był — coś do niej mówił. Uparcie i jakby z lękiem: „Ty nie masz czasu, Sago! Nie masz na to czasu, twoje zadanie czeka na ciebie gdzie indziej, powinnaś jechać do parafii Grastensholm. To jest pułapka, niespodzianka, nie daj się w nią pochwycić, uwolnij się!”

Ale, jako się rzekło, był to tylko niewyraźny sen i rankiem nie była w stanie rozstrzygnąć, czy naprawdę wszystko to miało miejsce, czy też to tylko sprawa jej wyobraźni. A poza tym do jakiego stopnia można wierzyć w sny? Może to po prostu odbicie jej własnych lęków, niepewności, czy powinna jechać z dwoma nieznajomymi? Z niepokojem przygotowywała się do drogi. Na dworze panował jeszcze szary, zimny mrok. Świat pogrążony był w ciszy, przestało padać, a nad ziemią unosiły się obłoki pary i mgły snuły się ponad lasem.

Właśnie teraz myśl o dalekich pustkowiach wprawiała Sagę w przerażenie. Sagę, która nigdy niczego się nie bała!

Widocznie naprawdę życie ją ciężko doświadczyło! Naprawdę stanęła w obliczu czegoś całkiem nowego!

ROZDZIAŁ IV

Saga zapomniała, że to nie dwóch mężczyzn miała mieć za towarzyszy dalszej podróży, lecz trzech. Przynajmniej pierwszego dnia.

Akurat kiedy o szarym świcie wyszła z uśpionej gospody, stangret Paula von Lengenfeldta zeskoczył z powozu na ziemię jak wielka, niezdarna żaba. Rzeczywiście była to przerażająca figura o głowie osadzonej tak nisko i tak podanej do przodu, że Saga skorygowała swoje pierwsze wrażenie: woźnica przypominał nie tyle żabę, co raczej bizona stającego dęba.

Popatrzył spode łba na Sagę, ale jej nie pozdrowił.

Wziął tylko jej kuferek, bez wysiłku, jakby nic nie ważył, i ulokował go z tyłu powozu.

Kuferek rzeczywiście nie był ciężki, świadomie większość swoich rzeczy zostawiła w Szwecji. Pieniędzy miała jednak dość, zamierzała bowiem rozpocząć w Norwegii nowe życie i kupić tam wszystko, co potrzebne. Wiozła więc tylko to, co niezbędne w podróży, i rzecz najważniejszą ze wszystkiego: spadek, który teraz należał do niej. Uzdrowicielski skarb Ludzi Lodu. I oczywiście także magiczną część tego skarbu, ale o tym wolała nie myśleć. Przenikał ją dreszcz na samo wspomnienie.

Pewne jego elementy na razie były przechowywane w Norwegii. Na przykład życiodajna woda Shiry. Rzecz jasna nie w Grastensholm i nie w Lipowej Alei, która stanowiła bardzo niepewną kryjówkę. Bezcenna butelka została złożona w tajemnym miejscu, które znali tylko członkowie rodu.

Wiozła jednak ze sobą tę część skarbu, którą dostała od Viljara po śmierci Heikego i Tuli. Nic nie wiedziała na temat czekającego ją zadania, ale chciała być możliwie jak najlepiej przygotowana na wszelkie trudności. A bała się, że czeka ją wiele różnych kłopotów.

Kiedy tak stała na progu gospody i patrzyła na dziedziniec, gdzie gęsta rosa perliła się jeszcze na trawie i kamieniach, a biała mgła otulała zabudowania, osłaniając przed jej wzrokiem leżącą nieco na uboczu wieś, zalała ją nagle gwałtowna fala niepojętego lęku. Ten niewyraźny mglisty pejzaż krył w sobie jakieś zagrożenie, coś, co w każdej chwili mogła ją zaatakować. Uciekaj, Sago, uciekaj! szeptał w duszy jakiś głos.

Saga jednak stała, jakby wbrew sobie, nie chciała tego, ale stała. W końcu zeszła ze schodów i ruszyła w stronę powozu. Jakby nogi same się tam kierowały, bez udziału woli.

Paul von Lengenfeldt też już był na dworze i wydawał polecenia stangretowi.

— Czyż on nie jest wspaniały? — zapytał, gdy Saga nadeszla. — Wynalazłem go w ogrodach Szatana.

Stangret gapił się na nich z niechęcią. Serce Sagi ścisnęło się boleśnie.

— To była niepotrzeńna i bezlitosna uwaga — rzekła zdławionym głosem.

— Absolutnie nie — uśmiechnął się Paul. — To zwyczajna autoirania. Wyszukałem go wyłącznie po to, by stanowił dla mnie kontrast. By moja uroda stała się jeszcze bardziej wyrazista, robiła większe wrażenie. Spójrz na niego, sama zobacz różnicę!

— Ja widzę po prostu człowieka — odparła Saga i weszła do gospody, by przynieść resztę swoich rzeczy.

Na schodach stał Marcel. Saga poczuła, że na jego widok jej ciało napełnia się ciepłem. Spojrzał na nią przeciągle i Sagę znowu ogarnęło pragnienie, żeby się do niego zbliżyć, z wielu różnych pawodów, zarówno szlachetnych, jak i nieco bardziej mrocznych.

Źle mi się zaczyna ten dzień, myślała wchodząc na górę. Co to się stało z moim poczuciem humoru, z moją zdolnością do ciętych replik, z moim dystansem do świata? Chodzę naburmuszona i zła, to do mnie niepodobne.

Saga nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jest napięta. To skutek obciążenia, które towarzyszyło jej przez całe życie. Na dodatek całkiem niedawno straciła oboje rodziców, a nieudane małżeństwo było kroplą, która przepełniła czarę goryczy. W konsekwencji była jak zbyt mocno naciągnięta struna, która w każdej chwili może pęknąć. I do tego jeszcze ten niepokój przenikający wszystko wokół niej, jakiś trudny do określenia lęk. Już tylko z tego powodu tak bardzo potrzebowała kogoś, komu można zaufać, kto mógłby ją otoczyć opiekuńczym ramieniem, odsunąć od niej ten lęk, wypełnić jej bezgraniczną samotność.

Podobnie jak kiedyś Shira samotnie oczekiwała swego losu, tak teraz Saga stała, sama i przerażona, u progu nieznanej przyszłości. Nie zwracała uwagi na jawnie jej okazywane zainteresowanie Paula, nie była w staniemyśleć teraz o czymś takim jak flirt czy miłostka, to by ją tylko rozpraszało, jeszcze bardziej wytrącało z równowagi.

Łagodny spokój Marcela i jego wyrażające troskę spojrzenia były dla jej duszy niczym balsam.

Pierwszy kogut odezwał się w kurniku należącym do gospody, kiedy powóz ze skrzypieniem kół ruszał w drogę. Trójka podróżnych rozsiadła się we wnętrzu ze złotymi ozdobami i pokrytymi pluszem kanapami. Tylko stangret jechał wydany na wiatr i niepogodę, chociaż ten poranek nie należał do najgorszych. Nocny deszcz odświeżył powietrze, a poranny chłód powinien niebawem ustąpić.

Saga mimo wszystko nie mogła się pozbyć nieprzyjemnego uczucia. Prześladowało ją, zanim wsiadła do powozu, i nadal dawało o sobie znać.

Nikt ich nie widział, kiedy odjeżdżali. Cała parafia jeszcze spała.

Saga pomyślała przez chwilę o pozostałych pasażerach, którzy także spali, nic wiedząc, że ich podróż została przerwana, o młodej rodzinie i wędrownym kupcu. Ale czy mogli ich zabrać, czy takie małe dziecko zniosłoby podróż przez lasy i odludzia? Hrabia chyba nie był w stanie tamtym pomóc, w żadnym razie. Poza tym jego powóz był dużo mniejszy niż dyliżans, nie dla wszystkich starczyłoby miejsca.

Mimo to miała trochę wyrzutów sumienia. Zostawili tamtych w okolicy dotkniętej cholerą... Wprawdzie mogą zawrócić... Jechać z powrotem do domu...

Saga należała do tych niezliczonych kobiet, które przychodzą na świat z nieczystym sumieniem i przez całe życie uważają, że starają się za mało i robią nie to co trzeba. I jest to cecha, której nie można się pozbyć. Jechali w szarobiałym tumanie, który zdawał się przez szczeliny w drzwiach przenikać do wnętrza powozu. Tylko od czasu do ezasu w okolicach, gdzie teren się wznosił i nie było mgły, widzieli jakieś fragmenty krajobrazu.

— No tak — powiedział Paul ze swoim sympatycznym uśmiechem. — No tak, Sago. Nareszcie nadszedł czas, byś nam opowiedziała o tych niezwykłych Ludziach Lodu.

— A właśnie, gdzie słyszałeś o mojej rodzinie? — zapytała Saga.

— Och, podróżuję pomiędzy Szwecją i Norwegią, często bywam w Christianii, gdzieś w tamtych okolicach musiał mi ktoś powiedzieć, ale to było dawno temu.

To możliwe, pomyślała Saga. Ludzie Lodu nie żyli przecież w izolacji, trudno się dziwić, że sobie o nich opowiadano. W każdym razie w Norwegii, gdzie używają jeszcze starego nazwiska.

Uśmiechnęła się.

— Sądzę jednak, że nie tylko ja mam do opowiedzenia ciekawą historię. Każdy z was pewnie także przeżył to i owo.

— Myślę, że tak — roześmiał się Paul. — Ale panie zawsze mają pierwszeństwo.

— Pod warunkiem, że obaj obiecacie pójść za moim przykładem.

Obiecali. Saga nie spuszczała oczu z urodziwego Paula. Po prostu nie mogła patrzeć w inną stronę. Był jak dzieło sztuki, doskonałe do najdrobniejszego szczegółu. Te wielkie, błękitne oczy ocienione długimi rzęsami, złociste włosy, delikatna cera, wspaniałe zęby...

Stwórca musiał być w dobrym humorze tego dnia, kiedy Paul von Lengenfeldt przyszedł na świat.

Marcela dobrze nie widziała, bo siedział obok niej. Miała tylko nieodpartą, prymitywną świadomość, że jest przy niej mężczyzna. W ciasnym powozie trudno jej było uniknąć dotykania kolan Paula, ale on nie działał na nią tak silnie.

Było jasne, że powóz opuścił zamieszkane okolice. Trzęsło coraz bardziej, pojazd kołysał się z boku na bok, koła obracały się z trudem, karoseria skrzypiała.

— No dobrze, tylko od czego zacząć? — zastanawiała się Saga. — Historia Ludzi Lodu jest niezwykle bogata, przedstawię ją tylko w najogólniejszych zarysach.

Po czym opowiedziała o Tengelu Złym i jego dotkniętych dziedzictwem potomkach. O Tengelu Dobrym, który zdołał w pewnym stopniu złagodzić przekleństwo, przynajmniej na tyle, że prócz obciążonych na świat przychodzą także wybrani. Opowiadała o Shirze i o Heikem, za którym wszyscy tak bardzo tęsknią, a Paul przerywał jej wielokrotnie okrzykami w rodzaju: „Nie, to niemożliwe! Nie możesz traktować tego poważnie!” Marcel także odnosił się do jej opowiadania sceptycznie, wyczuwała to, choć się nie odzywał. Później opowiedziała o alraunie, którą wiezie teraz do Norwegii i która, oczywiście, spoczywa zapakowana w kuferku, ale która jest czymś w rodzaju żywej istoty, gdyby chcieli później zobaczyć ów niezwykły amulet, to...

Chętnie na to przystali i prosili, by opowiadała dalej, ale wyezuwała w ich głosach niedowierzanie.

Jak ich przekonać, skłonić, by mi uwierzyli, zastanawiała się. Nie znam się przecież na czarach, a alrauna w mojej obecności się nie porusza. Dzielnie jednak brnęła dalej. Opowiadała o przodkach rodu, którzy pomagają nieszczęśnikom obciążonym dziedzictwem i próbują naprawiać wyrządzone przez nich zło, ale którzy nie mają możliwości nawiązania kontaktu z wybranymi. O szarym ludku, który Vinga i Heike sprowadzili na świat, a który potem odmówił opuszczenia Grastensholm. I wreszcie o dziwnych demonach, które w istocie pomogły Ludziom Lodu, a zwłaszcza Tuli, w walce z Tengelem Złym.

— I to jest właśnie niepojęte — powiedziała na koniec. — Bo demony należą przecież do złych mocy. Nikt nigdy nie słyszał o demonach przyjaznych ludziom!

Paul uśmiechał się z tego jej przejęcia, natomiast Marcel oparł się wygodniej i rzekł:

— Z czysto teoretycznego punktu widzenia sprawa nie jest taka dziwna, jak się na pozór wydaje, Sago. Właśnie o tym rozmawialiśmy wczoraj, o istocie zła.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała przestraszona, że nie pojmuje jego zbyt jak dla niej uczonych wyjaśnień.

On chyba zrozumiał, bo wytłumaczył jej wszystko używając mniej wyszukanych słów:

— O ile dobrze pojąłem, to Tengel Zły rzeczywiście dotknął samej istoty zła, kiedy dotarł do Źródeł Życia i do ciemnej wody. To musiało wstrząsnąć ziemią do samej głębi.

Saga skinęła głową.

— Opowiadano o drganiaeh morskiego dna i skał i o straszliwym krzyku, jaki się wtedy wydobywał spod ziemi.

— Otóż to! Jak widzisz, ja wierzę w twoje opowiadanie, uważam, że powątpiewanie byłoby dla ciebie obraźliwe. Ale czy pamiętasz, o czym rozmawialiśmy wczoraj? Że Szatan, taki jak go określa chrześcijaństwo, jest jedynie małym fragmentem zła? Trzeba ci wicdzieć, że pierwsi ojcowie Kościoła mieli nie lada dylemat, kiedy należało objaśnić problem diabła. Nie chcieli za nic definiować złajako samoistnej siły, która by egzystowała na świecie równocześnie z Bogiem. Bowiem ich Bóg był Ojcem wszystkiego, był Jedynym! Wszystko musiało być stworzone przez niego. Również Szatan. Dlatego połączyli dwie pierwotnie różne opowieści. Tę o Lucyferze, aniele, który przeciwstawił się Panu...

— Tak — wtrąciła Saga. — Ja znam tę opowieść. Lucyfer został za karę strącony do otchłani.

— To prawda — uśmiechnął się Marcel. — Ojcowie Kościoła dokonali tu jednak nadużycia twierdząc, że ten upadły anioł, Lucyfer, stał się Szatanem. Tak naprawdę Szatan był pradawnym bóstwem, które egzystowało od tysięcy lat.

— A zatem Lucyfer nie jest zły?

Tym razem Marcel powstrzymał uśmiech.

— Cóż, aniołem to on już nie jest. I wątpię, czy ktoś, kogo zmuszono do życia przez całą wieczność w otchłani, zdolny jest kochać ludzi. To przecież z ich powodu został tam wtrącony.

— Tak, pamiętam, za co się tam dostał.

— A zatem traktuj Lucyfera tak, jak na to zasługuje. Uważaj, że jest to upadły anioł. Czarny anioł. I nie do nas należy rozstrzyganie, czy jest dobry, czy zły. Choć bardziej prawdopodobne jest to ostatnie.

Paul poruszył się, jakby go coś uwierało. Wyraz jego twarzy wskazywał, że nie bardzo mu się ta rozmowa podoba, zwłaszcza że wszelkie próby uwodzenia Sagi spalały na panewce. Młoda dama odsuwała się od niego zdecydowanie.

Powóz nagle gwałtownie skręcił i Saga mimo woli wpadła na Marcela. On ją podtrzymał, nie mogło być inaczej, i przcz chwilę czuła jego ręce na swoim ciele. Przerażona własną reakcją wyprostowała się i przeprosiła.

Z jednym ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów Paul zaproponował:

— Sądzę, Marcelu, że powinniśmy się zamienić miejscami. Co ty na to, Sago?

Ona, skrępowana, nie odpowiedziała na pytanie. Rzekła natomiast stanowczo:

— No, a wracając do demonów...

— No właśnie, wybacz mi, rzadko mi się zdarza wtrącać takie długie dygresje. Przepraszam — uśmiechnął się Marcel, a Sadze ten jego uśmiech niezwykle się spodobał. Nie rozumiała też, dlaczego jest taka poruszona. Oprócz sprawy z Lennartem nie bardzo się dotychczas zajmowała mężczyznami. I gdyby powiedzieć prawdę, to Lennart wcale jej tak bardzo nie podniecał, w każdym razie nie było o czym mówić. Mimo to przecież właśnie on, Lennart, znaczył dla niej najwięcej ze wszystkich młodych mężczyzn, których spotkała i którzy jej się podobali.

Ale bliskość Marcela sprawiła, iż doznawała zawrotów głowy. Musiała spuścić wzrok, nie była w stanie patrzeć mu w oczy.

Marcel nie zdążył dokończyć swoich wyjaśnień o demonach, gdy Paul przerwał mu zirytowany:

— Wszystko to tylko takie wyssane z palea sprawy, krótko mówiąc, niepoważne gadanie. Chciałbym się dowiedzieć czegoś bardziej interesującego. Opowiedz nam o swoim rozwodzie, Sago. To przecież wielki skandal! Jak mogłaś coś takiego zrobić? Sprawiasz wrażenie porządnej panny.

Twarz Sagi wykrzywił grymas. Myśl o rozwodzie nadal spcawiała ból.

— Myślę, Paul, że użyłeś najwłaściwszego słowa. Byłam po prostu za bardzo porządna.

— A dziewczyna nie powinna taka być? — pytał złośliwie.

— Nie wiem, ale myślę, że do nieszczęścia doszło z mojej winy.

Choć było to dla niej bardzo trudne, opowiedziała im o swoim niezbyt romantycznym i niemal od początku nie bardzo udanym małżeństwie z Lennartem. O tym, że ona sama nie miała do ofiarowania żadnych uczuć, i o tym, że chcąc mu to zrekompensować, starała się być tak zwaną dobrą żoną i że chyba przez jakiś czas jej się to udawało. Potem, nie patrząc na nich, opowiedziała o tamtym fatalnym dniu, kiedy poznała, jak się rzeczy mają naprawdę.

— Czasami myślę, że może byłam zbyt nieustępliwa — powiedziała zaciskając dłonie. — Inne kobiety z pewnością przemilczałyby to, co się stało, i trwały w małżeństwie. A może nawet z czasem by wybaczyły. Jakoś by z tym żyły, by uniknąć skandalu. Ale dla mnie kompromis był niemożliwy. Zostałam z mężem, dopóki moja matka żyła, ponieważ nie chciałam jej ranić. Ale z trudem znosiłam nawet widok Lennarta, więc opuściłam go tego samego dnia, w którym moja ukochana mama zamknęła oczy. Masz rację, Paul. Jestem zimną kobietą.

— A ja uważam, że postąpiłaś właściwie — rzekł Marcel po chwili milczenia.

— Oczywiście, na tego człowieka w żaden sposób nie mogłaś liczyć — zgodził się Paul. — Zachowałaś się bardzo dzielnie, że odważyłaś się odejść mimo skandalu.

Saga zachichotała.

— Ale teraz uciekam!

— O, to raczej twoje zadanie skłoniło cię do wyjazdu — rzekł Marcel. — A teraz Paul będzie mi musiał wybaczyć, ale jestem ci winien jeszcze wyjaśnienia, Sago. Co do twoich demonów...

— Tak. Dziękuję ci! — zawołała, a Paul westchnął ciężko.

Marcel mówił wolno:

— Otóż wydaje mi się, że kiedy ów Tengel Zły osiągnie władzę nad światem — Boże, uchowaj nas przed tym — to będzie ona obejmować również złe bóstwa i złe duchy. I właśnie tego demony się lękają. Nie chcą się znaleźć pod panowaniem Tengela Złego.

— Wszystkie złe moce? — zapytała Saga. — Takie jak Szatan?

— Jak Szatan chrześcijan i jak Iblis islamu, Ahriman Persów, Kali hinduistów, choć akurat ona jest i dobra, i zła, jak Baal, Moloch...

— I jak Nga Samojedów — wtrąciła Saga.

— Dużo wiesz! — uśmiechnął się Marcel.

— Ech, to nie ja, o tym można przeczytać w księgach Ludzi Lodu.

— Bardzo bym chciał je kiedyś przejrzeć.

Saga stwierdziła, że ten pomysł bardzo się jej podoba. Byłaby okazja do zacieśnienia znajomości...

— Zatem uważasz, że władza Tengela Ziego będzie wielka? — zapytała i nie mogła się pozbyć niejasnego wrażenia, że mają jakąś złą moc blisko siebie, w powozie. To oczywisty absurd, rezultat rozmowy o sprawach nadprzyrodzonych.

— Będzie to władza ogromna — powiedział z naciskiem. — Jeśli wszystko, co nam opowiedziałaś, jest prawdą, a nie mam powodu w to nie wierzyć, to Tengel Zły rzeczywiście znalazł źródło zła, to potworne miejsce, z którego ono wypływa. Dlatego jego przebudzenie będzie katastrofą, tragedią dla świata. Skoro drżą bogowie i demony, to co się stanie z nieszczęsnym człowiekiem? Jeśli wziąć za punkt wyjścia historię religii, to widać, że...

Paul, który przysłuchiwał się ich rozmowie z rosnącą irytacją, teraz rzekł sarkastycznie:

— Cóż to za gadanie? Nie macie o tym wszystkim najmniejszego pojęcia... To wyssane z palca teorie, Marcelu. Rozprawiasz o diabłach i demonach, jakbyś rozwiązywał matematyczne zadanie. A to sprawa uczuć. Albo wiary, jeśli kto woli.

Światło padało z boku i oczy Paula wydawały się przezroczyste. Wyglądało to okropnie i odbierało urodę jego fascynującej twarzy, zwłaszcza że był taki zirytowany. Saga myślała początkowo, że Paul należy do ludzi, którzy biorą życie lekko, cokolwiek by się działo. Teraz stwierdzała, że wygląda... no tak, tak, niemal demonicznie!

— Mój drogi hrabio — rzekł Marcel. — Oczywiście to jest sprawa wiary. Szatan i to wszystko to tylko symbole. Wiara ludu. Przecież żaden człowiek wykształcony w nic takiego nie uwierzy z całą powagą!

Mieli wrażenie, jakby Paul rósł im w oczach. Ale on po prostu uniósł się gniewnie, wypiął pierś do przodu i oddychał ciężko.

— Teraz znowu szydzisz — syknął ze złością. — Bardzo dobrze wiesz, że bez zła nie mogłoby się ujawnić dobro. Czy napcawdę chciałbyś zaprzeczyć istnieniu książąt Ciemności i Światła? Odrzucasz ich istnienie? Ale zapewniam cię, mnie możesz wierzyć. Ja wiem lepiej!

Sytuacja zaczynała być nieprzyjemna. Powóz był zbyt ciasny na takie gwałtowne dyskusje. Ponadto Saga uważała, że Marcel bywa niekonsekwentny, ale może to jej wina, że nie nadąża za jego rozumowaniem.

— Nie chcę w żaden sposób zaprzeczać istnieniu Boga ani Diabła — odparł Marcel spokojnie z największą powagą. — Oni żyją. Lecz żyją dlatego, że ludzie ich stworzyli. W chwili gdy ludzie przestaną w nich wierzyć, dokładnie w tej samej chwili będą martwi. Czym na przykład jest dzisiaj Baal? Albo Moloch?

— Oni byli bożkami — sprostował Paul krótko.

Saga jednak zwróciła się ku Marcelowi:

— Dokładnie to samo, co teraz mówisz, powiedział kiedyś Shama do Shiry.

— Był to bez wątpienia bardzo rozsądny człowiek — odparł Marcel ze śmiechem.

— To nie był żaden człowiek. Shama był duchem.

— Tak, chyba musiał być duchem. Albo złym bożkiem. Paul, jeśli wyrażam się tak krytycznie o ojcach Kościoła, to dlatego, że oni wypaczyli opowieści biblijne. I teraz już nie wiadomo, co jest prawdą, a co zostało przez nich upiększone. Weź dla przykładu opowieść o kraju Kanaan, który Pan obiecał swojemu ludowi. Przyrzekł, że to będzie ich kraj. Biblia ukrywa jednak fakt, że w tym kraju żył już inny lud. Plemię liczące wiele tysięcy osób. I nie wspomina też nic o tym, że dzieci Izraela obcięły głowy większości z nich, a resztę wypędziły na pustynię. Otóż ja nie wierzę, że dobry Bóg obiecał ten kraj swemu ludowi, uważam natomiast, że to jest nadużycie twórców Pisma, sposób na uspokojenie wyrzutów sumienia po tym zbiorowym mordzie. Bóg ze Starego Testamentu to okrutny władca.

Został opisany przez kapłanów, którzy chcieli mieć władzę nad ludźmi. Ja natomiast wierzę w Boga pełnego miłości.

Saga potakująco kiwała głową, Paul jednak nie był zadowolony.

— Dosyć już rozmów na ten temat. Nie powinieneś wypowiadać się w sprawach, o których nie masz pojęcia. Skąd możesz wiedzieć to wszystko? Nie lubię, kiedy wyszydza się słowa Pana.

— Nikt ich nie wyszydza — oburzył się Marcel. — Ale masz rację, nie żyłem w tamtych czasach, nie widziałem jak było, a poza tym nasza rozmowa zeszła na boczne tory i to jest moja wina. Jeśli tylko mam okazję rozmawiać z inteligentnymi ludźmi, staję się nieodpowiedzialny.

Paul złagodniał, słysząc komplement o inteligentnych rozmówcach. Marcel zatem dodał pospiesznie:

— Mieliśmy opowiedzieć sobie nawzajem historie naszego życia. Twoja kolej, Paul. Chyba rozumiesz, że jesteś dla nas postacią w najwyższym stopniu zagadkową.

Z rozbrajającą szczerością Paul oświadczył, że słucha tego z największym zadowoleniem.

Saga zaczęła sobie przypominać, co jej matka, Anna Maria, powiedziała kiedyś na temat silnych osobowości. Że jest w nich także sporo przesady. To znaczy, że ich przytłaczająca, niezwykła osobowość może stać się męcząca dla otoczenia, że zwyczajny człowiek nie jest w stanie znieść bijącego od nich promieniowania. To właśnie można było powiedzieć o Paulu. Saga wcale by się nie zdziwiła, gdyby zakochała się w tym niezwykle pięknym mężczyźnie, ale niczego takiego nie odczuwała. Był jakiś taki jakby nieprawdopodobny. W jakiś sposób nierzeczywisty.

Może zresztą było w nim coś jeszcze, co ją powstrzymywało, coś, co właśnie teraz dało o sobie znać. O takieh ludziach matka także wspominała. Paul nie znajdował żadnej przyjemności w uczestniczeniu w rozmowie, w której nie był główną postacią, centralnym punktem. Oczywiście, człowiek z jego urodą musi być z pewnością rozpieszczony, ale on nudził się tak ostentacyjnie, kiedy Marcel wygłaszał swój krótki teologiczny wykład, a rozkwitł tak radośnie, kiedy uwaga znowu została skierowana na niego, że to aż się rzucało w oczy. Anna Maria ostrzegała córkę przed takimi ludźmi, zwłaszcza przed mężczyznami. Małżeństwo z kimś takim bywa bardzo trudne, mówiła matka, i Saga przyznawała jej rację.

Paul był teraz znowu sobą, jak dawniej interesujący, czarujący, ożywiony. Owo przezroczyste światło w jego oczach zgasło i nie wydawał się już taki nierzeczywisty. Mimo to w jego obecności nie czuła się dobrze.

Hrabia nie zdążył jednąk nawet zacząć swojej opowieści, bo powóz gwałtownie się zatrzymał i stangret zeskoczył z kozła.

Paul otworzył drzwiczki.

— Co się stało?

— Dalej nie pojedziemy — burknęła dziwaczna figura.

Najohydniejsza na świecie gęba pochylała się do jadących z wyrazem zdecydowania.

Wysiedli. Rozmowa w powozie była tak interesująca, że nie zauważyli nawet, iż las zamknął się wokół nich gęstym pierścieniem. Słońce osiągnęło swój najwyższy punkt na niebie, ale tutaj jego światło docierało jedynie w postaci niewielkich, migotliwych plam.

Woźnica miał, oczywiście, rację. Saga już wcześniej zauważyła, że droga jest coraz bardziej nierówna, ale nie zdawała sobie sprawy z tego, co to znaczy. Trzęsło przecież mniej lub bardziej przez cały czas. Teraz zobaczyli, że ostatni kawałek przebyli ledwo widocznym leśnym duktem przez brzozowe zagajniki, a teraz wjechali w sosnowy bór. I mieli przed sobą tylko wąską ścieżyinę.

— No tak — rzekł Paul z westchnieniem. — To koniec z wygodami. Teraz mamy do dyspozycji tylko własne nogi. Gdzie jesteśmy?

— W drodze do norweskiej granicy — mruknął woźnica ponuro. — Ale gdzie dokładnie, to nie wiem.

Saga pamiętała widok samotnych jeziorek i pięknych, ale niestety odludnych krajobrazów, jakie mijali w ciagu ostatnich godzin. Ale przeważnie zajęta była rozmową i rzadko wyglądała przez okno.

— A gdzie jest główna droga? — zapytał Paul.

— Na południe stąd — odparł woźnica. — I myślę, że dosyć daleko.

Marcel rozejrzał się. Nie żeby spodziewał się zobaczyć coś innego oprócz lasu, ale przecież można się rozglądać — żeby tak powiedzieć — bez powodu.

— Musimy się znajdować w głębi sosnowych puszcz — powiedział. — Rozciągają się one po obu stronach norwesko-szwedzkiej granicy. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to kierować się według słońca na zachód. Dopóki nie dojdziemy do zamieszkanych terenów, już w Norwegii.

— To będzie długa droga — zauważył Paul. — Myślę, że powinniśmy tutaj coś zjeść.

Rozłożyli się na niewielkiej polance pośród mrocznego lasu. Saga nie potrzebowała wiele czasu, by się zorientować, że prowadzi tędy szlak łosi. Słoneczne światło z trudem docierało na dół, więc na ziemi nic prawie nie rosło, pokrywało ją tylko zeschłe igliwie.

Poprosili hrabiego, by opowiadał swoją historię, lecz on odmówił. Widocznie nie chciał się zwierzać, gdy woźnica był w pobliżu.

Kiedy się najedli, woźnica zdjął z bagażnika mały dwukołowy wózek i zaczął na niego pakować ich kuferki i walizy.

— Mój podróżny wózek — zawołał Paul, który po jedzeniu i piciu był znowu w promiennym humorze. Wypili butelkę wina z jego zapasów. Marcel wprawdzie odmówił, ale Saga wypiła trochę i długa podróż przez pustkowia niepokoiła ją teraz znacznie mniej. Wszystko będzie dobrze, myślała zadowolona.

— Ten wózek jest wspaniały — zapewniał Paul. — Bardzo leciutki, nigdzie się bez niego nie ruszam.

Saga jednak podejrzliwie przyglądała się jego skrzyni, którą stangret lokował właśnie na dwukółce. W porównaniu z tą skrzynią jej kuferek był drobiazgiem. Marcel w ogóle nie miał bagażu, tylko niewielki węzełek.

— W gęstym lesie trudno będzie to ciągnąć — powiedział Marcel, wskazując na wózek.

— Nic podobnego! — zawołał Paul beztrosko. — Nie będzie kłopotów, wiem, że nie będzie.

Saga zastanawiała się, czy może Paul już kiedyś nie odbył takiej podróży, ale uznała to za niemożliwe.

Stała sama przy dużym powozie, gdy nagle usłyszała, że od tyłu ktoś się zbliża, stąpa ciężko i utyka. Woźnica...! Zadrżała, ale się nie odwróciła. Udawała, że poprawia ubranie. Obaj panowie zajęci byli bagażami.

Woźnica był niższy, niż jej się przedtem zdawało, i jakiś taki skulony, jakby dawno temu coś na nim usiadło i przygniatało go do ziemi. Gdy ją mijał, wymamrotał jakby sam do siebie:

— Panienka jest takim dobrym człowiekiem. Niech panienka na niego uważa! On nie jest tym, za kogo się podaje. Niech się panienka trzyma tego drugiego!

— Co to znaczy? — zapytała również bardzo cicho — Co masz na myśli mówiąc: Nie jest tym, za kogo się podaje?

Woźnica stał przy niej i wyjmował z powozu jakieś rzeczy Paula. Pochylił głowę i wymamrotał jeszcze ciszej:

— On jest diabłem! Tak, to właśnie chciałem powiedzieć! To prawdziwy, najprawdziwszy diabeł! To nie jest ludzka istota!

Paul coś zawołał i woźnica pospieszył na wezwanie.

Saga stała wstrząśnięta. Owszem, skłonna była przyznać, że Paul odnosi się po diabelsku do tego nieszczęśnika. Nagle usłyszała, że Paul ryczy wściekle:

— Co? I mówisz o tym dopiero teraz?

Natychmiast podeszła, żeby się dowiedzieć, o co chodzi.

Paul był czerwony ze złości.

— Ten tłumok, ta kreatura, a nie stangret, zapomnia nam powiedzieć, że w puszczy trwa pogoń.

— Co za pogoń? — zapytała Saga i mimo woli stanęła pomiędzy Paulem i stangretem.

Odpowiedział jej Marcel:

— Wygląda na to, że w jakiejś leśnej osadzie wybuchła awantura. Pijatyka i bójka, zakłuli kogoś nożami. Teraz za nożownikiem, który uciekł w lasy, wysłali obławę. Ale ten przecież nie musi być w tej okolicy, Paul. Puszcza jest rozległa. Dlaczego akurat miałoby się to wydarzyć na szlaku, którym my idziemy? Zresztą tutaj wszędzie takie odludzie, sam widzisz.

— Tak, tak, a poza tym jest za późno na cokolwiek. Musimy ruszać na los szczęścia. Żebyśmy tylko nie wpadli prosto na jakiegoś lensmana, to wszystko pójdzie dobrze. A kiedy już przekroczymy norweską granicę, to nikt nas nie powstrzyma.

Woźnica zawrócił konie i powóz odjechał. Na moment Sagą owładnęło przemożne pragnienie, żeby pobiec za nim, by znaleźć się w bezpiecznym powozie i wrócić do ludzi.

Kiedy kareta zniknęła im z oczu, Saga poczuła się kompletnie opuszczona. Zagubiona, bez możliwości ratunku.

To oezywiście niemądra myśl, lecz las wydał jej się nagle taki pusty, taki rozpaczliwie pusty!

Rozpoczęła się szaleńcza wędrówka przez nieznany bór.

Broni nie mieli żadnej. Wprawdzie Paul niósł spory pistolet, ale nie zabrał amunicji. Marcel natomiast miał nóż o długim ostrzu. To wszystko.

— Czy nie zagrażają nam dzikie zwierzęta? — zapytała Saga.

— Nie, nie sądzę — odparł Marcel. — Jest nas troje. Drapieżniki rzadko atakują grupy ludzi, prawda?

— Masz rację — odpowiedział Paul. — A poza tym niech no nas tylko zaczepią! Zresztą wilki i niedźwiedzie zostały przecież prawie zupełnie wytępione, czyż nie?

— Szczerze mówiąc, nie wiem, jak to jest w tych okolicach — rzekł Marcel z wahaniem. — Myślę, że wiele ich nie zostało, ale pewien nie jestem.

Dla Sagi brzmiało to strasznie, te rozmowy o ewentualnym spotkaniu z dzikimi zwierzętami. Fakt, że ona sama żywiła wielki respekt dla łosi, wcale jej odwagi nie dodawał. Na wszelki wypadek szła w środku pomiędzy dwoma swoimi towarzyszami. Hrabia Paul z wrodzoną arystokratyczną niezależnością objął przewodnictwo a ciągnięcie wózka z bagażem zostawił „włóczykijowi”, jak raz określił Marcela.

Wciąż jeszcze trwał dzień. Scieżka była stosunkowo szeroka, bez trudu mogli iść blisko siebie i rozmawiać, wędrowali więc w dobrych nastrojach, tak to przynajmniej wyglądało.

Paul opowiadał swoją historię, lecz Saga wciąż nie przestawała myśleć o słowach woźnicy: „On nie jest tym, za kogo się podaje”. Słuchała więc jego opowieści ze sporym sceptycyzmem.

Rodzina hrabiego nie pochodziła ze Szwecji, opowiadał, o czym zresztą mogło też świadczyć jego nazwisko. Nie było zatem Langenfeldtów w spisach heraldycznych. ( Nie, no pewnie, że nie, myślała Saga złośliwie.) Ród musiał uciekać ze swojego kraju w czasie wojen napoleońskich i osiedlił się w nieurodzajnej Szwecji.

— Ja objawiałem już od wczesnego dzieciństwa... pewne zdolności — oświadczył Paul w ten właściwy sobie czarujący i na pozór bezpretensjonalny sposób, który jednak Sagi nie był już w stanie zwieść. — Rodzina zatem łożyła znaczne sumy na moje wykształcenie. I teraz jestem, no... czymś w rodzaju ambasadora mojego kraju. Dlatego często wyjeżdżam za granicę. Tak jak teraz.

Kłamiesz, myślała Saga. Nie wiedziała dlaczego, ale była pewna, że przez cały czas w słowach, zachowaniu, w calej osobie Paula jest coś fałszywego, jakieś zakłamanie, czego nie była w stanie zaakceptować. Woźnica też zwrócił jej na to uwagę.

Uwodzicielski, czarujący, beztroski i w gruncie rzeczy skłonny do przesady Paul. Tak, ale pod tą piękną i gładką fasadą czaiło się coś nieprzyjetmnegn. Coś... niehezpiecznego?

Saga nie wiedziała, dlaczego nagle zadrżała z zimna w środku letniego, ciepłego dnia, idąc za plecami tego mężczyzny.

Jakby czekało ją coś strasznego...

Och, jest po prostu głupia! Nie trzeba przecież od razu puszczać wodzy fantazji tylko dlatego, że idzie się przez mroczny, niesamowity las.

Paul mówił i mówił. O przyjęciach, przepychu i sprawach honoru, o życiu na królewskim dworze, o kobietach, które go nienawidziły, o przygodach; zblazowanym tonem opowiadał o swoich podbojach. Saga i Marcel słuchali w milczeniu.

Momentami Paul przybierał tragiczny ton, skarżył się, ale po chwili znowu uśmiech rozjaśniał mu twarz. Zostałem przeznaczony do czegoś wielkiego, to wszyscy widzą. I dlatego mam przeciwników. Zazdrość, rozumiecie. Niektórym bardzo się nie podoba, że pnę się w górę. Wysoko postawieni panowie nie lubią rywali. Tak więc musiałem zrezygnować z wysokiego stanowiska. Ale co tam...! Paul von Lengenfeldt nie spuszcza nosa na kwintę z takiego powodu! Pracuję w ciszy, rozumiecie. I pewnego pięknego dnia... No dobrze, to nieważne, nie powinienem niczego ujawniać, zanim ten dzień nadejdzie.

— Masz rację — uśmiechnęła się idąca za nim Saga. Kiedy Paul mówił o swojej wielkości, trudno mu się było oprzeć. Można go było podziwiać za samo to, że istnieje, że jest na świecie istota tak doskonała!

Ale jego następne słowa były dla Sagi szokiem. Kiedy coś do niego mówiła, odwrócił się, szedł przez jakiś czas tyłem, patrząc na nią, po czym zawołał:

— Och, Sago, jesteś fantastyczna, jeśli tylko się na chwilę zapomnisz i uśmiechniesz się szczerze. Wtedy człowiek ma ochotę chwycić cię w ramiona i sprawić, byś uśmiechała się tak już zawsze. Widzieć cię radosną i bosko piękną! Tak, bo jesteś piękna, Sago! Żebyś tylko umiała pozbyć się tego smutku!

— To nie moja natura jest taka — odparła Saga. — Tożałoba, którą w sobie noszę, i lęk, który mnie nie opuszcza.

— Tak, tak, ale nie mówmy teraz o tym! Czy ty nie rozumiesz, że jesteś tą, której szukam od tysięcy lat? Przez tysiące niespokojnych lat śniłem o tobie, Sago! I w końcu, w końcu cię znajduję!

Wyciągnął ramiona w świadomie teatralnym geście, jakby zamierzał podważyć powagę swoich słów, po czym roześmiał się hałaśliwie.

Saga jednak wiedziała, że mówił serio. Chciał ją mieć, a był mężczyzną, który brał to, czego pragnął.

Nieoczekiwanie Saga pomyślała, że bardzo chętnie zajrzałaby do wielkiej skrzyni Paula. Czuła, że tam kryje się rozwiązanie jego tajemnicy. Jeśli w ogóle miał jakieś tajemnice... Bo to prawda, że był kimś innym, niż mówił, była o tym przekonana. I skąd mógł się wziąć taki fantastyezny mężczyzna? Czyż nie powinien być znany na całym świecie? Mógł stanowić towarzyską sensację, gdziekolwiek się pokazał. Czy ktoś taki powinien wędrować jak zwyczajny śmiertelnik po tych upiornych pustkowiach? To prawda, mówił o wspaniałej przeszłości, a z tym wyglądem mógł osiągnąć wszystko i przeżyć bardzo wiele. Ale Saga sporo wiedziała o szwedzkim dworze królewskim, przez rodzinę Oxenstiernów, i nigdy nie słyszała, żeby mówiono o kimś takim jak on. Ani o hrabim Paulu von Lengenfeldt, ani o żadnym niezwykle przystojnym, ba, olśniewającym mężczyznie. A przecież by mówiono, gdyby Paul pojawił się na dworze.

Nie był jeszcze stary. Trudno byłoby określić, ile ma Iat. W pewnym sensie był bez wieku, prawdopodobnie jednak młodszy od Marcela. Chyba nie miał jeszcze trzydziestki.

Zwalczany? Przez zazdrosnych rywali? Utracił wysoką Pozycję w wyniku intryg, czy coś takiego, nie pamiętała dokładnie, jak to określił.

Saga chciała myśleć o czymś przyjemniejszym.

— Teraz twoja kolej, Marcel!

Ale Paula to nie interesowało. Zatrzymał się.

— Ciii! — szepnął. — Słyszeliście?

Saga i Marcel zaczęli nasłuchiwać. Las nie był już taki gęsty, przeważnie rosły tu wysokie sosny, dumne i proste, otwierał się wspaniały widok — daleko, daleko ponad porośniętą zielonym mchem ziemią.

Saga słyszała tylko jakieś pełne skargi nawoływanie z oddali, jakby echo słów, które umilkły dawno temu. Ale w tym wołaniu słychać bylo strach i Saga miała wrażenie, że skierowane jest ono do niej — jak ostrzeżenie wykrzykiwane bez nadziei, że zostanie usłyszane.

ROZDZIAŁ V

— Co ty słyszałeś, Paul? — zapytał Marcel niskim, trochę jakby świszczącym głosem.

Paul przestał nasłuchiwać.

— Jakąś rozmowę, tak mi się zdawalo. Blisko nas.

Marcel rozejrzał się uważnie.

— Musiało to nie być tak blisko.

Jeśli Paul dostrzegł ironię, to w każdym razie nie dał tego po sobie poznać.

— Chyba masz rację. Przestrzeń jest tu otwarta jak na morzu. Tylko bardzo szczupłe istoty mogłyby się ukrywać za tymi sosnami. Człowiek sobie wyobraża różne rzeczy.

— Idziemy już bardzo długo. Gdybyśmy teraz usiedli tam, przy tych zaroślach, to nikt by nas nie zobaczył, a my mielibyśmy widok na całą okolicę.

— Bardzo rozsądna uwaga. Ja także zgłodniałem.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Sagę przenikał dreszcz na myśl o zmroku. Nawet drzewa wydawały jej się groźne, niemal wrogie, ale to oczywiście pobudzona wyobraźnia podsuwała jej takie wizje. Przerażał ją ten dręczący lęk, dotychczas zupełnie nie znany.

Ale ona też zrobiła się głodna. Ponieważ nie wiedzieli, kiedy dojdą do jakichś zamieszkanych okolic, musieli oszczędzać prowiant. Paul nie miał już wina, butelki były zbyt ciężkie, żeby je transportować w tych warunkach. Marcel, przyzwyczajony do takich podróży, odkroił tylko cienki kawałek ze swojego bochenka chleba i zjadł odrobinę suszonego mięsa, więc i Saga starała się wytłumaczyć sobie, że głód jest taki dokuczliwy tylko pierwszego dnia. Ona też oszczędnie korzystała z zapasów.

Poza tym miała nadzieję, że wędrówka rychło dobiegnie końca. Martwiło ją to, że traci tutaj cenny czas, zadanie czeka na nią w parafii Grastensholm, a ona się tu włóczy po bezdrożach z dwoma obcymi...

Choć przecież Marcel nie jest obcym. To jej kuzyn, ponadto łączy ich teraz bardzo piękne porozumienie, wzajemne zaufanie. Nie musieli na siebie patrzeć, nie musieli się dotykać. Odczuwali nawzajem własną obecność.

— Marcel, teraz koniecznie muszę usłyszeć twoją historię — powiedziała Saga. — Nadal stanowisz dla mnie zagadkę.

Marcel uśmiechnął się blado, a Paul z nagłym zainteresowaniem zaczął obserwować źdźbło trawy.

— Tak naprawdę to nie ma we mnie niezego zagadkowego — powiedział Marcel. — Jeśli już, to raczej moje przeżycia określiłbym jako tragikomiczne. Podobnie jak ty, Paul, byłem rodzinnym geniuszem, tak przynajmniej wszyscy uważali. Myślę, że wywierali na mnie wielki nacisk, kiedy byłem młodszy. Oczekiwano, że poradzę sobie ze wszystkim, z wszystkimi szkołami, z każdą sprawą, której się podejmę.

— Mieszkałeś wśród Walonów? — zapytała Saga.

— Czasy się zmieniły — odparł. — Walonowie nie są już taką zamkniętą grupą, zaczęli bardziej wchodzić w społeczeństwo szwedzkie. Ale oczywiście to moja walońska rodzina wywierała na mnie presję. A ja się poddawałem, brałem na siebie zbyt wiele...

— Mówiłeś, że byłeś lekarzem?

Marcel westchnął.

— Nie tak od razu. Studiowałem bardzo poważnie wiele przedmiotów. Teologię, historię, filozofię... aż w końcu zająłem się medycyną. Tak, zostałem lekarzem. Ale stawiałem sobie zbyt wielkie wymagania, podjąłem się leczenia bardzo trudnego przypadku, czego nie powinienem był robić. Nie udało mi się.

Paul i Saga siedzieli bez słowa.

— Czy chory zmarł? — zapytała Saga, gdy milczenie się przeciągało.

Marcel wpatrywał się w ziemię pomiędzy swoimi zgiętymi kolanami.

— Coś w tym rodzaju. Nie udała mi się operacja i zniszczyłem cudze życie. Naturalnie straciłem pracę. Później wędrowałem z miejsca na miejsce, a teraz jestem w drodze do Norwegii i mam nadzieję, że tam powiedzie mi się lepiej. No, czy nie powinniśmy ruszać? Im dalej dzisiaj zajdziemy, tym lepiej.

Wstawali opieszale. Saga stwierdziła, że skóra jej stóp jest bardzo wrażliwa. I na pewno będzie miała pęcherz na stopie, jeśli natychmiast nie opatrzy otarcia. Usiadła na powrót i zdjęła but.

Marcel ukląkł przy niej i uważnie obejrzał nogę.

— Połóż tutaj liść — zalecił.

— O, ja mam lepsze środki — uśmiechnęła się Saga. — Czy nie zechciałbyś przynieść z wózka mojego kuferka?

Kiedy zobaczył jej zbiór środków leczniczych, najpierw zaniemówił, a potem rzekł:

— Boże drogi, kto tu jest lekarzem? Ja czy ty?

— Och, to tylko niewielka część zbioru Ludzi Lodu. Ja rzadko tega używam, bo też i skarb nie do mnie należy. Nie jestem jednym z rodzinnych uzdrowicieli.

Marcel brał po kolei różne woreczki i przyglądał im się w najwyższym zdumieniu.

— Masz tu proszki i pigułki, które od dawna wyszły z użycia! Jak na przykład ten środek do tamowania krwi albo lekarstwo na uspokojenie serca i... o, no właśnie, proszek z alrauny. Skąd ty, na Boga, to wzięłaś?

— Mnie o to nie pytaj. To jest spadek, nic więcej nie wiem.

Zdumiony kręcił głową.

— Czy ty sabie zdajesz sprawę z tego, że to jest warte majątek?

Saga była zaskoczona.

— Nikt nigdy w naszym rodzie nie patrzył na skarb z tego punktu widzenia — odparła.

Na dźwięk słowa „majątek” Paul nastawił uszu i podszedł do nich. Ukucnął i z uwagą przyglądał się skarbowi Ludzi Lodu.

W zaroślach wiatr szeleścił zeschłymi liśćmi, co brzrmiało jakoś nieprzyjemnie, złowieszczo. Wyobraziła sobie, że tak może szeleścić pełzający grzechotnik.

Marcel podnosił teraz jedną pa drugiej maleńkie flaszeczki.

— Tylko za to jakiś aptekarz albo kolekcjoner dałby tyle, że mogłabyś wygodnie żyć przez długi czas!

— Ale ja nie zamierzam tego sprzedawać — uśmiechnęła się, myśl wydała jej się niewiarygodna. — Nigdy w życiu, wolałabym już raczej umrzeć z głodu!

W oczach Paula pojawił się jakiś dziwny blask. Siedział i przekładał poszczególne elementy skarbu, ręce drżały mu z przejęcia.

— Co to, na Boga, jest? — spytał nagle zdumiony dotykając jakiegaś dziwnego przedmiotu. — Jakieś zwierzę, czy co... Au, ratunku! To przecież żywe!

Odrzucił to, co trzymał w ręce, jakby go oparzyło, i zerwał się na równe nogi.

— To jest właśnie alrauna — wyjaśniła Saga. Podniosła amulet z ziemi i ułożyła starannie w niewielkiej szkatułce. — Ona do mnie nie należy.

Zauważyła wyraźnie, że alrauna skurczyła się, jakby ją coś zaniepokoiło. Było to osobliwe uczucie, Saga nigdy by nie przypuszczała, że alrauna zareaguje na jej bliskość; teraz ją to przeraziło.

A może to nie jej obecność poruszała alraunę tak nieprzyjemnie? Może chodziło o Paula? Bo to przecież w jego pięknych oczach dostrzegła obrzydzenie.

Napotkała zdumione spojrzenie Marcela. Oboje popatrzyli w stronę Paula, który cofał się z pobladłą twarzą, sztywny ze strachu.

— Nie bój się — uspokajała go Saga. — Ona nie zrobi ci nic złego, dopóki nie zagrozisz nikomu z Ludzi Lodu. A przecież nie jesteś dla mnie niebezpieczny, prawda? — uśmiechnęła się.

Paul odzyskał spokój, kiedy alrauna zniknęła w zamkniętej szkatułce. Po chwili powiedział już swoim zwykłym, lekkim tonem:

— Powinnaś to sprzedać, wiesz. Bo jeśli tego nie zrobisz, to narazisz swoją duszę na potępienie.

— Nie. Alrauny ani nie trzeba, ani nie można sprzedać — powiedziała Saga tak stanowczo, jakby chciała, żeby szczelnie owinięty amulet słyszał jej słowa. — Zresztą to w ogóle niemożliwe, jak z pewnością wiesz.

I opowiedziała legendę o alraunie, przede wszystkim dla Marcela, który jej nie znał. O tym, że alraunę można sprzedać tylko za niższą cenę, niż ta, za którą się ją kupiło, i że w końcu ten, który nie może już bardziej ceny obniżyć, zostaje z nią na zawsze i musi zaprzedać duszę diabłu.

— Ale to się odnosi do zwyczajnej alrauny — uspokajała Saga. — Amulet Ludzi Lodu jest wyjątkowy. Przywiązał się do naszego rodu i nie może należeć do nikogo innego. Myślę, że dla tego z rodziny, kto by się jej pozbył, źle by się to skończyło.

Paul kręcił głową z przejęcia. Wyraz jego twarzy świadczył wymownie, co myśli on o mądrości Sagi, a ściślej biorąc o jej głupocie. Ale nie chciał znaleźć się ponownie w pobliżu alrauny.

Marcel pomógł Sadze opatrzyć stopę. Ręce miał niezwykle kształtne i wrażliwe. Ich dotyk był dla Sagi doznaniem prawdziwie erotycznym, znacznie większym niż wszelkie pieszczoty Lennarta.

Spoglądała w dół na pochyloną głowę Marcela, na jego czarne loki. Każdy jego ruch świadczył, że i on odczuwa to niezwykłe napięcie między nimi. Cudowna, jakby zaczarowana chwila w tym cichym, prześwietlonym słonecznym blaskiem zagajniku. Rozedrgana aura zmysłowości otaczała ich niby gęsty obłok. Tylko ich.

Marcel trzymał swoje dłonie na stopie Sagi dłużej, niż to było konieczne, jakby chciał utrwalić tę łączącą ich więź, to wzruszenie, poczucie wspólnoty. Potem wstał i spojrzał jej w oczy.

O Boże! myślała Saga. Ja... To musi być to, czego zawsze pragnęłam. Miłość. Owo uczuciowe porozumienie między kobietą i mężczyzną, które jest czymś więcej niż erotyka, które odmienia człowieka gruntownie, zapada w jego serce i pozostawia w nim na wieki gorejące znamię. O Boże! Dzięki Ci, że dane mi jest to przeżywać!

Natychmiast jednak przyszło zastanowienie. No i co teraz? Co się teraz stanie? Czy wszystko ma się ograniczyć tylko do tej jednej chwili uniesienia i gorących marzeń, czy też będzie jakiś ciąg dalszy? Czy mam prawo spodziewać się dalszego ciągu? Czeka mnie przecież zadanie do spełnienia i na nim powinnam się koncentrować. Czy wobec tego mam prawo żywić tak silne uczucie do mężczyzny?

Shira takiego prawa nie miała. Cztery duchy odebrały jej zdolność kochania. Długo, bardzo długo myślałam, że mnie czeka podobny los, bo przecież wiedziałam, że moje uczucie do Lennarta nic nie znaczy.

Z rozmarzenia brutalnie wyrwał ją głos Paula.

— Czy nigdy nie wyjdziemy z tego przeklętego lasu? — wybuchnął gwałtownie.

Czar prysł. I Saga, i Marcel odetchnęli głęboko jak po ciężkim wysiłku fizycznym.

Musieli jednak przyznać Paulowi rację. Im także to pytanie przychadziło do głowy. Cały dzień szli przez sasnowy bór, mając pod stopami mchy i kłujące porosty, przez jagodniki i wrzosowiska pod wysokimi drzewami, przez niesamowite, jakby zaczarowane lasy, gdzie pełno było porośniętych mchem głazów, lub przez zagajniki, gdzie drzewa iglaste rosły na przemian z liściastymi i gęstymi krzewami. Tam gdzie las sosnowy był gęsty, musieli przedzierać się pośród uschłych, kłujących gałęzi. Udręką było w takich okolicach ciągnięcie wózka, który beuzstannie zapierał się o korzenie, sterczące gałęzie czy po prostu na nierównej ziemi. Marcel przeklinał wtedy paskudnie. Robił to wprawdzie bardzo cicho, ale Paul i tak go słyszał i syczał ze złością.

— Nie nadużywaj imienia Szatana — upominał ostro. — To się może zemścić!

Saga nie bardzo wiedziała, co myśleć o Paulu. Był człowiekiem bardzo skomplikowanym, nikogo podobnego nigdy przedtem nie spotkała. Dziki, a jednocześnie religijny, dobry i zarazem zły.

Zresztą czy naprawdę był religijny? Bronił przede wszystkim Szatana. Boga nigdy.

Tymczasem wyszli wprost na duże jezioro i musieli je okrążyć. Znaleźli się w otwartym krajobrazie i widzieli dalekie osiedla. Stosunkowo najbliżej leżała nieduża wieś z kościółkiem pośrodku. Nie odważyli się jednak pójść do ludzi, póki nie będzie pewności, że to już Norwegia. Brnęli więc z determinacją dalej.

Od dróg trzymali się z daleka. Zdarzało się, oczywiście, że nieoczekiwanie otwierał się przed nimi jakiś leśny trakt, węższy lub szerszy, ale naprawdę nie mieli ochoty nikogo spotkać. Raz znaleźli się tak blisko ludzi, że słyszeli rozmowy. Ale język tych rozmów był szwedzki, niestety!

Nic nie wiedzieli na temat, jak duże obszary zostały dotknięte cholerą ani czy mieszkańcy tych leśnych okolic mają pojęcie o zagrożeniu epidemią i zakazie przekraczania granicy, ale nie próbowali się dowiadywać. I chociaż nie mówili o tym głośno, to przecież wszystkich myśl o cholerze napełniała lękiem, także ze względu na własne bezpieczeństwo...

Przeważnie zresztą szli przez odludzia.

A teraz, kiedy wyruszyli z ostatniego popasu, otaczała ich pustka jeszcze większa niż przedtem. Teraz bowiem słońce schowało się za wzgórza i choć miało świecić jeszcze jakiś czas, to cienie stawały się coraz dłuższe, budząc mimowolny niepokój.

Szli i szli, od dawna już nie widzieli śladów ludzi.

Znajdowali się w samym centrum puszczy.

Saga starała się być jak najbliżej Marcela. Szukała u niego ochrony, także przed Paulem. Tak, to może absurd, lecz Paul przerażał ją ze względu na tę swoją niepojętą naturę. Ta nieziemska uroda, dystans wobec innych ludzi, choć to akurat należało pewnie przypisywać arystakratycznemu pochodzeniu, i jego zmienne nastroje! Czuła się w jego towarzystwie coraz gorzej, aczkolwiek nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego.

Był jak wielkie, nieznane i trudne do opanowania źródło zagrożenia, tylko tak umiała to określić.

Stosunek Paula do współtowarzyszy podróży też był zmienny i niejasny. Marcela tolerował, najwyraźniej potrzebował go jako przewodnika w tej dość niebezpiecznej Wędrówce przez nieznane leśne bezdroża. Ale traktował go z tą wyniosłością, z jaką arystakraci odnoszą się do osób z ludu. Marcel znosił to jednak z kamiennym spokojem. On zresztą wszystko znosił z kamiennym spokojem.

Z Sagą też było różnie. Zdarzało się, że Paul zaczynał ją uwodzić, ale potem jakby w pół drogi rezygnował i szedł w swoją stronę. Kiedy indziej znowu zwracał się do niej tak samo jak do Marcela. Wyniośle, ironicznie, jakby chciał pokazać, że nic dla niego nie znaczy. Bywało też, że przemieniał się w krzykliwego dyktatora.

Któregoś razu jednak, gdy znaleźli się oboje z dala od Marcela, Paul chwycił ją w ramiona i mocno przycisnął do siebie. Wysyczał przez zęby niemal z nienawiścią: „Ty wiesz, że jesteś moja? Chcę cię mieć, długo na to czekałem, Sago! Właśnie taką jak ty kobietę chcę mieć! Chcę widzieć, jak twoje oczy zachodzą mgłą w miłosnym uniesieniu! Nie ustąpię, dopóki tego nie osiągnę!”

Saga uważała, że wyznanie brzmi banalnie, ale nie powiedziała nic. Wyrwała się po prostu i poszła sobie.

Gdyby we wcześniejszej młodości była choć trochę kokietką, z pewnością uległaby czarowi tego niezwykle pięknego mężczyzny. Teraz jednak Saga czuła się jak ptak, który opalił sobie skrzydła, a poza tym jej seree było gdzie indziej.

Może Paul widział, na co się zanosi między Marcelem i Sagą? I może to raniło jego dumę? Sądząc po jego zachowaniu, tak właśnie było.

Ale przyczyny mogły też tkwić zupełnie gdzie indziej.

Szli i szli, chociaż zmrok stawał się coraz gęstszy. Wilgotna mgła unosiła się nad błotami, las trwał w ciszy.

Sadze zdawało się, że jakieś niewidzialne istoty krążą pomiędzy nimi. Miała nadzieję, że to tylko gra jej wyobraźni, mimo to nie mogła się pozbyć uczucia, że coś nie znanego, coś mistycznego towarzyszy im przez całą drogę. Że jest wśród nich.

Nagle Paul przystanął.

— Spójrzcie! — wyszeptał.

Znajdowali się nad małym leśnym jeziorkiem o zarośniętych brzegach, wypełnionym czarną wodą. Za sobą mieli milczący, ciemny las świerkowy.

Na przeciwległym brzegu stał ogromny łoś, pił wodę i przeglądał się w jeziorze. Kiedy wyszli z lasu, uniósł w zamyśleniu swoją arystokratyczną głowę i patrzył ponad wodą na ludzi. Potem zastrzygł uszami i powrócił do picia.

— Wspaniałe zwierzę — szepnął Paul.

— O, tak — przyznała Saga. — Jest piękny, zwłaszcza po drugiej stronie jeziora.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się do niej i zawrócili do lasu. Saga ruszyła za nimi, podeszła do Marcela i mocno chwyciła go za rękę.

Teraz już nie mogli długo wędrować, trzeba było pomyśleć o jakimś noclegu. Wkrótce potem znowu zobaczyli jezioro, tym razem większe, a przy nim kilka budynków. Przystanęli, by się zastanowić nad sytuacją.

— Musimy już być w Norwegii — oświadczył Paul.

Marcel odnosił się do tego sceptycznie.

Paul rozstrzygnął sprawę:

— Pójdę tam i zapytam. O, jakieś dwie dziewczyny. Uwiodę je i poproszę o schronienie na noc.

— Nie, nie — zaprotestował Marcel z uśmiechem. — Nie możemy nocować tak blisko ludzi. Zwłaszcza jeśli to Szwedzi. Ale dobrze, idź i dowiedz się. Na pewno zrobisz na nich takie wrażenie, że zapomną zapytać, skąd się wziąłeś. Ale bądź tak dobry i ogranicz znajomość do najbardziej podstawowych pytań! Nie mamy czasu na żadne romanse.

— Szkoda, szkoda — narzekał Paul żartobliwie, ruszając w stronę zabudowań.

O ileż sympatyczniejszy stał się nastrój dzięki świadomości, że są w pobliżu ludzi. Dopóki byli tylko we troje, napięcie między nimi stawało się momentami nie do zniesienia. A może wszystko stało się łatwiejsze, kiedy Paul odszedł? Saga odprowadzała go wzrokiem. Mimo woli przysunęła się bliżej Marcela.

— On mnie wytrąca z równowagi — powiedziała.

— Mnie także — mruknął Marcel.

— Po prostu nie wiem, co to jest.

Jak okropnie zabrzmiały te słowa: Co to jest, a nie: kto to jest.

Skuliła się.

Paul podszedł do dziewcząt, które stały jak skamieniałe. Najwyraźniej nie wiedziały, co powiedzieć. Saga doskonale to rozumiała: Zobaczyć kogoś tak niezwykłego, wyłaniającego się z lasu! Ciekawe, co sobie myślały?

Paul zabawił tam dość długo. Tymczasem Saga i Marcel stali przy sobie, napawając się nawzajem swoją bliskością. Saga niemal czuła płynące od niego rozkoszne ciepło. Ogarnęła ją dziwna tęsknota, myślała o niewidzialnej więzi, cudownej i bardzo silnej, o wszystkim, co ten człowiek mógł jej dać, jeśli tylko ona zechce wziąć.

A Saga chciała. Po raz pierwszy w swoim życiu pragnęła przyjąć miłość mężczyzny. A może miłość to zbyt mocne słowo jak na tak krótką znajomość?

Nie! Dziwna sprawa, ale nie. Wszystko, co teraz wypełniało jej myśli i uczucia, było tak intensywne, że nie mogło powstawać tylko w niej samej, musiało płynąć do niej także od Marcela. I było tak silne, że zabarwiało atmosferę całego otoczenia. Saga wiedziała, że całe jej ciało i dusza dążą tylko do tego, by być jak najbliżej Marcela. Czuła mrowienie pod skórą, nerwy napinały się, kiedy docierało do niej ciepło jego oddechu. Ten oddech właśnie, powolny i gorący, świadczył, że Marcel odczuwa to samo co ona.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Teraz, kiedy nie było Paula, widziała, jak bardzo pociągającym mężczyzną jest Marcel. Zupełnie inaczej niż tamten śliczny archanioł, jak określała Paula. W Marcelu było coś więcej, jakaś głgbia. Cechowała go surowa powaga, która od czasu do czasu łagodniała, przemieniając się w czułość; w niezwykłych oczach, tak jasnych, że skóra i włosy zdawały się przy nich jeszcze ciemniejsze, była jakaś sugestywna siła. Oczy osadzone dość głęboko wydawały się takie tajemnicze i takie pociągające! Teraz uśmiechały się do niej, poważnie i spokojnie, wyrażały wszystko, co zrodziło się między nimi, a co nie zostało powiedziane...

Ale kiedy się w końcu odezwał, słowa zabrzmiały przerażająco.

— On ciebie pragnie — powiedział z zaciętą złością. — Wiesz o tym, prawda?

— Nnnie... Nie wydaje mi się — odparła niepewnie. — On tak mówił, ale ja wcale nie wierzę.

— Bo nie znasz męskiej dumy, Sago! Paul nigdy by się nie przyznał do porażki, nigdy by się też nie zniżył do tego, by żebrać o twoją miłość.

— Masz rację. On nie żebrze. Raczej okazuje złość. Uszczypnął mnie w ramię, aż zabolało. Ale mimo wszystko... Nie, Marcelu, sądzę, że się mylisz. Słyszałeś przecież, jak powiedział, że będzie uwodził tamte dziewczyny.

— Och, moja droga, nie bądź naiwna! Powiedział tak po to, by wzbudzić w tobie zazdrość.

Machnęła niecierpliwie ręką.

— Ale co by on we mnie widział? Jestem sztywna i zimna... Sam tak powiedział!

— No, no, zastanów się. Myślę, że jego akurat to najbardziej pociąga. Ty rzeczywiście sprawiasz wrażenie osoby bardzo chłodnej i zachowującej dużą rezerwę, ale ja wiem, jaka głębia uczuć się za tym kryje. I on wie także. A to, że tak trudno cię zdobyć, budzi w mężczyznach instynkt myśliwego.

— To samo mówił Lennart. — Saga zadrżała. — Ale on nie znalazł we mnie ukrytego ciepła.

— Bo to nie był mężczyzna dla ciebie. Paul zresztą też nie jest.

Nie dopowiedział reszty. A Saga nie miała odwagi zapytać. Znowu spojrzała w stronę zabudowań.

— On jest jak piękna muszla — powiedziała cicho. — Skorupa niezwykłej urody, ale co się kryje wewnątrz? Kim on, na Boga, jest? W każdym razie nie jest żadnym hrabią Lengenfeldtem, to mogłabym przysiąc.

— Czy on działa na ciebie jako mężczyzna? — zapytał Marcel półgłosem.

Och, jaka nieskończona cisza! I jej odpowiedź będzie także nieskończenie ważna!

— To zależy, co rozumiesz przez określenie: „działa”? — rzekła wolno. — On robi wrażenie, trudno się oprzeć, ten jego wygląd... Ale jeśli ci chodzi o coś poważniejszego... to odpowiedź brzmi: nie!

Zdawało jej się, że Marcela to uspokoiło, mimo to powiedział w zamyśleniu:

— Nie byłbym tego taki pewien, Sago. Po prostu oczu nie możesz od niego oderwać.

— To może tak wyglądać. Ale teraz zastanawiam się, dlaczego i o czym on tak długo tam rozmawia?

— Sraraj się tylko nie zostawać z nim sam na sam — ostrzegł Marcel.

— Nie, nie odważyłabym się! Bo to, co się kryje za tą wspaniałą fasadą, to, co on nosi w sobie... przeraża mnie, trudno nawet powiedzieć jak basdzo. Marcelu, ja czuję, czułam to przez całą drogę, że towarzyszy nam zło.

— Owszem — potwierdził wolno. — Myślę, że masz rację. Ale ja będę przy tobie. Będę cię ochraniał, żeby ci się nic złego nie przytrafiło.

Instynktownie chwyciła jego rękę.

— Nie odchodź ode mnie, Marcelu, ani na moment. Bądź przy mnie, nie zostawiaj mnie samej z tym... monstrum!

— O, to chyba zbyt mocne słowo!

Znowu poczuła tę nie nazwaną, bezgraniczną wspólnotę z człowiekiem obok niej. Nawet otaczające ich powietrze było nią przesycone i wiedziała, że tego mężczyznę umiałaby kochać. Gorąco i gwałtownie, wszystkimi zmysłami, tak jak Saga Simon nigdy nie kochała.

Dłoń Marcela dotknęła leciuteńko jej ramienia. Ostrożnie, jakby się bał, że ją przestraszy. W tym zmysłowym dotknięciu dłoni wyczuwała jego napięcie, jego... pożądanie. Kątem oka widziała piękne, długie i szczupłe palce, które wolno, wolniutko zaciskały się na jej ramieniu.

— Paul wraca — powiedziała Saga krótko, przestraszoma. tym, co się między nimi działo, przestraszona, że sama tak bardzo pragnie dalszego ciągu.

Marcel westchnął z rezygnacją i jego ręka wolno zsunęła się w dół.

Saga oddychała ciężko, nie spuszczając oczu z powracającego Paula. Przeżycie było tak intensywne, że czuła spływające po karku kropelki potu.

— Och, jedna z dziewcząt okazała się prawdziwą pięknością! — wołał Paul z daleka. — Uzgodniliśmy, że dzisiejszą noc spędzimy w stajni.

— Tak blisko ludzi? — zapytał Marcel.

— Nie wy, oczywiście! — rzekł Paul, rzucając Sadze promienne spojrzenie. — Tamta dziewczyna i ja. A w ogóle to one są Szwedkami. Ale jesteśmy już bardzo blisko norweskiej granicy. Przekroczymy ją jutro.

Saga i Marcel nie wiedzieli, co powiedzieć.

— Czy ty naprawdę zamierzasz...?

— Nie, oczywiście, że nie — roześmiał się Paul. — Zażartowałem sobie z was. Nie spodziewałeś się chyba, Marcelu, że zostawię cię sam na sam z Sagą? Wszyscy wiedzą, co by się wtedy stało. No, chodźcie, ruszamy dalej!

Saga zastanawiała się nad tym, co Marcel powiedział o zazdrości. Tak, nie ulegało wątpliwości, że tamto o nocy z dziewczyną w stodole Paul adresował przede wszystkim do niej.

Jej to w ogóle nie obeszło. Ale zauważyła zaciekawione spojrzenie Marcela. Co on sobie myśli? Naprawdę uważa, że Paul działa na nią fizycznie?

Było raczej przeciwnie! Teraz kiedy wrócił, pojawił się znowu dawny lęk. Bała się. Ona, która do niedawna w ogóle nie wiedziała, co znaczy lęk! Teraz serce jej się kurezyło w trudnym do określenia przerażeniu.

Kim, na Boga, jest ten Paul?

ROZDZIAŁ VI

Znaleźli znakomite miejsce na obóz przy końcu wąskiego cypla wchodzącego w głąb leśnego jeziorka. Męż-czyźni zbudowali od strony lądu zaporę z uschłych drzew, gałęzi i chrustu; będą mogli czuć się bezpieczni, chronieni przed napaścią zarówno ze strony zwierząt, jak i ludzi.

Zapadła letnia noc. Księżyca nie było widać, niebo zakrywała gruba powłoka chmur, nie było jednak tak ciemno, by nie mogli rozróżniać przedmiotów przed sobą. Choć znajdowali się w środku puszczy, nie chcieli rozpalać ognia, by ktoś nie zauważył ich obecności. Saga zrobiła kolację z zapasów, jakie ze sobą nieśli, i przygotowała posłania najlepiej jak umiała. Ona sama nie nawykła do nocowania pod gołym niebem i nie miała wprawy w takiej pracy, ale Marcel pomógł jej rozesłać płaszcze i derki na trawie. Dla siebie pościeliła w środku. Puszcza była dla niej obszarem całkowicie nie znanym, a nocą mogą się tu włóczyć najrozmaitsze stwory.

W końcu ułożyli się do snu, zmęczeni, ale syci. Saga czuła bolesne pulsowanie w całym ciele. Nie mogła znaleźć wygodnej pozycji, bo albo posłanie było nierówne, albo okrycie się z niej zsuwało.

Po chwili stwierdziła, że żaden z jej współtowarzyszy nie śpi. Obaj tak samo jak ona leżeli i wpatrywali się w niebo. Zastanawiała się tylko, czy i oni odczuwali ten sam rozedrgany niepokój, ten sam paniczny lęk, że czas nagli. Że powinni iść dalej, uciekać od...

Nie, to zakrawa na histerię. A w ogóle to do niej niepodobne.

— Nie możecie spać? — zapytała najciszej jak mogła.

Obaj potwierdzili.

— Czuję w powietrzu jakiś dziwny niepokój — szepnęła Saga. — Nie wiem, co to jest.

Marcel odpowiedział, że odczuwa to samo, tylko Paul okazał się niewrażliwy.

— Jestem zbyt przemęczony — wyjaśnił. — i tylko dlatego mam kłopoty z zaśnięciem.

To ?asne, że ty nic nie czujesz, pomyślała Saga ze złością. Bo przecież to ty jesteś źródłem niepokoju!

— Te dziewczyny — zapytała — czy to naprawdę były Szwedki? Nie Finki?

— Tego nie wiem — odparł Paul. — W każdym razie mówiły po szwedzku.

— I nie słyszały nic o epidemii cholery? — wtrącił Marcel.

— Chyba nie sądzisz, że je o to pytałem? — odparł Paul i odwrócił się w jej stronę. — Ale same o niczym nie wspomniały.

— W porządku. W takim razie nic nam nie grozi — rzekł Marcel. — Ani epidemia, ani to, że ludzie zaczną gadać o dziwnych wędrowcach.

— Ale na przejściach granicznych muszą pewnie wiedzieć, jak się sprawy mają — zastanawiała się Saga.

— To bardzo prawdopodobne. Dlatego przedzieramy się przez te piękne, choć ponure fińskie lasy.

Paul westchnął:

— Tak, piękne to one są. Zwłaszcza osada, z której pochodziły dziewczęta.

— Zapytałeś, jak się nazywa?

— Nie. Zapomniałem. Dziewczyny były takie urocze. Ale teraz, kiedy zwróciłaś mi na to uwagę, myślę, że chyba rzeczywiście miały fińskie rysy. Wystające kości policzkowe i w ogóle. Tak, przyznaję, to lekkomyślne z mojej strony, że nie zapytałem o nazwę wsi, ale co by nam to dało?

— Właśnie, masz rację.

Przez chwilę leżeli milcząc.

— Czy tu naprawdę jest dużo Finów? — zapytał Marcel.

Saga, która wiedziała sporo o żyjących w Szwecji Finach i zamieszkiwanych przez nich okolicach, odpowiedziała:

— W ostatnich czasach sprowadza się tu caraz więcej Szwedów, ale wiem, że bardzo wielu dawnych mieszkańców jest pochodzenia fińskiego i że bardzo są z tego dumni, najzupełniej słusznie, moim zdaniem. Jeśli chodzi o nas, to wolałabym, żeby twoje znajome mówiły raczej po fińsku niż po szwedzku.

— A to dlaczego?- zapytał Paul.

Saga westchnęła.

— Historia tych okolic i dzieje tutejszych Finów nie przynoszą Szwedom chluby.

— Zdaje mi się, że ty dużo o tym wiesz — wtrącił Marcel, przyglądając jej się w bladej poświacie letniej nocy. — Opowiedz!

Saga uśmiechnęła się.

— Owszem, wiem co nieco o różnych sprawach. Wiesz, ja jestem kimś takim, o kim się mówi „dyletant”. Kto liznął trochę wiedzy o różnych sprawach, ale niczego porządnie nie zgłębił. Dla mnie źródłem wiedzy była matka, ona była bardzo mądrą kobietą. W każdym razve, skoro mowa o tych Finach, to wiesz, że kiedyś Finlandia i Szwecja tworzyły jedno państwo. Szwedzcy władcy uważali, że mogą decydować o losie Finów według własnego widzimisię. Pod koniec szesnastego wieku król szwedzki postanowił zaludnić okolice, przez które właśnie idziemy. Chodziło mu o pomnożenie podatków dla korony, lecz w równym stopniu także o ochronę granicy od strony Norwegii, całkowicie tu otwartej. Jeszcze i teraz jest to pustkowie, a dawniej granica przebiegała przez kompletne odludzia. Wtedy to, na przełomie wieku szesnastego i siedernnastego, fińskie krainy Tavastland i Savolaks ucierpiały w wyniku długotrwałych klęsk nieurodzaju, zatem Finowie nie mieli nic przeciwko przesiedleniu się w inne okolice. Szacuje się, że w wieku osiemnastym żyło w Szwecji blisko czterdzieści tysięcy Finów.

— Nieźle — wtrącił Paul.

— Rzeczywiście sporo. Ale i tutaj powodziło im się nie najlepiej. Mówiono o nich: „Żarofinowie”, bo prowadzili żarową uprawę roli: wypalali ogromne połacie lasów i pogorzeliska zamieniali w pola, w ogóle lubili żyć na otwartych przestrzeniach, a osady lokowali na wzniesieniach. Zauważyliście też pewnie po drodze, że gdzieniegdzie pola i łąki są ogrodzone wysokimi parkanami z kamieni. Potrzebne do tego kamienie Finowie wydobywali z ziemi, pracowali w kamieniołomach.

Przerwała na chwilę, a potem mówiła dalej:

— Ale w siedemnastym wieku w Szwecji zaczęto rozwijać wydobycie surowców. A Finowie mieszkali na terenach bogatych w rudy, poza tym Szwedom nie bardzo się też podobało to wypalanie lasów. Zaczęły się prześladowania, puszczano z dymem fińskie osady, niszczono pola. Szwedzi chcieli uzyskać dostęp do kopalin, ale często chcieli po prostu odebrać Finom ich dobrze zagospodarowane osiedla. W wyniku tego potworzyły się liczne rzesze bezdomnych Finów, którzy zostali pozbawieni wszystkiego, zewsząd byli przepędzani i włóczyli się z miejsca na miejsce. Ustanowiono w stosunku do nich bardzo surowe przepisy, musieli uczyć się języka szwedzkiego, chodzić do szwedzkiego kościoła, a kiedy się gdzieś osiedlali czy najmowali do pracy, płacili bardzo wysokie podatki. Ich dorobek wciąż jeszcze w tych okolicach istnieje. To zasługa Finów, że są tu mniejsze i większe szwedzkie osiedla.

— Rozumiem — rzekł Marcel. — Chcesz powiedzieć, że Finowie mają większe zasługi w zagospodarowaniu tych okolic niż państwo szwedzkie?

— Właśnie tak. Mama opowiadała mi, że w fińskich lasach jest wiele pamiątek po dawnej obcej kulturze. Finowie żyli w kurnych chatach. To taka pradawna forma budynku mieszkalnego, dom bez komina, z którego dym uchodzi na zewnątrz przez otwór w dachu. Podczas naszej wędrówki widywaliśmy z daleka takie domy. I... — Saga zamilkła na chwilę, jakby się wahała. — I ich wiara także przetrwała. Ich bóg nazywa się Ukko, to pan nieba i urodzaju. Pogańskie bóstwa Finów miały wielką moc i było ich wiele. Mama opowiadała mi o... No właśnie, akurat o tym opowiadają także księgi Ludzi Lodu, bo Sol spędziła trochę czasu w fińskich lasach. Pamiętam opowieść o pewnej brzozie, która rośnie gdzieś tutaj, w pobliżu granicy, chociaż nie wiem, po której stronie, szwedzkiej czy norweskiej. To bardzo dziwne drzewo, wygląda wręcz groteskowo. Chora i powykrzywiana, pełna jakichś obrzvdliwych narośli. Otóż dawno, dawno temu żył sobie stary Fin, taki ludowy znachor, znający się na czarach, o którym powiadano, że potrafi leczyć wszelkie choroby. I wiecie, co on robił? Uwalniał ludzi od cierpień w ten sposób, że przenosił ich dolegliwości na to nieszczęsne drzewo! Dlatego brzózka wyglądała tak okropnie. Nikt nie ważył się zbliżyć do niej ani jej dotknąć, bo mogłoby się to skończyć bardzo źle. Człowiek mógł przejąć od drzewa różne straszne choróbska.

— Uff! Mam nadzieję, że nie natrafimy po drodze na tę brzozę — jęknął Paul.

— Też mam taką nadzieję. Niestety nie wiem, gdzie ona rośnie. Wiem tylko, że istnieje i sprawia wrażenie nieśmiertelnej. A poza tym jest jeszcze...

— Masz więcej takich opowieści?

— Nie, to akurat nie jest takie straszne. Gdzieś niedaleko granicy ma się znajdować krzyż na ziemi.

— Jak to: na ziemi? — zapytał Marcel.

— Nie wiem dokładnie, na jakiejś łące czy gdzieś, wygląda jakby wycięty w ziemi. Została stamtąd zdjęta darń; jest tylko czarna ziemia w kształcie wielkiego krzyża. Nic na tej ziemi nigdy nie rośnie. I tak jest od bardzo dawna, mówią ludzie.

— Ale przecież Finowie nie wierzyli w chrześcijańskiego Boga?

— Drogi Marcelu, wiem o tym tylko tyle, ile sama usłyszałam. Ale przysięgam ci, że to prawda! Opowiedziała mi to matka, a ona nigdy nie zmyślała, nie mówiła nieprawdy. Opowiadała mi jeszcze wiele innych historii o fińskich lasach, ale reszty nie pamiętam, tylko te dwie [Opowieści o brzozie i krzyżu są prawdziwe. Oba te niezwykłe zjawiska istnieją do dziś (przyp. autorki).] sprawy wryły mi się w pamięć.

Prawdopodobnie dlatego, że zostały opisane w księgach Ludzi Lodu.

Duży obłok mgły przepływał nad cyplem i zasłonił im niebo. Wszyscy troje milczeli, czekając na sen. Przygotowywali się na jego przyjęcie. Saga skuliła się na boku i okryła szczelnie, chcąc zatrzymać jak najwięcej ciepła pod cienkim letnim płaszczem. Nagle uświadomiła sobie, że Marcel okrywa ją swoją szeroką peleryną. Paul najwyraźniej już spał.

Leżała blisko Marcela, ale nie na tyle, żeby go dotykać. Czuła jednak płynące od niego ciepło i to sprawiało, że nie mogła zasnąć.

Długo leżała wsłuchując się w mowę lasu, w dalekie głosy ptaków i zwierząt. Doszło do niej stłumione nawoływanie sowy, a może lisa, krzyki tych dwu stworzeń zawsze trudno odróżnić. Słuchała skrzypienia gałęzi i szelestu liści. Raz rozległo się ciężkie, ostrożne stąpanie i wtedy przysunęla się bliżej Marcela, ale nie za bardzo. Nie wiedziała, czy on śpi, czy nie. Leżał zupełnie bez ruchu, nie słyszała nawet jego oddechu. Ale nic dziwnego, skoro nieustannie dochodziły do niej zewsząd jakieś szumy i szelesty. Może to wiatr w koronach drzew, a może stłumiona pieśń jakiejś niedalekiej wody?

Leżała i rozmyślała o swoim zadaniu, bo teraz, po spotkaniu z tymi dwoma mężczyznami, którzy wywarli na niej takie wrażenie, znałazło się ono jakby na drugim planie. Bardzo trudno było jej koncentrować się na tym oczekującym ją nieznanym. Po pieswsze, wciąż nie wiedziała, na czym to zadanie ma polegać, a po drugie opuściło ją to, co uważała za źródło swojej siły, mianowicie odwaga czy raczej brak wszelkiego lęku. W tej wędrówce mieustannie towarzyszył jej strach. Tkwił gdzieś w jej mózgu niejasny, trudny do określenia, a przez to jeszeze bardziej przerażający.

Próbowała ułożyć się wygodniej, obolałe ciało nie mogło znaleźć odpowiedniej pozycji. Powietrze przesycone było wilgocią, dojmujący ziąb panował na cyplu, nad którym krążyły obłoki mgły, przesuwając się ponad wodą i zaktadając do ich obozowiska.

Nawet nie zauważyła, kiedy usnęła.

Saga miała sen. Całkowicie absurdalny sen, który mógłby być śmieszny, gdyby jednocześnie nie był taki złowieszczy.

Znajdowała się w domu, w Szwecji. Było u niej kilka sąsiadek i wszystkie stały na dziedzińcu przy wysokim stogu słomy, ale otoczenie było inne niż zazwyczaj przy stogu. Nie było widać żadnego pola; krajobraz był jakiś upiorny, wszędzie znajdowały się wielkie, groteskowe formacje kamienne. Pomiędzy nimi ziały pustką okropne czame jamy, w których coś dudniło głucho, z wielu wydobywała się para. Owe wysokie niekształtne kamienne słupy rzucały cienie na ludzi.

— Dimmuborgir — powiedziała jedna z sąsiadek rzeczowo.

Pozostałe kiwały głowami, jakby wiedziały, o co chodzi.

— On wydostał się na górę właśnie tędy — wyjaśniła inna.

— Kto? — zapytała Saga.

Wszystkie popatrzyły na nią surowo. Czy naprawdę można być takim głupim?

— Lucyfer, oczywiście — wyjaśniły.

— Lucyfer? — zapytała znowu spłoszona. — Przecież on nie istnieje.

— Oczywiście, że istnieje. Dobrze o tym wiesz! Pojawił się właśnie na Ziemi, żeby szukać swojej ukochanej. A jesteś nią ty, Sago!

Kobiety patrzyły na nią poważnie.

— Jesteś do niej podobna, Sago. Podobna jak dwie krople wody. I on ciebie szuka, nie wiesz o tym?

Wtedy Saga wygłosiła jedną z tych niezwykłych replik, jakie czasem wypowiadamy we śnie, świadczących, że myślimy wtedy jasno i logicznie, choć niekiedy dzieją się w naszych snach rzeczy całkiem absurdalne.

— Ja nie chcę być kochana dlatego, że jestem do kogoś podobna — oświadczyła. — Ja chcę być kochana dla siebie samej!

Jedna z kobiet przysunęła swoją twarz blisko twarzy Sagi.

— Więc jednak chciałabyś być przez niego kochana?

Saga poczuła się nagle bardzo lekka. Niemal unosiła się w powietrzu.

— Chciałam tego, kiedy byłam dzieckiem. Ale teraz wiem więcej. Lucyfer jest jedynie pięknym marzeniem. tego nie można mieć.

Sceneria się zmieniła, choć Saga nie zauważyła, jak do tego doszło. Znajdowała się teraz w ciemnym lesie, zupełnie sama. Nie, niezupełnie. Byli tam też jacyś mężczyźni. Ale to chyba nie ludzie, raczej fauny. Stworzenia te wyglądały okropnie, były całkiem nagie, kosmate, pokryte jakby sierścią, o ogromnych, uniesionych w górę męskich członkach. Zbliżały się do Sagi, a ona spostrzegła, że także jest naga. Przemkrzęła jej przez głowę szalona myśl, że to są może owe demony Ludzi Lodu, ale nie była pewna. Stwory przypominały faunów czy też satyrów, które kiedyś oglądała w jakiejś książce.

— Nie ujdziesz nam! — szeptały głosami pełnymi pożądania, a z ust ciekła im ślina. — Wiesz, że nam nie ujdziesz. Twój przyjaciel i pomocnik na nic się tu nie przyda. Lucyfer pragnie ciebie i nic go nie powstrzyma.

Stwory dotykały jej ciała, a ona czuła, że ogarnia ją podniecenie. I nagle z bardzo daleka usłyszała nawnływanie, ale z trudem rozróżniała słowa, bo nad ziemią zerwał się wicher i wszystko tonęło w szumie.

— Sagal Saga! Spiesz się, czas nagli! On zastawia na ciebie pułapkę, pożąda cię! Lucyfer ciebie chce i nic nie może go powstrzymać. Spiesz się! Uciekaj!

— Nic mi nie grozi! — zawołała w odpowiedzi, próbując się jednocześnie wyrwać czepiającym się jej rękom satyrów. — Nic mi nie grozi, bo ja go nie chcę! On kocha nie mnie, lecz tamtą kobietę z pradawnych czasów.

— Mylisz się, Sago! Mylisz się! On ciebie kocha, ciebie, odkąd cię poznał, pragnie tylko ciebie i nie ujdziesz mu. Uciekaj, uciekaj, Sago!

— Przysłaliście mi przecież człowieka na pomoc, prawda?

— Popełniliśmy błąd, on jest zbyt słaby.

Szum i głosy umilkły. Satyry zniknęły. Saga była sama w swoim pokoju w rodzinnym domu. Ojciec głaskał ją po ramieniu.

Próbowała wyjaśnić mu sytuację:

— To nieprawda, ojcze, nieprawda. Marcel jest wystarczająco silny. I ja go kocham, więc Lucyfer nie może nam nic zrobić.

— Obudź się, Sago! Obudź się!

Z jękiem otworzyła oczy i ocknęła się. Senny koszmar się ulotnił. Ojca przy niej nie było. Znajdowała się pod gołym niebem, otaczała ją wilgotna mgła. Marcel? Marcel jest tutaj... to był jego głos.

Oczywiście! Ojciec przecież nie żyje. Odszedł na zawsze dawno temu. Och, jakże za nim tęskniła! Właśnie teraz tak boleśnie odczuwała jego brak.

Uniosła się na łokciu.

— Chyba ci się śniło coś strasznego — uśmiechał się do niej Marcel. — Jęczałaś przez sen.

Rzuciła pełne lęku spojrzenie w stronę Paula, ale jego posłanie było puste.

— Czy powiedziałam coś konkretnego?

— Nie, żadnego ujawniania tajemnic.

Saga nie była w stanie odpowiedzieć mu uśmiechem.

— Czy to już rano? — zapytała, siadając.

— Nie, jeszcze noc.

Teraz dostrzegła Paula. Stał nad jeziorkiem i w tej kołującej nad cyplem mgle sprawiał wrażenie olbrzyma. Saga zadrżała.

— Owszem, jest bardzo zimno — powiedział — Wchodź pod okrycie!

Nie mogła oderwać oczu od Paula. Wydawał jej się nadludzko wielki i piękny, z tymi swoimi złocistymi włosami, ze szlachetnymi rysami. Archanioł, jak go od pierwszej chwili nazywała. O mój Boże!

Znowu zalała ją zimna fala strachu. Zaczynała się bać, że przodkowie mieli rację. Marcel nie jest dostatecznie silny, by przeciwstawić się tamtemu monstrum. Marcel jest zbyt delikatny i zbyt życzliwy całemu światu.

Muszą uciekać, obo)j! Muszą się od niego uwoinić!

— Sago — rzekł MarceI cicho. — Jest coś, o czym powmienem ci powiedzieć. — Kiedy się obudziłem, Paul grzebał w twoim kuferku, w skarbie Ludzi Lodu. Chrząknąłem dyskretnie, żeby dać mu do zrozumienia, że nie śpię. Nie oglądając się odszedł stąd i stanął nad brzegiem, tam gdzie dotychczas stoi. Wtedy ty zaczęłaś jęczeć.

— Paul? A czego on chce od skarbu Ludzi Lodu?

— Czy to nie oczywiste? Czyż nie okazywał bardzo żywego zainteresowania skarbem od chwili, kiedy powiedziałem, ile to może być warte?

Saga spoglądała w zamyśleniu na nieziemską postać nad wodą.

— Ale to się nie zgadza...

— Co masz na myśli?

— Marcelu, musimy porozmawiać. W cztery oczy. najszybciej jak to możliwe.

— Nie możesz mi zaraz powiedzieć, o co chodzi?

— Nie, to zbyt skomplikowane. I zbyt niewiarygodne. Czy myślisz że on chciał zabrać mi alraunę?

— Coś ty! Przecież on się jej śmiertelnie boi!

— Tak. Marcelu, co to jest Dimmuborgir?

Spojrzał na nią zdumiony.

— Nie mam pojęcia.

— To musi być jakieś miejsce. Może brama w dół... nie, uff!

— Naprawdę nie wiem, nigdy nie słyszałem takiej nazwy.

— Brzmi jakby po islandzku, prawda?

— Owszem, albo po staronordycku, co zresztą wychodzi mniej więcej na to samo. To musi być islandzka nazwa. Ale dlaczego pytasz? Z czym to się łączy?

— Ach, nic takiego. Porozmawiamy o tym później. Marcel, czy możemy uwolnić się od Paula? Jak najszybciej?

Marcel był wyraźnie wzburzony.

— To trochę trudne, tak w środku lasu...

— Wobec tego nie zostawiaj mnie ani na chwilę — poprosiła gorączkowo. — On... On jest niebezpieczny!

— Tak, wiem o tym. On na ciebie czyha, zauważyłem to już dawno. Ale teraz wraca, nie mów nic na temat skarbu!

— Jasne. Najlepiej udawać, że nic się nie stało.

— I nie bój się! Jestem przy tobie przez cały czas.

Saga westchnęła w duchu. Marcel był wysoki i silny, dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Ale nie wiedział, z kim przyjdzie mu się zmierzyć.

A może ona sobie to wszystko wyobraziła? Sny, te wszystkie okropne skojarzenia?

Paul uśmiechał się do nich trochę sztucznie. Najwyraźniej nie był pewien, czy Marcel go widział, kiedy przeglądał bagaż Sagi. Uznali zgodnie, że do rana jeszcze daleko, choć niebo na wschodzie zaczynało powoli blednąć, i że warto jeszcze trochę pospać.

Saga jednak za bardzo się bała...

Wkrótce znowu się obudziła z jakimś nieprzyjemnym uciem. Początkowo nie mogła pojąć, co się dzieje, ale kiedy uniosła głowę i poczuła na policzkach krople deszczu, usiadła gwałtownie.

— Obudźcie się, chłopcy! Deszcz pada!

Zerwali się na równe nogi. Deszcz nie był silny, ale spanie pod gołym niebem przy takiej pogodzie nie należało do przyjemności. Choć zdawali sobie sprawę z tego, że nadal jest bardzo wcześnie, zaczęli zwijać obóz. I tak by nie mogli spać.

Saga poszła na brzeg jeziorka, żeby się umyć. Cicho padające krople deszczu rysowały kręgi na powierzchni.

Pochyliła się i po raz pierwszy od wielu lat przyglądała się uważnie swemu odbiciu w wodzie. Robiła to po raz ostatni jako bardzo młoda dziewczyna. W wieku, kiedy lubimy się sobie przypatrywać w nadziei, że okażemy się naprawdę piękni.

Teraz odkrywała siebie ponownie.

Zdumiona spoglądała na siebie taką, jaką musieli ją widzieć Paul i Marcel. Uśmiechała się trochę ironicznie, ale, choć niechętnie, musiała przyznać im rację. Człowiekowi na ogół z trudem przychodzi uznać, że jest urodziwy. Przeszkadza temu pewna wrodzona skromność, a także swego rodzaju mania, której wszyscy ulegamy, a która polega na wynajdywaniu w sobie wad i niedostatków, od niewidocznego pryszcza po garb na nosie i krzywe nogi.

Saga szukała i szukała, ale nie mogła znaleźć w swoim wyglądzie niczego takiego.

Zdaje mi się, że nie widziałam własnego odbicia od wielu lat, myślała. Po raz ostatni chyba w czasie, kiedy Lennart zabiegał o moje względy. Oczywiście, patrzyłam w lusterko każdego dnia, byłam zawsze zadbana, ale twarz, która na mnie stamtąd spoglądała, nie miała ze mną nic wspólnego. Była obcą rzeczą, nie mną.

Teraz jednak chciałabym być nieopisanie piękna. Żeby się podobać Marcelowi.

Ale Paulowi nie! Nie, o mój Boże, tylko nie Paulowi, on jest przecież... on jest...

Nie, nie mogę tego powiedzieć, nawet w głębi duszy. To zbyt straszne, zbyt makabryczne, zbyt niewiarygodne, moja wyobraźnia przekracza wszelkie granice. Nie wolno pozwalać, by fantazja budowała przywidzenia na podstawie koszmarnych snów. Chyba nie mam dobrze w głowie!

Usłyszała wołanie i ocknęła się. Pospiesznie dokończyła poranną toaletę, na ile to było możliwe w takich prymitywnych warunkach.

Powinnam być jedną z tych optymistycznie usposobionych kobiet Ludzi Lodu, myślała. Jak Tula albo Sol, czy Villemo. Albo łagodna jak moja matka. Ale nie jestem. Ja jestem spokojna, chłodna i pełna rezerwy. Jak... Tak, taka musiała być kiedyś Shira. I Tarjei? Wygląda na to, że tacy bywają wybrani. Może po to, by mogli bez przeszkód koncentrować się na swoich zadaniach. Ale ja i tak nie mogę się skoncentrować! Z tym mężczyzną przy moim boku, w którym z każdą minutą jestem coraz bardziej zakochana! I z tym... nieopisanie groźnym... Nie, nie mogę myśleć o tym, co będzie... wszystko się we mnie burzy, ogarnia mnie panika!

Głęboko wciągnęła powietrze i starała się opanować. Wróciła do współtowarzyszy podróży i próbowała się uśmiechać jakby nigdy nic. Ale nie miała pojęcia, czy i do jakiego stopnia jej się to udało. Czuła, że jej wargi wykrzywił raczej ponury grymas niż uśmiech.

W spojrzeniu Paula dostrzegła arogancję, natomiast wzrok Marcela był uspokajający i wierny. Wszystka było jak dawniej. Tylko ona drżała ze zdenerwowania.

Szli w milczeniu. Zacinający deszcz wciskał się pod ubrania i gasił humory. Nastrój panował nie najlepszy. Paul był coraz bardziej ponury, pewnie dlatego, że Marcel zaskoczył go na gorącym uczynku, myślała Saga. A może nad czymś rozmyśla, coś planuje? Przygotowuje się do czynu?

Marcel także się nie odzywał. Pewnie się zastanawiał, o czym to Saga chciała z nim rozmawiać na osobności, i próbował znaleźć po temu okazję.

Saga też miała sporo do przemyślenia. Raz po raz jej serce ściskał strach.

Choć znajdowali sig ciągle w całkowicie wymarłej okolicy, koło południa spotkali mimo wszystko jakiegoś mężczyznę. Najwyraźniej myśliwego. Wszystko stało się nagle, nie mieli czasu nawet uskoczyć w bok, obcy szedł wprost na nich.

— O mój Boże — szepnęła Saga. — Jeśli to Norweg, to odkcyje natychmiast, że jesteśmy Szwedami. Co robić?

— Zostawcie to mnie — odparł Marcel.

Szli na spotkanie myśliwego, powiedzieli: „Niech będzie pochwalony”, co w obu językach brzmiało dokładnie tak samo.

Saga doznawała sprzecznych uczuć. Wolałaby, żeby to już nie była Szwecja, a jednocześnie bała się, że gdyby Norwegowie ich odkryli, to mogą ich zawrócić.

— No, no — odezwał się szpakowaty mężczyzna z budzącą respekt strzelbą na ramieniu. — Nigdy bym się nie spodziewał spotkać ludzi w tej głuszy.

To Norweg, pomyślała Saga. Teraz się wszystko rozstrzygnie. Może to strażnik graniczny? Bo chociaż Norwegia i Szwecja ustanowiły unię, to jednak dzieliła je granica, której z pewnością ktoś strzegł.

Marcel ich jednak zadziwił. W najczystszym języku norweskim wyjaśnił obcemu, że zabłądzili i niepokoją się, czy nie przeszli na szwedzką stronę.

— Nie, nie — zapewniał tamtem. — Ciągle jesteście w starej, dobrej Norwegii.

Był bardzo uprzejmy, jak to zwykle ludzie na pustkowiach. Pytał tylko, dokąd wędrowcy zmierzają.

Marcel wyjaśnił, że najpierw chcieliby się dostać do Kongsvinger. Później pójdą dalej, każde w swoją stronę, ale najpierw wszyscy idą do Kongsvinger.

No, skoro tak, to poszli trochę za bardzo na północ, wyjaśniał obcy. Przyglądał im się z zaciekawieniem. Było jasne, że jest zdumiony ich widokiem. Dziwił go zwłaszcza wózek, teraz już bardzo sfatygowany; przed chwilą odpadło koło i stracili mnóstwo czasu, żeby je naprawić. Mężczyzna dawał wyraz swojemu zaskoczeniu. Dziwni z państwa ludzie, powtarzał. Jak na wędrowców przez leśne głusze to za pięknie ubrani, wszyscy troje. I z pewnością bardzo kulturalni.

Paul natychmiast odzyskał swoją pańską postawę, tę, która tak bardzo przerażała Sagę i sprawiała, że Paul stawał się jeszcze większy, bardziej przytłaczający, jakby wyrastał ponad świat. Ona sama czuła się wtedy mała i biedna. Teraz jednak ani Paul, ani Saga nie odważyli się odezwać, by nie ujawniać swego pochodzenia. Tylko Marcel mógł rozmawiać, skoro tak świetnie władał norweskim.

Dowiedzieli się, że dotarli do samego centrum rozległych i dzikich terenów nad granicą ze Szwecją i że powinni wziąć kurs na zachód, a właściwie na południowy zachód, by dojść do Kongsvinger. Jeśli nie zaczną krążyć w kółko, to wkrótce dotrą do ludzkich osiedli i do traktów, które doprowadzą ich do celu. Do ludzi jeszcze daleko, to prawda, ale dojdą dziś.

Saga spojrzała na swoje zniszczone buty i cicho westchnęła. Stopy miała poocierane, najgorzej palce, na których porobiły się rany. Nogi bolały ją tak, że idąc utykała.

Mimo wszystko jednak znajdowali się w Norwegii! Najgorsze było za nimi. W każdym razie większa część wędrówki.

Żeby tylko jak najszybciej dojść do ludzi! Uciec od Paula, zanim on zdąży...

Zanim zdąży co?

Chce ją zdobyć? Ale ona nie jest przecież głupią gęsią, która da się omotać. Będzie się bronić! A poza tym ma Marcela!

Skoro jednak Paul jest istotą nieziemską?

Podziękowali myśliwemu za informacje i ruszyli dalej.

Ledwo uszli kawałek, a Paul i Saga wybuchnęli niemal równocześnie:

— Wytłumacz się, Marcel. Mówisz po norwesku, jakbyś się tutaj urodził.

Popatrzył na nich przestraszony, ale zaraz się opanował.

— Przepraszam, myślałem, że wspomniałem o tym w mojej krótkiej autobiografii. Więc jako dziecko mieszkałem przez kilka lat w Norwegii. Ale to jest okres mojego życia, o którym mówię niechętnie.

Nie powiedział nic więcej. Sami musieli zgadywać, patrząc na jego ściągniętą twarz, co wtedy przeżył. Ciemna karnacja i nieco egzotyczny wygląd Marcela musiały drażnić ludzi, którzy lubili, żeby wszyscy byli skrojeni na jedną miarę. Tych, którzy wyróżniają się w masie, powinno się zadeptać, zetrzeć z powierzchni, zadziobać.

Saga nigdy nie miała problemów z powodu swego walońskiego pochodzenia, bowiem większość Walonów nie różniła się zbytnio od Skandynawów. Rysy Marcela były jednak znacznie bardziej wyraziste, wszystko w nim było cudzoziemskie, i te promienne oczy, i białe zęby na tle złocistobrązowej cery, obcość ujawniała się w czarnych kręconych włosach, harmonijnych ruchach i w całej postaci. Im lepiej poznawała Marcela, tym bardziej jej się podobał. Początkowo nie dostrzegała go w blasku promieniejącego urodą Paula. Teraz widziała lepiej.

Dobrze jednak pojmowała, że Marcel mógł mieć pewne kłopoty z powodu głupiej nietolerancji Skandynawów.

Zaczynało wiać. Niezbyt mocno, ale wystarczająco, by deszcz stał sie jeszcze bardziej dokuczliwy, zimny i przejmujący aż do szpiku kości. Saga była rozgrzana po długim marszu, ale teraz przenikało ją lodowate zimno. Na odpoczynek też się nie mogli zatrzymać, bo musieliby siedzieć na gołej ziemi.

Szli więc dalej. Saga lękliwie nasłuchiwała jakichś dalekich, żałosnych nawoływań, które — miała wrażeniedochodziły do jej uszu. Znowu pewnie jej pobudzona wyobraźnia daje o sobie znać. Nic nie mówiąc szli i szli całymi godzinami. Teren stawał się coraz bardziej pofalowany. Wchodzili na wzgórza i schodzili w dół, niekiedy trafiały się podmokłe łąki i trzęsawiska, przez które trzeba było się przeprawiać, brodząc pokonywali rzeki i strumienie i szarpali się z wózkiem, którego Paul za nic nie chciał zostawić.

Przez cały czas Saga nie znalazła okazji, by porozmawiać z Marcelem sam na sam.

Aż do późnego popołudnia. Schodzili właśnie z dosyć wysokiego, stromego pagórka i wózek ugrzązł pomiędzy wystającymi korzeniami. Saga zatrzymała się, żeby pomóc Marcelowi, bo Paul był już daleko przed nimi, w dolinie. Ów trudny do okreśienia niepokój przez cały dzień nie opuszczał Sagi i teraz znalazła się na granicy histerii. Dławił ją coraz większy lęk przed Paulem, uczucie do Marcela rosło z godziny na godzinę, nie mogła sobie z tym wszystkim poradzić.

Paul nie robił nic. On tylko był. Nadal nosił tę swoją maskę arystokraty, choć od czasu do czasu pojawiały się na niej wyraźne rysy i Saga była śmiertełnie przerażona, co zobaczy, kiedy ukaże się jego prawdziwe oblicze. Zagrożenie ze strony tej istoty narastało w milczeniu i prawie niezauważalnie, ale było z godziny na godzinę większe. Nie kokietował jej teraz, nie starał się do niej zbliżyć, jakby mu wszystko zobojętniało, bo dobrze wiedział, że ma nad nią władzę i może decydować, co i kiedy się stanie. Uświadomiła to sobie z trwogą, gdy w którymś momencie napotkała jego wzrok. Dostrzegła w nim jakąś determinację, niezłomne przekonanie, że 'to' musi się stać. Nie potrzebował się zatem spieszyć, Saga znalazła się w pułapce, była w jego władzy, naieżała do niego.

Później spojrzenie Paula przesunęło się ku Marcelowi i pojawił się w nim wstręt i nienawiść. To wtedy zrozumiała, że Marcelowi grozi niebezpieczeństwo.

Muszą uciekać! Muszą! Muszą! Ale jak uciec od kogoś takiego?

Klęczeli teraz przy sobie i próbowali wyrwać koło, które zaklinowało się pomiędzy sterczącymi korzeniami sosny.

— Teraz mi powiesz — rzekł Marcel. — O czym to chciałaś ze mną rozmawiać?

— Dobrze — odparła gorączkowo. — Tylko że to bardzo trudne, Marcelu.

— Nie ma czasu na wahania, to chyba jedyna okazja, jaka nam się trafia. Mów, bez wstępów!

— Wiem. To zabrzmi pewnie dość głupio i...

— Mów!

Wciągnęła głęboko powietrze.

— Ja myślę, Marcelu, że Paul to Lucyfer!

Marcel wstał, bo koło zostało uwolnione. Zamierzał podnieść wózek, ale słowa Sagi sprawiły, że zatrzymał się i patrzył na nią.

— Co ci, u licha, przyszło do głowy?

— Mówiłam ci, że to skomplikowane i że zabrzmi głupio.

— Ale... Chyba nie myślisz tak naprawdę — roześmiał się. — Lucyfer? Tylko dlatego, że wciąż o nim mówi?

— Nie, Marcelu, to coś więcej. Przodkowie Ludzi Lodu mnie ostrzegli. Zresztą ostrzegali mnie wielokrotnie, ale dopiero dziś w nocy zrozumiałam, że to chodzi o Lucyfera.

— I dlatego jęczałaś przez sen?

— Tak.

Z doliny doleciało wołanie Paula:

— Kiedy nareszcie zejdziecie?

— Musimy wyciągnąć wózek! — zawołała Saga w odpowiedzi. — Twój wózek!

— Nie drażnij go — mruknął Marcel. — Chociaż uważam, że doszłaś do absurdalnych wniosków, to Paul jest niebezpieczny. Nawet ja zdaję sobie z tego sprawę.

— Tak. On ciebie nienawidzi, Marcelu.

— Wiem o tym. Kiedy na mnie patrzy, w jego wzroku czai się śmierć.

Wiało teraz jeszcze bardziej, ale jakiś czas temu przestało padać, więc ubrania i włosy wędrowców wyschły. Tu na wzgórzu wiatr był porywisty, lecz Sagi nawet to nie irytowało. Z całych sił starała się przekonać Marcela do swojej teorii. Dopiero kiedy zobaczyła wyraźne powątpiewanie w jego oczach, sama uznała, że to idiotyzm.

— A zresztą — westchnęła. — Zapomnijmy o tym. Taka jestem zmęczona!

— Nie, nie, mów dalej! Ja też uważam, że jest w nim coś niesamowitego. Chociaż, żeby to był Lucyfer? Ten upadły anioł? Dlaczego akurat on?

Powoli ściągali wózek ze zboeza. Nie musieii iść aż tak wolno, ale potrzebowali czasu, żeby porozmawiać.

Saga pospiesznie opowiadała mu swoje sny, zwłaszcza ostatni. O Dimmuborgir, gdzie miał jakoby wyjść z otchłani na ziemię.

Marcel nie bardzo to wszystko rozumiał i wtedy uświadomiła sobie, że przecież on nie zna legendy o miłości Lucyfera. Opowiedziała w skrócie. O tym, że Bóg pozwala Lucyferowi raz na sto lat powracać na Ziemię i szukać tamtej kobiety, za którą tak tęskni. I o tym, że ona, Saga, jest do tamtej podobna, ale że, jak to powiedziały postacie z ostatniego snu, Lucyfer zakochał się tetaz w niej, a nie w obrazie tamtej, i opętany jest myślą, żeby ją zdobyć.

— To postacie ze snu tak mówiły, nie ja — dodała tonem usprawiedliwienia.

— On naprawdę oszalał na twoim punkcie — stwierdził Marcel poważnie, taszcząc w dół ten przeklęty wózek. — A to, co mówiłaś o satyrach, świadczy, że ty sama też nie jesteś tak całkiem odporna na jego obecność.

— Nie! — zawołała gwałtownie. — To nieprawda! To nie on na mnie tak działa...

O mój Boże, co ja chciałam powiedzieć, przestraszyła się.

— To w ogóle wszystko nieprawda — starała się wyjaśnić. — Ja po prostu bardzo źle znoszę jego obecność.

— Oczywiście. Wybacz mi, Sago! Jestem zwyczajnie zazdrosny. Wiesz przecież, co do ciebie czuję, prawda?

Patrzył w ziemię, wyraźnie zakłopotany.

Saga, owa chłodna, pełna powściągliwości kobieta, zaskoczyła sama siebie. Chciała mu ułatwić sytuację, zapytała więc:

— I ty zrozumiałeś także, mam nadzieję?

Marcel oddychał ciężko. Znowu powietrze między nimi wibrowało, oboje odczuwali głęboką więź i tęsknotę, która zdawała się nie mieć granic.

Zniecierpliwiony Paul wciąż pokrzykiwał z dołu:

— Dlaczego wy tam stoicie?

— Usiłujemy wyciągnąć twój wózek, już mówiłam! — krzyknęła Saga tak głośno, że echo rozległo się wśród wzgórz.

To z wózkiem nie było prawdą, ale nie można pozwolić, by Paul powziął jakieś podejrzenia.

— Mówisz, że twoi przodkowie cię ostrzegli? — zapytał Marcel.

— Tak. Powiedzieli, że ty jesteś za słaby, żeby się z nim mierzyć.

Marcel uśmieehał się, ale oczy miał poważne.

— Ha! Ty mnie jeszcze nie znasz, Sago! Dla ciebie zrobiłbym wszystko.

— Ale ja się boję o twoje życie. On ma ponadnaturalną siłę, pamiętaj o tym.

— Jeśli jest Lucyferem, to tak. Ale rozumiesz chyba, że trudno mi w to uwierzyć. Mimo że naprawdę wygląda niesamowicie, wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że to całkiem zwyczajny człowiek.

— Czy nie powinniśmy zajrzeć do tej jego skrzyni? Mamy ją przecież tutaj.

Marcel spojrzał przestraszony w dół.

— Nie możemy tego zrobić! Przecież on nas widzi! A poza tym skrzynia jest bardzo dobrze zamknięta i obwiązana rzemieniami.

— Masz rację, oczywiście. Ale czy zwróciłeś uwagę, że on jej ani razu w ciągu całej podróży nie otworzył?

— Tak. Ciekawe, co też tam wiezie?

— Myślę, że coś okropnego.

— W każdym razie coś tajemniczego — powiedział Marcel z przekonaniem. — Zaraz będziemy na dole, Paul może nas usłyszeć, Sago. Obiecuję ci, że zawsze będę po twojej stronie. Że będę wierzył...

— W to, co powiedzieli moi przodkowie? Zapewniam cię, że oni wiedzą, co mówią, i ja polegam na nich bez reszty.

Marcel skinął głową. Och, jakże kochała jego twarz i jego usta, kiedg zaciskały się z powagą i troską. Ogarniała ją taka czułość, że aż jej się kręciło w głowie. Ale Marcel jej nie wierzył, musiała to prżyjąć do wiadomości!

— Sago, powimniślpy od niego uciec. Zanim się coś stanie.

— Tak. Dzisiaj przez cały czas odczuwam niepokój, coraz większy i większy. Jakby nas zewsząd otaczał, czuję go każdym nerwem. On się do czegoś szykuje, zapewniam cię.

— Odczuwam dokładnie to co ty. Dotychczas wydawało mi się, że to tylko moja wyobraźnia, ale skoro ty to potwierdzasz... Wymyślę jakiś sposób, żeby się od niego uwolnić.

— Czy myślisz, że się nam uda? Jeżeli on jest istotą nieziemską, to przecież z łatwością odkryje nasze zamiary, a poza tym znajdzie nas, gdziekolwiek się ukryjemy.

Brzmiało to zupełnie beznadziejnie, ale Marcel miał coś na pociechę:

— Jeśli ta legenda, którą mi opowiedziałaś, jest prawdziwa, Sago, to on nie może mieć ponadludzkich zdolności wtedy, gdy przychodzi na Ziemię. A w takim razie można go wyprowadzić w pole jak każdego śmiertelnika.

Saga rozumiała oczywiście, że Marcel tak mówi, żeby ją uspokoić, bo przecież nie wierzył w jej opowieść o Lucyferze. Mimo to słuchała z przyjemnośeią. Jeszcze więcej pociechy chciał zawrzeć w dalszych słowach, ale te napełniły ją przerażeniem.

— Wiesz, miałem dość czasu na myślenie, i skłonny jestem przyjąć, skłonny, mówię, jeszcze nie całkiem przekonany, że się nie mylisz! Była taka chwila dziś w nocy... kiedy on stał na cyplu. Stał się wtedy prawie niewidoczny, jakby się rozpłynął, rozmazał. Chciałem wierzyć, że to mgła, ale to było coś więcej, Sago. To było to! Ale teraz już nic nie mów!

Po tych słowach pocauła, że lodowate krople spływają jej po plecach.

Zaczęli rozmawiać o jakichś pospolitych sprawach, narzekali na okropną pogodę.

Paul czekał na nich, nienaturalnie wysoki i postawny, przyglądając im się badawczo. Po jego wargach błąkał się paskudny, diabelski uśmieszek.

Dobry Boże, myślała Saga. Spraw, dobry Boże, by on nie miał więcej siły niż normalny człowiek! Daj nam choćby najmniejszą szansę uwolnienia się od niego!

Bała się jednak strasznie. Nie pomagało nawet to, że Marcel wciąż był przy niej, że właściwie przez cały czas odczuwała ciepło jego ciała.

Nic w ogóle nie pomagało. Bo teraz powietrze wprost iskrzyło, tak było naładowane sygnałami o bliskim niebezpieczeństwie.

A gdzieś bardzo, bardzo daleko rozlegało się raz po raz wołanie: „Sago, Sago! Teraz chodzi o twoje życie! Masz zadanie do spełnienia, uciekaj, uciekaj!”

ROZDZIAŁ VII

Ponure przygnębienie ogarnęło Sagę. Czuła się tak, jakby ją omotała ogromna pajęcza sieć, która zaciska się coraz bardziej i bardziej.

Mimo to wszystko wyglądało normalnie, przynajmniej z pozoru. Ktoś niezorientowany widziałby tylko troje ludzi brnących w niepogodę przez pustkowia.

To, co straszne, kryło się w ich duszach.

Saga miała wrażenie, że nosi w sobie mnóstwo małych diabełków, które szarpią jej nerwy. Lęk, który czaił się od dawna, teraz atakował z całą siłą. Ją, która nigdy przedtem nie odczuwala strachu.

Wiatr rozwiewał gęstą powłokę chmur i gnał po niebie pojedyncze obłoki. Pod wieczór wichura jeszcze się wzmogła i potężnie huczała w koronach drzew.

Paul zachowywał się z ostentacyjną nonszalancją, lecz Saga wyczuwała w nim ogromny niepokój. Był coraz bardziej zirytowany, zwłaszcza złościło go to, że ona i Marcel wciąż trzymają się razem. Od czasu do czasu próbował się pozbyć Marcela choć na chwilę, a to nad wodą, a to w jakimś miejscu, skąd rozciągał się szerszy widok na okolicę, za każdym razem jednak Saga odchodziła z Marcelem. Paul starał się nie okazywać uczuć, uśmiechał się nawet, ale widać było, że z trudem hamuje wściekłość.

— Mam nadzieję, że wkrótce dojdziemy do ludzi — syknął w końcu ze złością. — Nie zniosę kolejnej nocy w takich warunkach. Tamte dziewczyny zapewniały przecież, że jeszcze dzisiaj będziemy u celu.

— Będziemy w Norwegii, to prawda. Ale to jeszcze nie znaczy, że na terenach zamieszkanych — rzekł Marcel.

Paul nie powiedział nic. Odnosił się do Marcela z coraz większym dystansem, traktował go jak rywala. Marcel zaś nie spuszczał go ani na chwilę z oka, bo było jasne, że tamten tylko czeka okazji, by znaleźć się sam na sam z Sagą.

Do tego nie wolno dopuścić!

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy znaleźli się w głębokiej dolinie porośniętej rzadkim lasem. I nagle zapadła całkowita cisza, jakby wiatr wstrzymał oddech. Wszystko zastygło, nie poruszał się ani jeden liść, ani jedna gałązka.

Cisza przed burzą, pomyślała Saga i przeniknął ją zimny dreszcz. To cisza przed straszną, morderczą burzą!

W chwilę później, kiedy wiatr znowu zaczął wiać, Marcel i ona zdążyli zamienić parę słów, pospiesznych, gorączkowych.

— On z każdą godziną staje się bardziej niebezpieczny — mruknął Marcel. — Traci coraz więcej tych ludzkich cech, które na początku jeszcze miał.

— O mój Boże, a ja we wczesnej młodości snułam tomantyczne marzenia o pięknym Lucyferze — westchnęła Saga z goryczą. — Marzyłam, żeby zejść do niego, do otchłani, i tam z nim zostać. Chciałam ukoić jego nieszczęśliwe serce. Jak mogłam być taka głupia? Jak mogłam wyobrażać sobie, że upadły anioł jest szlachetną, tylko niesprawiedliwie potraktowaną istotą? On jest przecież straszny! Zły do szpiku kości, podstępny i niebezpieczny!

Marcel spojrzał na nią spod oka.

— Może właśnie twoje marzenia go do ciebie przyciągnęły? — spytał zamyślony. — Może dzięki nim, kiedy wyszedł z otchłani, skierował się natychmiast ku tobie, wiedział, gdzie jesteś, szukał twego współczucia.

— Nie! — jęknęła przerażona. — To niemożliwe! Coś takiego nie może mieć miejsca!

(Och, Marcelu, ty mi nie wierzysz! Zdaje ci się, że zwariowałam!)

Marcel mówił pospiesznie przyciszonym głosem:

— Sago, zastanawiałem się, jakie mamy szanse ucieczki. Jeśli on naprawdę posiada ponadludzką siłę, to nie mamy najmniejszych możliwości, żeby się od niego uwolnić. Ale jeśli jest zwyczajnym śmiertelnikiem albo Lucyferem, który na czas pobytu na Ziemi stał się człowiekiem, to może... Nie chciałbym zabijać człowieka, a zresztą jeśli ma nadprzyrodzone siły, to i tak jest nieśmiertelny... Ale zastanawiałem się nad tymi twoimi środkami medycznymi...

— Masz na myśii skarb Ludzi Lodu?

— Czy są tam jakieś środki nasenne? Albo jeszcze lepiej, coś oszałamiającego?

Saga zastanawiała się nad tym, nie spuszczając z oczu szerokich pleców Paula niedaleko przed sobą.

— Nie wiem, co tam jest. Nigdy tego dokładnie nie przeglądałam. Ale, oczywiście, coś takiego jak mówisz z pewnością musi być... Tak, jest, przecież sama dawałam ojcu środki przeciwbólowe w ostatnich dniach życia, żeby tak nie cierpiał. Zasypiał po nich jak kamień.

— Natychmiast?

Saga próbowała sobie przypomnieć.

— No, jakiś czas to zawsze trwało. Ale wiem, jak te proszki wyglądają, widziałam je, kiedy oglądaliśmy skarb.

— Czy mogłabyś mu tego dosypać do picia na najbliższym postoju? A kiedy zaśnie, my sobie pójdziemy. Musimy być już teraz blisko ludzi, więc nie będzie żadnym przestępstwem, jeśli zostawimy go samego. Da sobie radę.

— A dzikie zwierzęta?

— Machnij na to ręką. Tu nie ma żadnych drapieżników. Widziałaś gdzieś choćby jeden ślad?

— Nie, masz rację — odparła z wahaniem. Wiedziała jednak, że to jedyne możliwe wyjście. Żeby tylko jej się udało niepostrzeżenie wsypać mu ten proszek...

Strach... Powietrze jest przesycone moim strachem. Marcel mi nie wierzy. Jestem sama.

Już nie była taka obolała jak przedtem. Ból w stopach osiągnął stadium, w którym wydaje się czymś naturalnym, po prostu jest; nieustająca, dokuczliwa niewygoda.

— Nadchodzi wieczór — mruknął Marcel. — On mnie przeraża.

Wiedziała, co ma na myśli. To nie wieczór go przerażał, to ten, który idzie z nimi.

Rozmowę przerwało wściekłe ujadanie psów w oddali.

Paul drgnął gwałtownie i w popłochu szukał schronienia za plecami Marcela i Sagi.

— To tylko myśliwi — uspokajał go Marcel.

I dokładnie w tym momencie zobaczyli po drugiej stronie bagniska, że jakiś biegnący człowiek znika w lesie.

— O Boże — szepnął Paul. — To ten morderca, o którym wspomniał mój woźnica! Źle z nami, musimy się ukryć!

— Ale dlaczego? — zdziwiła się Saga. — Władze szwedzkie nie mają tu nic do powiedzenia.

— Oczywiście, że mają! Czyż Szwecja i Norwegia nie stanowią jednego państwa?

— Niezupełnie. Chyba wiesz, jak to wygląda!

— No tak. Ale szwedzkie prawo zachowuje moc w Norwegii, możesz być pewna. Granica nie jest żadną przeszkadą. Inna sprawa, że Norwegia nie chce mieć u siebie cholery. Na pewno wszystkie przejścia pozamykali.

Rozmawiając mimo woli cofnęli się do lasu i schronili wśród zarośli. Nagle na skraju bagien zobaczyli gromadę ludzi i psów. Paul rzucił się do wózka i sprowadził go w zagłębienie, skąd był prawie niewidoczny. Nerwowo okrywał bagaż gałęzaami i mchem.

— Chodźcie! Uciekamy! — wołał pobladły.

— Nie, poczekaj! — powstrzymał go Marcel. — Czy nże widzisz, że oni biegną w przeciwnym kierunku? Jeszeze chwila i całkiem znikną! Nie chcesz chyba zawrócić na drogę, którą dopiero co przyszliśmy?

Saga zadrżała. Cóż za okropna myśl!

Paul starał się opanować. Jega piękna twarz zrobiła się szara.

Marcel i Saga popatrzyli na siebie. Po raz nie wiadomo który zastanawiali się, co też on może mieć w tej swojej dziwnej skrzyni.

Nie była ana ani taka znowu wielka, ani ciężka. Mężczyzna mógłby ją bez trudu nieść na plecach. Mimo to budziła w Sadze niepokój,.

W wielkim napięciu Paul wyciągnął wózek z ukrycia.

Polowanie, jeśli tak można określić pogoń za człowiekiem, zniknęło w oddali. Wyglądało na to, że kierunek, w którym oni sami mieli zamiar iść, jest wolny.

— No to możemy ruszać — rzekł Marcel spokojnie.

Coraz wyraźniej przejmował przywództwo grupy. Paulowi jakby brakło ochoty na demonstrowanie arystokratycznych manier. Najwyraźniej miał co innego na głowie. Marcel pełnił swoją nową rolę z wielką godnością, jakby urósł i stał się silniejszy, był urodzonym przywódcą. Potrzebował tylko trochę czasu, żeby to okazać. Ludzie na ogół nie ulegają tak szybko spokojnym autorytetom. Świadomość ich przewagi dociera do otoczenia powoli.

Osobowość Paula nie wydawała się już taka przytłaczająca. Ale wciąż dawała o sobie znać, zmienił się tylko sposób, w jaki się ujawniała. Teraz budziła w towarzyszach podróży trudny do określenia lęk. I to było okropne!

Ani na moment Paul nie zostawał sam na sam z Sagą. Ani na chwileczkę. Marcel przez cały czas był tuż przy niej, czujny, nieustępliwy.

Jego łagodna stanowczość i siła były dla Sagi jedyną pociechą, stanowiły ochronę przed wszystkim, co poruszało się tego wieczora w lesie, i przed tym, co narastało w niej jako lęk — nie nazwany, niezrozumiały, ponury.

Paul był wściekły, że nie może jej dostać. Miała wrażenie, że lada moment pęknie ze złości, że rozpadnie się na kawałki i odsłoni nareszcie tę straszną prawdę, którą w sobie nosi.

Z drugiej strony jednak stawało się dla niej coraz bardziej oczywiste, że Paul nie może się uwolnić od ludzkiej postaci i to też była jakaś pociecha.

Dopóki chodził po Ziemi, był człowiekiem i niczym więcej. Ona i Marcel mogli od niego uciec.

Nie miała odwagi wymawiać imienia Lucyfera. Niedowierzanie Marcela znosiła z trudem. A jednocześnie śmiała się sama z siebie, kiedy przypominała sobie te niewiarygodne fantazje z czasów, kiedy była podlotkiem. Lucyfer? Musiała chyba oszaleć albo...?

Zaraz jednak wróciła jej świadomość. Ostrzeżenie: Ostrożnie, Sago, ostrożnie! Pamiętaj o swoim zadaniu! Nie daj się zwieść urodzie tego człowieka! On jest niebezpieczny, śmiertelnie niebezpieczny, i to straszne nieszczęście, że go spotkałaś na swojej drodze. Musisz się od niego uwolnić.

Dobrze wiedziała, że nie są to jej własne myśli. To duchy Ludzi Lodu przybywają z tamtego świata, by sprowadzić ją na właściwą drogę.

Co jednak powinna zrobić, żeby dostosować się do tej rady? Jakie możliwości ucieczki mieli oboje z Marcelem? Tylko jedną: Saga musi uśpić Paula von Lengenfeldta...

Hrabia von Lengenfeldt? Już dawno przestała wierzyć w ten tytuł. Tylko że przecież ktoś taki jak Lucyfer nie mógł się wcielić w postać zwyczajnego człowieka, to przecież zrozumiałe. Musi być co najmniej hrabią...

Od czasu do czasu myślała: To nie ja chodzę tu po tym zaklętym lesie w wieczornym zmroku z tą ponurą baśnią z dawnych czasów w sercu. Ja jestem w moim domu, w Szwecji, leżę w łóżku i śnię. Już wkrótce przyjdzie mama i ojciec, obudzą mnie i powiedzą, że jest niedziela i że, jeśli chcę, mogę dostać śniadanie do łóżka. A za oknem świeci słońce, jego promienie tańczą pośród liści drzew i rzucają na ziemię piękne wzory. Mogę być dziecinna i beztroska, bo całe życie mam jeszcze przed sobą.

Zdawała sobie jednak sprawę, że już jakiś czas temu została brutalnie obudzona i że jest dorosła. Ojciec i mama odeszli na zawsze, krótka historia z Lennartem się skończyła, także brutalnie, a teraz Saga walczy z losem o życie. O to, by mogła wypełnić przeznaczenie, dla którego została powołana na świat.

A ono nie ma nic wspólnego z tym ponurym lasem.

Kiedy jakieś pół godziny później stanęli przed opuszczoną leśną zagrodą, Saga odetchnęła z ulgą.

— Tutaj się zatrzymamy — postanowił Marcel.

Saga i Paul byli tego samego zdania. Ponieważ nie wiedzieli, jak daleko jest jeszcze do ludzi, wędrówka po ciemku nie miała sensu. Zrobiło się późno, wiatr gwizdał ponuro w koronach drzew. To naprawdę nie był przyjemny wieczór.

Naprawdę nie był! Prawdę mówiąc, Saga nigdy nie przeżyła czegoś równie okropnego. Zwłaszcza trudne do zniesienia było to wciąż narastające napięcie, którego przyczyn nie byłaby w stanie określić. Wiedziała tylko, że to coś więcej niż zwyczajny strach.

Rozpadające się zabudowania też nie wyglądały szczególnie zachęcająco, ale będą przynajmniej mieli dach nad głową.

Na porośniętej trawą i chwastami polanie atmosfera była inna niż w głębi lasu. Panował tu jakiś senny spokój. Smutek, żal, coś jakby bolesne wspomnienie dawnych, najwyraźniej niełatwych czasów unosiło się nad zapadłym domostwem. Saga rozpoznała fińską kurną chatę z otworem w dachu zamiast komina, niską, o ścianach zbudowanych z grubych bali. Na skraju lasu dostrzegła saunę, a raczej resztki czegoś takiego, a po drugiej stronie dziedzińca spichlerz fińskiego typu, służący głównie do przechowywania ziarna, także zrujnowaay.

Tylko obora zachowała się w jakim takim stanie i do niej się właśnie skierowali przez zarośniętą młodymi drzewami łąkę, której nie koszono od wielu, wielu lat. Kiedy otwarzyli skrzypiące drzwi, spłoszyli jakieś leśne zwierzę. Ono ich zresztą także wystraszylo tak, że odskoczyli wszyscy troje.

Była to chyba łasica. Przeszukali starannie obórkę, czy nie ukrywa się w niej coś jeszcze, ale niczego nie znaleźli.

— Wypożyczymy sobie na dzisiejszą noc twój dom, łasiczko — powiedziała Saga. — Ale już jutro będziesz mogła wróeić. Jeśli nie będzie ci, oczywiście, przeszkadzał wstrętny zapach ludzi.

Niska obórka nadawała się do użytku. W jej wnętrzu cichło wycie wiatru, który atakował ich ostatnio z taką siłą.

— Uff, ale jestem przemarznięta. W uszy nawiało mi tak, że prawie nic nie słyszę — uśmiechnęła się Saga.

— Co też to za pogodę niebo nam zsyła przez cały czas — narzekał Paul. — Palące słońce, deszcz, wichura... Tylko śniegu brakuje!

Marcel powstrzymał uśmiech. Patrzył na Sagę, a jego wzrok wyrażał czułość i miłość, a także nieme napomnienie: Pamiętaj o środku nasennym!

Byli bardzo głodni i spragnieni, toteż natychmiast zabrali się do przygotowania posiłku z resztek prowiantu, jakie im jeszcze zostały. W lesie niedaleko domu było źródełko i Saga zdołała nabrać wody do kubków. Kiedy Paul zajęty był czymś przy drzwiach, ostrożnie wsypała proszek do jego kubka. Proszek w czystej wodzie? Czy Paul niczego nie zauważy?

Nie, na szczęście wszystko się rozpuściło. Widać było tylko kilka małych ziarenek na dnie, ale one nie mogły budzić żadnych podejrzeń. A poza tym Paul siedział w mrocznym kącie i z pewnością nawet tego nie zobaczy. Na wszelki wypadek jednak skrzywiła się, kiedy sama spróbowała wody.

— Fe! — powiedziała z niesmakiem. — Myślę, że nie należy zbyt dokładnie badać tego źródełka. Mogłoby się nam odechcieć pić.

— Rzeczywiście, smakuje jakoś dziwnie — potwierdził Paul. — Pleśń czy inne paskudztwo.

Marcel też mruczał coś podobnego.

Paul nie nabrał podejrzeń.

Saga siedziała bez ruchu, czuła, jak jej obolałe ciało powoli się odpręża. Ubranie zdążyło już dawno wyschnąć, ale wysmagana wiatrem skóra wciąż paliła. I wciąż jej się zdawało, że słyszy szum wichury.

Zmysły nadal były napięte. Reagowały na wszystko, słyszały, widziały, czuły...

Z belek nad nimi posypał się pył, ale konstrukcja nie groziła zawaleniem. Po przeciwnej stronie budynku dach zarwał się już dawno i resztki wieczornego światła ujawniały całą nędzę żałosnej ruiny. Saga widziała gęstą pajęczynę pokrywającą stare narzędzia, drewniane fińskie radło, dziurawy wiklinowy koszyk i inne przedmioty z wikliny lub drewna. Na klepisku walała się stara słoma i źdźbła siana, które ktoś skosił przed wieloma laty. Zmurszałe belki dzielnie podtrzymywały ściany, które powinny były się zawalić dawno temu...

Jednak tego, co sprawiało największe wrażenie, nie można było ani zobaczyć, ani dotknąć. Była to jakaś siła, tak intensywna, tak gęsta, że Saga z trudem mogła oddychać. Siła obca, nieludzka, przerażająca. Zagrożenie, przeczucie niebezpieczeństwa, które od dawna jej nie opuszczały, zwielokrotniły się jeszcze. Jakby jakaś groźna moc szykowała się do uderzenia. Przeciwko niej.

Jakiś dźwięk z zewnątrz sprawił, że wszyscy drgnęli.

— Co to było? — spytał Paul, rzucił pospieszne spojrzenie na wózek i skrzynię, a potem znowu na Sagę i Marcela. W każdej sytuacji myślał przede wszystkim o skrzyni!

Saga nie mogła dokładnie określić tego, co usłyszała. Brzmiało jakby po ludzku, a mimo to nieludzko. Jakieś westchnienie? Cichy jęk?

— Wyjdę na dwór i zobaczę — rzekł Marcel i wstał, ostrożnie, a zarazem energicznie, pełen siły. Jaki on zmysłowy, pomyślała Saga. Jak strasznie pociągający.

— Idę z tobą — rzekła pospiesznie.

— A ja zostaję — ziewnął Paul. — Jestem zmęczony. Zachowujcie się cicho, kiedy wrócicie!

Saga i Marcel popatrzyli po sobie, zanim wyszli z obórki. Czy proszek już zaczął działać?

Na zewnątrz trwała dość jasna, mglista noc. Zatrzymali się i nasłuchiwali.

Ruiny budynków — kurnej chaty i chlewu — leżały otulone tą magicmą mgiełką. Wyrosła wokół nich wysoka trawa, pokrzywy i kwiaty, kilka powykrzywianych drzew pełniło straż nad opuszczoną zagrodą. A wszędzie wokół las...

Idąc do zagrody mijali jakieś pole. Albo to, co kiedyś było polem; teraz powoli bór brał je znowu w posiadanie. To chyba stamtąd doszedł do nich ten dźwięk.

— Chodź — powiedział Marcel cicho i wziął ją za rękę.

Ruszyli przez zarośnięty dziedziniec na tyły zawalonego domu.

W lesie poranne ptaki zaczynały nieśmiało swój koncert. Na tazie jeszcze bardzo cicho, ale już wyraźnie.

— Czy myślisz, że to... mogli być ci, którzy tu kiedyś mieszkali? — zapytała Saga zdławionym głosem.

Marcel ukrył uśmiech.

— Chyba nie.

Saga jednak nie była przekonana. Trzymała go mocno za rękę i rozglądała się lękliwie wokół. Może są w pobliżu tej brzozy, noszącej w sobie wszystkie straszne choroby? Nie, żadna z brzóz, które widzieli, nie wyglądała na chorą lub nienormalną.

A może krzyż w ziemi?

Och, nie, nie wolno tak myśleć!

Tak intensywnie wpatrywała się w mrok, że mogłaby przysiąc, iż widzi starą zgarbioną kobietę, która kulejąc idzie ku ruinom zabudowań. Ale wyobraźnia Sagi została podczas tej podróży strasznie rozbudzona. Czyż nie dość było tej istoty z otchłani, która zajmowała jej myśli, musiała jeszcze wywoływać z zaświatów jakieś istoty z odległej historii fińskich lasów?

Marcel chwycił ją za ramię.

— Spójrz tam — szepnął.

Przez maleńkie pólko, zarośnięte chaszczami, biegł w stronę lasu jakiś człowiek. Potykał się, padał, czołgał się w trawie, podnosił i biegł znowu.

— Morderca — powiedział Marcel. — To jego słyszeliśmy.

— Sprawia wrażenie rannego. Musimy mu pomóc.

Marcel powstrzymał ją.

— Chyba nie sądzisz, że on się zatrzyma, kiedy zawołamy? Wprost przeciwnie, będzie jeszcze bardziej przerażony. A poza tym to morderca, już raz zabił i może to zrobić jeszcze raz. I wreszcie, my nie mamy czasu, żeby się mieszać w sprawy lensmana. Widziałaś przecież, jak wrogo Paul jest nastawiony do władzy, myślę, że nie należy go drażnić jeszcze bardziej.

Przez chwilę Saga pomyślała, że byłoby bardzo miło złożyć odpowiedzialność za trudne sprawy w ręce lensmana lub urzędników, czy kto to tam jest, dowiedzieć się, jak daleko jest jeszcze do ludzi, ale opanowała te chęci.

Patrząc w ślad za znikającym mężczyzną powiedziała:

— Masz rację. Mamy do czynienia z Lucyferem i lensman nic tu nie pomoże. Ściągniemy tylko na wszystkich jeszcze większe nieszczęście.

Marcel przyciągnął ją gwałtownie do siebie.

— Kochana Sago — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Teraz musimy skończyć z tym gadaniem o Lucyferze! To jakaś idee fixe! Paul jest dziwaczny i tajemniczy, ale nic poza tym.

— Ale cała ta atmosfera...

— Cała atmosfera w fińskich lasach w letnią noc musi być mistyczna i niesamowita, to chyba rozumiesz!

— Ale ty nie wiesz, co ja... Och, nie! Masz rację, zapomnijmy o tym — powiedziała zrezygnowana. — Ty nie pochodzisz z Ludzi Lodu, nie możesz odczuwać tego, co ja.

Spojrzał na nią z czułością.

— Oczywiście, że nie. Przyznaję. A zatem zgadzamy się co do tego, że Paul jest istotą jak najbardziej ludzką, możemy więc pójść i zobaczyć, czy już zasnął. Jeśli tak, to my oboje będziemy mogli sobie stąd odejść. Masz dość sił, żeby wędrować po nocy?

Wędrować nocą tylko z Marcelem! Cóż za cudowna perspektywa!

— Tak, naturalnie! Wybacz mi, że wygadywałam takie głupstwa! Chodźmy!

On jednak nadal trzymał ją mocno za ramię.

— Jeszcze nie w tej chwili, Sago...

Stał tak blisko, wpatrywał się tak uważnie w jej oczy. Jego fascynująca twarz była taka kochana, taka ciepła, wyrażała tyle troskliwości.

— Sago — szeptał. — Ci, którzy nadali ci imię, wiedzieli, co robią. Jesteś jak stworzona do takich przygód, takiej fantastycznej sytuacji. Jesteś jak szumiąca trawa, jak lekki obłok mgły, jak przesycona smutkiem cisza boru. Sago... kiedy ta cała okropna sprawa się skończy, kiedy znajdziemy się wśród ludzi i będziemy sami...

Umilkł. Reszta jakby zawisła w powietrzu. Ale Saga, która nigdy nie chciała okazywać swoich uczuć ani nie umiała tego robić, musiała pochylić głowę, by Marcel nie widział jej twarzy. A on najwyraźniej pojmował, w jakim jest stanie, bo przygarnął ją do siebie, przytulił jej głowę do swojej piersi, otoczył ją ramionami, delikatnie, lecz poczuła się nagle bezpieczna, oddychała spokojnie. Tego mężczyzny się nie bała.

Zdawała sobie sprawę, że jego mięśnie są napięte do ostateczności, wiedziała, że z trudem nad sobą panuje. Sprawiało jej to radość, czuła się uszczęśliwiona, pełna oczekiwań. Był nią zajęty, nie tylko jako troskliwy opiekun, lecz także jako mężczyzna, była kobietą, którą on pragnie zdobyć.

Powoli, z czułością, lecz wciąż w największym napięciu uniósł jej twarz i pocałował w czoło. Nic więcej. Rozumiał, że Saga po wstrząsie, jakim było dla niej zakończenie małżeństwa, potrzebuje czasu.

Ale przecież musiał także zauważyć, co dla mnie znaczy, myślała Saga niemal zrozpaczona. Boże, spraw, żeby miał dla mnie dość cierpliwości! Ja przecież go pragnę! Tak strasznie go pragnę!

Nigdy przedtem nie odczuwała tak intensywnie obecności mężczyzny jako czegoś podniecającego, pragnienia, które zapierało dech w piersi. Musiała przywołać całą siłę woli, by nie zarzucić mu rąk na szyję i nie przytulać desperacko, błagać go o pieszczoty, prosić na klęczkach, by ją wziął tutaj, w tej gęstej trawie, na polance, wokoł której szumi ponury bór.

Dla niej samej te uczucia były czymś zupełnie nie znanym, graniczyły z szokiem, musiała oddychać głęboko, by się opanować.

— Chyba teraz powinniśmy iść do Paula — szepnął Marcel. — Pewnie się zastanawia, co się z nami stało.

— Jeśli nie śpi — próbowała żartować Saga, ale zabrzmiało to jak ostry zgrzyt. Miała nadzieję, że Marcel nie wyczuwa drżenia w jej głosie, że nie zauważył, jak na nią oddziałuje bliskość jego ciała.

— Daj Bóg, żeby spał — mruknął tylko, ale Saga słyszała, że jego głos także jest niepewny i zachrypły.

Ominęli płaski kamień przy drzwiach do chaty i weszli do środka. Ostrożnie, by nie budzić Paula.

Saga rozejrzała się po izbie.

— A gdzie on się podział?

— W każdym razie tu go nie ma — rzekł Marcel bezbarwnie. — Wyszedł. No nic, daleko nie zaszedł.

Saga zdenerwowana chodziła po mrocznym wnętrzu.

— Dlaczego on się tak zachowuje? — zapytała. — Żeby narobić jeszcze większych kłopotów?

Nie chciała po sobie pokazać, jak bardzo znowu się boi. To jakaś nowa cecha Paula. A może Lucyfera?

Nie chciała głośno wymawiać tego imienia.

— Nie mógł odejść daleko — próbował ją uspokajać Marcel. — Wózek z jego ukochaną skrzynią stoi tutaj. Paul z pewnością zaraz wróci.

Saga słuchała tylko jednym uchem. W kącie, gdzie padało trochę światła, zauważyła coś, co przyciągało jej wzrok.

— Marcel...

— Co to jest?

Podeszli do kąta.

— Alrauna! — jęknęła Saga.

I rzeczywiście, w kącie leżała alrauna. Czyżby wypadła z walizeczki Sagi, która znajdowała się obok, wywrócona do góry dnem? Wyglądało to tak, jakby ją ktoś odrzucił od siebie z całych sił, najdalej jak można.

Saga podniosła amulet ostrożnie, jakby chciała go przeprosić, strzepnęła pajęczynę z jedwabnego gałganka i troskliwie ułożyła korzeń z powrotem w szkatułce. W tym czasie Marcel oglądał wózek.

— Sago — rzekł niepewnie. — Skarb Ludzi Lodu zniknął.

Drgnęła gwałtownie.

— Co?

Jednym skokem znalazła się przy nim. Jej kuferek znajdował się na wózku, otwarty, ale skórzanego worka, w którym przechowywała skarb, nie było.

— Nie! — powtarzała z jękiem. — Nie! Nie!

Nie mogło się stać nic gorszego. Został jej powierzony najdroższy klejnot Ludzi Lodu, a ona zawiodła zaufanie.

— Paul nie mógł zajść daleko — powtarzał Marcel gorączkowo. — I łatwo będzie go dogonić po śladach, wyraźnie widocznych w wysokiej trawie. Biegnę za nim.

— Ja także.

Marcel chwycił ją za nadgarstki.

— Nie, ty nie możesz wychodzić na dwór w tę noc, kiedy po okolicy biega morderca i szaleniec. Zostaniesz tutaj, żebym mógł być o ciebie spokojny. Znajdź jakąś belkę i zaprzyj drzwi, by nikt nie wszedł! I czekaj na mnie tutaj, myślę, że wrócę niebawem. Naprawdę nie mógł zajść daleko, a jeśli środek nasenny zaczął działać, to... Zresztą z tymi swoimi poobcieranymi nogami nie byłabyś w stanie dotrzymać mi kroku.

Marcel miał rację.

— Tylko się pospiesz! Wróć jak najprędzej!

— Z twoim skarbem. Obiecuję.

Uścisnął ją i wybiegł.

Saga stała wciąż w tym samym miejscu. Była potwornie zdenerwowana, oddychała ciężko, nierówno, jakby płakała. Skarb Ludzi Lodu! Boże, pomóż mi! Nie mogę iść bez skarbu do Lipowej Alei, po prostu nie mogę!

Zdyszana chwyciła szkatułkę z alrauną i wepchnęła ją za belkę pod dachem.

Trzeba zabarykadować drzwi, myślała, ale nie była w stanie się na tym skupić. Jej wzrok przyciągała skrzynia Paula, po prostu nie mogła oderwać od niej oczu.

W końcu ją zostawił, dziwiła się. Pewnie dlatego, że teraz miał coś, co było dużo więcej warte niż cenna zawartość jego skrzyni. Pobiegł w stronę ludzkich osiedli, gdzie miał nadzieję spotkać bogatych i sprzedać im ten starannie przez Ludzi Lodu gromadzony zbiór środków leczniczych oraz prastarych magicznych przedmiotów, jedno po drugim, kawałek po kawałku. Stałby się bardzo bogaty...

Nikt z rodu nie wpadłby nigdy na taki szalony pomysł, by sprzedawać skarb.

Nieświadomie zbliżyła się do wózka, na którym spoczywała skrzynia. Prawie się o nią opierała.

Na dworze było cicho. Raz usłyszała, że Marcel woła Paula, ale najwidoczniej zmienił taktykę. Las w dalszym ciągu szumiał swoją smutną pieśń, odnosiła wrażenie, że wiatr znowu przybierał na sile po chwili wytchnienia.

Ręce Sagi poruszały się same. Mimo woli zbliżyła się do skrzyni, ale natychmiast odskoczyła... Po chwili podeszła znowu i dotknęła...

Nie była w stanie trzeźwo myśleć. Wiedziała, że robi coś niedozwolonego, naruszając cudzą własność, ale nie miała siły przestać. Ciekawość — albo może lepiej powiedzieć: potrzeba sprawdzenia, pragnienie dowiedzenia się czegoś więcej o tym nieprzeniknionym Paulu, który nie był Paulem — była silniejsza od niej.

Rzecz jasna skrzynia była zamknięta na klucz. I miała bardzo wymyślny zamek. Gdy jednak Saga już przekroczyła granice tego, co można, a czego nie można, musiała zobaczyć, co w tej skrzyni jest. Przestała myśleć, działała jak w gorączce.

Kamień. Trzeba znaleźć jakiś kamień.

Instynktownie jednak wzdragała się przed wyjściem z obory.

Nie wiedząc, co począć, stała przez chwilę, bezradna.

— Tam!

Tuż przy drzwiach leżał kamień. Może się specjalnie do tego celu nie nadawał, zanadto był okrągły, ale co robić. Drżącymi rękami podniosła go i uderzyła w zamek.

Po wielu coraz bardziej gorączkowych uderzeniach coś zgrzytnęło. Jeszcze jedno stuknięcie, jeszcze jeden trzask i zamek odskoczył.

Patrzyła na skrzynię przestraszona. Dawały o sobie znać ostatnie wyrzuty sumienia: Co ja zrobiłam? Ale zaraz skrupuły zniknęły. Wciągnęła głęboko powietrze i podniosła wieko.

Jeszcze wolniej wypuszczała powietrze z płuc. Uchodziło ze świstem jak zdławiony krzyk nieopisanego przerażenia. Serce waliło jej tak, jakby miało wybuchnąć, a wtedy ona rozleciałaby się na drobne kawałki. W mroku obórki wpatrywała się we wnętrze skrzyni, gdzie dostrzegła ludzką twarz wykrzywioną jakimś upiornym grymasem, okoloną kępkami sterczących włosów. Jakaś głowa, która...

Saga zatoczyła się. Z rozpaczliwym jękiem zatrzasnęła wieko, po czym jak oszalała wybiegła w szarą mglistą noc.

ROZDZIAŁ VIII

— Marcel! Marcel! Marcel! Na Boga, Marcel!

Na wpół oślepła z przerażenia Saga przedzierała się przez pokrzywy na tyłach obórki. Tylko instynkt sprawił, że szła tą samą drogą co Paul i Marcel. Rosa leżała na trawie jak połyskliwa narzuta i ciężkie buty tamtych zostawiły głębokie ślady, wyraźną ścieżkę, wiodącą w stronę ludzkich osad. Nożownik pobiegł w odwrotnym kierunku. Jeszcze jedna sprawa, za którą powinna być wdzięczna losowi, ale Saga nie miała głowy, żeby się zastanawiać, co jej grozi ze strony przestępcy.

— Marcel! Marcel!

Jej przejmujące, bezradne krzyki burzyły ciszę nad polaną i sprawiały, że płochliwe drobne zwierzęta rzucały się do ucieczki.

Marcel jednak musiał być już bardzo daleko w swojej pogoni za potworem w ludzkiej skórze. Jakim sposobem mógł usłyszeć jej wołania? Biegł już z pewnością przez targany wichrem, szumiący las.

Mój Boże, spraw, żeby Paul zasnął, modliła się w duchu i szlochając ze strachu biegła coraz dalej w głąb lasu. Wciąż jeszcze prowadziły ją ślady, widoczne we wrzosach i leśnej ostrej trawie. Biegła jak szalona pomiędzy wysokimi drzewami i nagle stwierdziła, że nie widzi żadnych śladów. Zgubiła je prawdopodobnie już dawno temu. Zatrzymała się zdyszana i przerażona. Rozglądała się rozpaczliwie. . .

Wracać do zabudowań?

Za nic na świecie!

— Marcel!

Żadnej odpowiedzi. Szum lasu tłumił wszelkie głosy.

Nie wszystkie.

Kiedy tak stała zupełnie nie wiedząc co począć, jej uwagę zwróciło co innego. Jakiś obcy, potężny śpiew w koronach drzew...

Uniosła głowę. Spojrzała w górę na ciemny, wysoki, porośnięty mchem pień sosny. Wszystko pokryte było łzami nocy — rosą. A może wilgocią pochodzącą z innego źródła, nie wiedziała z jakiego.

Leśne poszycie na ogół było ciemnozielone. Teraz ono także mieniło się srebrzyście, jakby bawiły się na nim elfy.

Sagę jednak przerażał dźwięk.

Skąd się bierze?

Mogło się zdawać, że to dziwaczny łoskot wichru, choć to nie pasowało do wiatru. Nieznany dźwięk brzmiał tak, jakby ktoś uderzał potężnym metalowym przedmiotem lub kamieniem w inny metal. Potężny grzmiący trzask niósł się po lesie. Jak daleki huk lodu na jeziorach w wielki mróz, gdy lód zamarza jeszcze bardziej. Jak potężne uderzenia żelaznych szyn ogromnej długości...

Po każdym kolejnym gigantycznym łomocie potężne echo odbijało się od pni drzew i od gór, wznoszących się po obu stronach dolin.

Jej głos był coraz słabszy. Zalękniony i jakby pytający:

— Marcel?

Żadna odpowiedź, oczywiście, nie nadeszła. Wydawało się, że część doliny przed nią zamyka wzgórze, prawdopodobnie więc obaj mężczyźni znaleźli się już po drugiej stronie i nie mogła ich zobaczyć.

Mimo to nie chciała zrezygnować z poszukiwań. Gdy wiatr na moment ucichł, zawołała znowu najgłośniej jak mogła:

— Marcel! Uważaj! On jest śmiertelnie niebezpieezny!

Tym razem otrzymała odpowiedź, lecz nie taką, jakiej oczekiwała.

Owe głuche, dudniące dźwięki przybrały na sile i coś bladego przemknęło pomiędzy drzewami niedaleko Sagi, ale nie dość blisko, by mogła rozpoznać, co to. Słaba nocna poświata przybrała uemntelszą, szarą tonację.

Saga z trudem chwytała powietrze. Wracać nie mogła, do tej strasznej obórki nie weszłaby za nic na świecie! Nie! Nie! Ale stać tutaj też nie mogła. Znowu pobiegła przez las, starała się trzymać tej drogi, którą prawdopodobnie szedł Marcel, choć jego śladów już nie widziała.

W górze nad nią huczał sztorm, lecz w lesie pod drzewami wyraźnie przycichał. Zresztą Saga była tak zmęczona i przerażona, tak zajęta swoimi sprawami, że nie mogła rejestrować wszystkiego wokół.

Szaleństwem z jej strony było opuszezenie zabudowań. Ale jak, jak, na Boga, mogła tam zostać? Nikt nie mógł tego od niej żądać.

O mój Boże, Marcel, gdzie jesteś?

Znowu powrócił tamten dźwięk. Zawodzący, chrypliwy łoskot przetaczał się jak nie cichnący grzmot pioruna przez zaczarowany las, nigdy wprost nad jej głową, nie, przechodził obok niej, w pewnej odległości, jakby chciał, żeby go zauważyła, nim się na nią zwali i zdusi ją.

Naprawdę tej nocy las był zaczarowany. Dał sięsłyszeć nowy, tym razem wizgliwy dźwięk, a potem za drzewami przeleciały ogromne błękitne i zielone kule tak szybko, że nie była w stanie dokładniej ich zobaczyć. Za każdym razem kiedy te syczące kule się pojawiały, Saga zakrywała twarz rękami, kuliła się i posyłała bezradne prośby do nieba, rozpaczliwie błagając o pomoc.

Odnosiło się wrażenie, że ta ponura, gęsta ciemność sosnowego boru żyje własnym życiem, że wiruje wokół Sagi, otacza ją ciasnym kręgiem, kładzie się ciężko, jakby czegoś oczekując, na całym lesie.

Na moment poraziła ją myśl, że ta cała niesamowita atmosfera ma związek przede wszystkim z fińskimi lasami. Że to ta czarna magia, która kiedyś tutaj rozkwitała, ożywa w pragnieniu zemsty na ludziach, którzy mieli odwagę wtargnąć na święte tereny boga Ukko.

Szybko jednak pozbyła się tej myśli. Żadna żywa istota, choćby władała nie wiem jak silnymi czarami, nie byłaby w stanie wywołać tej bezimiennej, osaczającej Sagę zewsząd grozy.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek musiała uznać, że jest wybranką Lucyfera. To wszystko nie mogło być dziełem istoty z tego świata!

Jęknęła żałośnie. Nawet nie zauważyła, że bolesne pęcherze na stopach popękały. Wszystkie jej zmysły napięte do ostateczności czuwały, starały się pojąć to niepojęte, co ją otaczało i prześladowało.

Czy to możliwe, że powietrze stało się jakby gęstsze? Czyż noc nie powinna raczej blednąć niż ciemnieć?

Saga potknęła się na wystającym korzeniu drzewa i upadła, natychmiast jednak znowu stanęła na równe nogi. Przed nią, ponad niewielką polanką w lesie, chmury się rozsunęły, jakby w niebie otworzyło się czyjeś oko. Choć to może nie najlepsze porównanie, wyglądało to raczej jak prześwit pomiędzy gałązkami w gęstej koronie drzewa, było owalne, błękitnozielone, ogromne i spoglądało w dół na Sagę.

Krzyknęła, zasłoniła twarz rękami i uskoczyła w tył. Kiedy ponownie spojrzała w górę, dziwne zjawisko już zniknęło, a zaciągnięte chmurami niebo przybrało dawną, upiornie szarą barwę.

Saga uświadomiła sobie, że klęczy na trawie i szlocha z rękami złożonymi jak do modlitwy.

— Ja muszę iść do parafii Grastensholm — modliła się żarliwie. — Muszę iść do Lipowej Alei, bo moi krewni mnie potrzebują. Mam do spełnienia zadanie, przygotowywałam się do tego przez całe życie. Bądź tak dobry, bądź tak dobry, nie zatrzymuj mnie! Zostaw mnie w spokoju, błagam cię!

Powietrzem znowu wstrząsnął głuchy grzmot i w innej stronie nieba otworzyło się kolejne migotliwe „oko”. Saga pobiegła przez polankę, a potem dalej w las, pomiędzy wysokimi sosnami.

Nic jej to jednak nie pomogło, a raczej przeciwnie, teraz zobaczyła znowu te krążące kłęby ciemnej mgły, które ją osaczały. Zmieniały barwy i rozmiary, ale wciąż były, nieubłagane, wybuchały i gasły, a na ich miejsce pojawiały się nowe.

Głuchy odgłos, przypominający bulgot w jakimś przeogromnym kipiącym kotle, wstrząsnął znowu ziemię, a w Sagę uderzył potężny podmuch wichru przelatującego przez rzadki tutaj sosnowy las. Saga krzyknęła, chwyciła się pnia sosny i rozpaczliwie walczyła, żeby wichura jej nie zwaliła z nóg. Wiatr pomknął dalej i na chwilę zrobiło się cicho. Nie trwało to długo, ale wystarczyło, by Saga zdążyła złapać oddech. Potem znowu pojawił się szum i nagle w powietrzu zawirowały małe, ostre kryształki lodu. Wciskały się jej pod ubranie, siekły po twarzy, tak że musiała osłaniać głowę rękami. Znowu padła na kolana, skuliła się, czekając na spotkanie z tym niepojętym szarym zagrożeniem, i modliła się, wciąż bez rezultatu.

Po chwili chłód zelżał, szron zniknął, Saga mogła wstać i iść dalej przez ciemność teraz tak gęstą, że nie widziała ziemi pod stopami.

— Marcel! — zawołała żałośnie. — Marcel, przyjdź i pomóż mi!

Nareszcie rozległa się odpowiedź. Daleko, bardzo daleko od niej:

— Saga? Gdzie ty jesteś?

— Tutaj! Tu jest tak strasznie ciemno!

— Tak!

Znowu krzyknęła w przerażeniu:

— Marcel?

On coś wołał, także przerażony, coś co brzmiało jak: „Wszystkie piekielne moce rozszalały się nad ziemią tej nocy.” Saga jęczała boleśnie. Och, nie, nie, złe moce nie mogą pochwycić Marcela, nie mogą, nie!

Z bardzo daleka dotarł do niej jego głos:

— Sago, możesz tu do mnie przyjść? Ja... ja nie mogę się do ciebie przedrzeć, coś mnie zatrzymuje.

I znowu krzyknął rozdzierająco, boleśnie.

— Już idę! — zawołała trwożnie.

Marcel mówił coś jeszcze, ale słowa utonęły w nowej fali wściekłego syku i parskania.

Żadnej krzywdy im to jednak nie wyrządzało. Słyszała głos Marcela, a zatem on nie zginął i przeżywa to samo co ona. A więc jest jeszcze szansa...

Żeby tylko nie przyszła za późno...

Przez cały czas, gdy Marcel nie odpowiadał na jej wołania, dręczyła ją potworna myśl, że on nie żyje. Że ta zła moc, która towarzyszyła im przez całą drogę, teraz, w tę piekielną noc, zwabiła rywala do lasu i uśmierciła go. Ale usłyszała nareszcie głos Marcela. Już żadna siła nie przeszkodzi jej połączyć się z nim!

Budzące trwogę upiorne sceny powtarzały się raz po raz. Teraz rozgrywały się coraz bliżej niej, były coraz bardziej agresywne, coraz brutalniejsze. Ona jednak nauczyła się zamykać oczy i uszy na to, co się dzieje, nie słyszała grzmotów, nie widziała cieni, skradających się za nią między pniami sosen, nie dostrzegała wściekłego wirowania.

Szeptała przez zaciśnięte zęby:

— Demonstrujesz swoją siłę, ty upadły aniele światłości! Widzę, że jest ona wielka, ale teraz już dość! Wystarczy!

Znowu rozległ się głos Marcela. Brzmiała w nim doprowadzona do granic wytrzymałości udręka.

— Nie, nie chodź tutaj! Zawróć! On biegnie za tobą! Uciekaj, nie daj się! Nie!

Wołanie przerodziło się w bolesny skowyt.

Saga zasłoniła uszy rękami, żeby nie słyszeć, jak bardzo Marcel cierpi, nie była już w stanie myśleć, co się tam w oddali dzieje. Wiedziała tylko, że musi się tam dostać.

Coś barwnego i migotliwego przemknęło koło jej twarzy i zniknęło. Zobaczyła tylko wiązkę światła niby Iśniący ogon komety. Złe moce stawały się coraz groźniejsze...

Dotarła do kolejnej polany. I wtedy z hukiem tak potężnym, że Saga miała wrażenie, iż bębenki w uszach jej popękąją, ziemia otworźyła się przed nią, jakby chciała zagrodzić jej drogę do Marcela. Saga krzyknęła w trwodze, spojrzała w ziejącą bezdenną otchłań i osunęła się na jej krawędź. W ostatnim momencie zdołała się uchwycić jakiegoś lichego krzaczka i rozpaczliwie się go trzymała. Dyszała gwałtownie, zmęczona długim biegiem przez las i ogłuszona tym ostatnim szokiem.

— Saga? — doszło do niej spłoszone wołanie Marcela. — Saga, dlaczego krzyczałaś? Co się stało?

Wyczuwała w jego głosie bezsilną rozpacz, ale akurat w tej chwili nie była w stanie odpowiedzieć...

Alrauna, powtarzała w myśli zgnębiona. Powinnam była wziąć ze sobą alraunę, choć ona nie do mnie należy.Nie powinnam była jej odkładać, może teraz by mi pomogła?

Wzbierał w niej gniew. Czyż nie należy do Ludzi Lodu? Czyż nie jest jedną z wybranych? Ma przecież do spełnienia to jakieś nie znane jej jeszcze zadanie!

Czy to sprawiła złość, czy myśl o alraunie, trudno powiedzieć, ale nieoczekiwanie Saga uświadomiła sobie, że wraca jej dawna, nie znająca lęku natura. Ów dziwny niepokój, który nie opuszczał jej przez całą drogę do Norwegii, zelżał, przestał być taki dokuczliwy. Musiała się przecież zmierzyć z tyloma przeciwnościami! Przede wszystkim zadanie, to tajemnicze zadanie w Grastensholm. A przedtem jeszcze walka o życie Marcela. Nie ulegało przecież wątpliwości, że znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, i to z jej powodu!

Saga czuła się teraz silna, przepełniał ją wewnętrzny żar i świadomość celu. Napinała mięśnie, by utrzymać się na powierzchni, grunt dosłownie usuwał jej się spod nóg, ale nie puszczała krzaczka, mimo że wolno opadał w dół. Jedna stopa znalazła oparcie i to dodało jej odwagi. Na wpół zawieszona nad przepaścią znowu spojrzała w otchłań. Zdawało jej się, że dostrzega czarne skały. Stękając przez zaciśnięte zęby, zdołała podciągnąć się wyżej, a potem wolniutko, z nieludzkim wysiłkiem wyczołgała się na pewniejszy grunt...

— Saga! — doleciało wołanie z oddali, tym razem brzmiała w nim straszliwa desperacja. — Saga, dlaczego nie odpowiadasz?

Ze zdumieniem spoglądała na pokrytą darnią ziemię przed sobą, jakby tu nigdy nie było żadnej rozpadliny...

— Już wszystko w porządku, Marcelu — wydyszała, ale z pewnością nie mógł tego słyszeć, więc powtórzyła głośniej: — Już wszystko dobrze!

Leżała jeszcze przez chwilę na trawie, by dojść do siebie. Potem wstała powoli i ostrożnie obeszła polanę dookoła, żeby nie postawić nogi w miejscu, gdzie niedawno widziała jamę w ziemi, po czym powlokła się dalej przez las.

Lęk, który uważała za tchórzostwo, opuścił ją. Te strachy, które Lucyfer na nią zsyłał, już jej nie dotyczyły.

Przystanęła i rozejrzała się.

Dawne wizje zniknęły. Nadal co prawda panowała ta nienaturalna ciemność, ale już nie grzmiało i niebo nie otwierało się z trzaskiem, żadne potężne ogniste kule nie przelatywały nad ziemią.

Niebezpieczeństwo jednak nie minęło, wyczuwała to bardzo wyraźnie. Zaczynało się coś innego...

Z początku nie pojmowała, co to takiego. Jakby w atmosferze coś się czaiło. Coś ciężkiego, przytłaczającego... Powoli wrażenia stawały się wyrazistsze. Coś ciepłego... podniecającego...

Tak, w ten sposób chciał ją dostać! Próbował na nią oddziaływać erotycznie, uczynić ją posłuszną... chętną.

Światło zmieniło kolor. Przytłumiony czerwony ton zabarwił dawną szarość i wywołał jakiś upiorny, mdły blask. Wokół Sagi zrobiło się gorąco. Czuła, że w jej ciele rozrasta się pożądanie, że ją zalewa niepowstrzymaną falą.

W ciemnym lesie, w którym się teraz znalazła, pomiędzy liściastymi drzewami dostrzegła jakąś postać, która najwyraźniej się na nią czaiła.

Uskoczyła w bok i schowała się za drzewem.

Las trwał w ciszy. Wszystko ustało.

Nie miała odwagi wołać Marcela. Z tym musi poradzić sobie sama.

Stała wstrzymując dech. Jedyne, co się teraz poruszało, to były jej oczy. Wpatrywały się czujnie w ciemność, jakby za każdym drzewem mogły dostrzec jakąś istotę. Czające się stwory, podstępne, obserwujące Sagę, pożądające jej. Wszystkie te obleśne paskudztwa z ludowych wierzeń, które sprowadzają ludzi na manowce. Fauny, satyry, seleny, elfy, królowie gór, centaury, syreny, huldry, mary, wampiry, wodnice... Ludowa wyobraźnia jest niewyczerpana, jeśli chodzi o sprawy erotyczne.

Saga nie umiała powiedzieć, czy te istoty się w lesie znajdują, czy nie. Odnosiła wrażenie, że są, ale ich obecność nie miała znaczenia. Naprawdę niebezpieczna była istota tam niedaleko, kryjąca się za drzewem, wyczekująca, uparta, nieustępliwa.

Ona sama, schowana w zaroślach, nie widziała go dokładnie. Ale był ogromny, to nie ulegało wątpliwości, potwornie wielki. Absolutnie nieludzki, nawet jeśli ciemności powiększały jeszcze z daleka jego sylwetkę, zniekształcały proporcje. Chwilami wydawało się Sadze, że owa istota ma parę ogromnych skrzydeł, ale może wzrok ją mylił? Tak, to z pewnością przywidzenie, bo gdy w następnej chwili zjawa postąpiła parę kroków naprzód, miała całkowicie ludzką postać. Tyle że potworną, przerażającą. Saga nie chciała okazywać ani strachu, ani podziwu. Zacisnęła powieki i z całych sił starała się wydobyć z tej obezwładniającej zmysłowości, która dławiła ją niczym pożądliwe ręce.

Wszystkie wrażliwe punkty jej ciała były wystawione na erotyczne oddziaływanie, uporczywe, konsekwentne. Czuła dręczące mrowienie w piersiach i w lędźwiach, jakby ktoś ją delikatnie gładził niecierpliwymi palcami. Krew się w niej gotowała, całe ciało ogarnięte było pożądaniem, jakiego przedtem nawet się nie domyślała. Cicho jęczała i głęboko wciągała powietrze.

— Odejdź stąd, Lucyferze! — zawołała tak władczo, jak tylko mogła. — To nie ciebie pragnę! Ja pragnę Marcela i ty dobrze o tym wiesz! Wracaj do otchłani, z której przyszedłeś! Nie masz u mnie czego szukać!

W powietrzu rozległy się trzaski, ziemia zaczęła drżeć. O mój Boże, nie powinnam była wymieniać imienia Marcela, pomyślała. Ten demon z piekielnych otchłani gotów się na nim mścić!

Była śmiertelnie przerażona milczeniem Marcela po ostatnim bolesnym krzyku.

W mętnym szaroczerwonym świetle, które rozjaśniało mrok, Saga widziała, że ponura postać się zbliża. Odwróciła się na pięcie i zaczęła uciekać na oślep przez las, byle tylko jak najdalej stąd.

Tamten przez cały czas deptał jej po piętach. Sprawiał wrażenie, jakby płynął, nie biegł, wciąż w tej samej odległości, więc nie mogła go lepiej zobaczyć, wciąż był jak cień w tej gęstej mgle. Zdawało się, że cały świat wypełniony jest jakimiś zmysłowymi, dusznymi zapachami.

Z bolesnym ukłuciem w sercu przypomniała sobie ludzką głowę ukrytą w skrzyni, którą zostawiła w obórce, i nie miała wątpliwości, że spotka ją podobny los, jeśli się nie podda. A może wtedy także? Może właśnie w ten sposób on się rozprawia z nieposłusznymi ofiarami?

Próbowała podejść jak najbliżej Marcela, lecz straciła poczucie kierunku i biegała teraz bez ładu i składu po prostu tam, gdzie otwierało się przejście. Przez cały czas walczyła z pragnieniami własnego ciała, które nakłaniało ją, by zawróciła i wyszła tamtemu duchowi na spotkanie. Ale ona nie chciała, nie chciała za nic...

Wybuchnęła szlochem na wspomnienie alrauny. W jaki sposób porzucony amulet mógłby dodać jej sił?

— Och, drogie duchy opiekuńcze mojego rodu — modliła się. — Wiem, że nie możecie mi pomóc, lecz mimo to zwracam się do was! I do drogiej alrauny, do której nigdy nie miałam odwagi się zbliżyć. Pomóżcie mi! Dajcie mi siłę!

Myśl o alraunie stała się dla niej niczym światło w ciemności. Była przekonana, że gdyby ją teraz miała przy sobie, mogłaby unieść ją w górę, obrócić się dokoła i odpędzić zło, które ją tropi. Przekonanie to było tak silne, iż Saga wyobraziła sobie, że trzyma alraunę w dłoni, wyciągnęła stanowczym ruchem rękę i obracała się wolno.

— Odejdź ode mnie, czarny aniele! — zawołała tak głośno, że las odpowiedział jej echem. — Nie dostaniesz mnie! Nawet mnie nie dotkniesz, bo cię nie chcę, ani jako hrabiego Paula von Lengenfeldt, ani w twej obecnej postaci.

Potężna błyskawica oślepiła ją do tego stopnia, że zatoczyła się i o mało nie upadła. Potem zawróciła i pobiegła przed siebie, potykała się w ciemnościach o wystające korzenie, ale biegła, jakby gra toczyła się o życie, płacząc głośno, ścigana przez wściekłość nie mającą sobie równych.

Ale daleko nie uciekła. Czuła za sobą jego przemożne pożądanie, wiedziała, że jest stracona, że nie ma dla niej ratunku, biegła jednak uparcie i nie zamierzała się poddać bez walki. Paliło ją w piersiach, w ustach czuła smak krwi, wiedziała, że wkrótce nogi odmówią jej posłuszeństwa.

Niejasno odczuwała, że straszne grzmoty nad lasem cichną, stają się słabsze. I że ta gęsta erotyczna atmosfera wokół niej także nieco zelżała.

Nie, to przywidzenie!

Saga nie odważyła się zatrzymać ani na moment, żeby się rozejrzeć. Brnęła dalej, oddech miała świszczący, zataczała się od drzewa do drzewa. Niejasno zdawała sobie sprawę z tego, że również erotyczne pragnienia jej ciała osłabły, wkrótce co prawda wybuchły z nową siłą, ale potem znowu przygasły. Wzburzenie i zmęczenie sprawiały, że nie mogła śledzić uważnie stanu swojego ciała, jedyne, czego pragnęła, to biec naprzód — dopóki siły jejcałkiem nie opuszczą. Wtedy z jękiem opadła na mech. Ostatnie, co, jak jej się zdawało, widziała, to było normalne znowu światło nocy. Ale tego też nie była pewna.

Co się takiego stało?

Nie była w stanie nawet myśleć.

Leżała zaledwie kilka sekund, kiedy dotarł do niej słaby, niewyraźny głos. Zaczęła nasłuchiwać. To wołanie w lesie.

— Saga!

Głos należał do Marcela. Ostrożnie uniosła głowę, starła resztki mchu z policzka.

Byłoby przesadą mówić, że wszystko wróciło do normy. Zbliżał się brzask, ponad ziemią i drzewami pojawiła się delikatna smuga światła. Wciąż jeszcze nad lasem unosiła się gęsta, duszna atmosfera erotyczna, pożądanie przekraczające wszelkie wyobrażenie. Było to tak wszechogarniające, że trzeba będzie wiele czasu, nim do końca zniknie.

— Marcel — jęknęła bezradnie.

Jego kroki zbliżały się. I nareszcie ukazał się on sam, zmęczony, ledwo trzymając się na nogach, z mokrymi włosami i w brudnym ubraniu. W zapadniętych głęboko oczach widziała ból. Ale żył!

To było wszystko, czego mogła żądać od losu.

— No, nareszcie! — odetchnął z ulgą. — Najdroższa, myślałem, że już nigdy więcej cię nie zobaczę! A teraz... teraz... bałem się, że już do ciebie nie wrócę. Chodź! Musimy stąd uciekać! Szybko!

Pomógł jej wstać i na moment przytulił mocno do siebie.

— Wybacz mi, że ci nie wierzyłem — powiedział wstrząśnięty. — Że nie wierzyłem w to, co mówiłaś o Lucyferze.

Saga w dalszym ciągu dyszała ciężko.

— Co to się stało? — pytała wtulona w jego ramię, kiedy pomagał jej stanąć na nogi. — A dlaczego teraz złe moce dały za wygraną?

— One nie dały za wygraną — odparł Marcel, zgarniając liście i igliwie z jej pleców. Obejmował ją i podtrzymywał, dopóki nie była w stanie iść o własnych siłach. — Jeszcze nie dały za wygraną. To tylko pauza. Zastanawiam się, czy to nie zaczął działać środek nasenny.

Saga pomyślała trochę złośliwie, że były archanioł nie powinien ulegać działaniu zwykłego środka nasennego. Ale zaraz przypomniała sobie, że środek nie jest taki zwyczajny, skoro pochodzi ze zbiorów Ludzi Lodu. To zdecydowanie zmienia postać rzeczy. Ludzie Lodu już i dawniej miewali z niego pożytek w walce z mocami ciemności.

— Więc on nie został jeszcze pokonany?

— Nie, jeszcze nie. Wciąż walczy, choć sił ma mniej. Chodź, musimy się spieszyć!

Jakby w odpowiedzi na słowa Marcela kilka ognistych kul przeleciało obok, ale już nie w takim pędzie jak poprzednio.

— Widziałeś go? — zapytała Saga, a Marcel ciągnął ją z całych sił, żeby jak najszybciej wyprowadzić ją z doliny.

— Nie chciałbym o tym mówić — odparł krótko. — Jeszcze nie teraz. Chodź, musimy wyjść na wzniesienie. Tutaj na dole i w lesie to on ma władzę.

— Nigdy mu nie uciekniemy — narzekała Saga.

— Przeciwnie, uciekniemy. Nie rozumiesz tego? Jeśli nas teraz nie dogoni i jeśli będziemy się trzymać z daleka od niego, dopóki jego czas na Ziemi nie minie, to zwyciężymy.

— Tak, o tak! — potwierdziła, choć jej głos wciąż brzmiał żałośnie. — Jego czas dobiega końca.

— Właśnie dlatego jest taki zdesperowany. Wkrótce będzie musiał wracać.

Ta myśl dodała jej sił. Wspinali się i czołgali po stromym gładkim zboczu, porośniętym mchem, nie mając odwagi spojrzeć za siebie.

Saga nie chciała, by Marcel zauważył, jak bardzo pobudzone są jej zmysły. Bo jak na ironię, i prawdopodobnie ku wielkiemu niezadowoleniu upadłego anioła światłości, jej pożądanie skierowało się teraz ku Marcelowi. Ale czegóż więcej mógł się tamten zły duch spodziewać? Atmosfera erotycznego podniecenia w lesie oddziaływać musiała we wszystkich kierunkach. I o ile Saga dobrze pojmowała, to Marcel także znajdował się pod jej wpływem. Świadczył o tym blask jego oczu, ta jakaś łapczywość, z jaką bezustannie oblizywał wargi, nagły niepokój w jego spojrzeniu, kiedy jej dotykał.

Wdrapali się na wystającą skałę i tam musieli nareszcie odpocząć. Pod nimi i wokół nich nadal przelatywały z wielkim hukiem ogniste kule, lecz magia zdawała się wyraźnie tracić na sile. Hałas nie był nawet w stanie zagłuszyć szumu wiatru.

— Nie rozumiem... — jęknęła Saga. — Dlaczego on mnie nigdy nie zaatakował... wprost. Przecież przez cały czas nie odstępował mnie ani na krok. Mógł mnie... mógł mnie porwać w każdej chwili.

Marcel nie spuszczał z niej oczu. Jego spojrzenie było gorące, przepełnione miłością i pożądaniem.

— Nie wydaje ci się, że taka zabawa w kotka i myszkę jest zgodna z jego naturą? Pozostał taki, nawet kiedy przemieniał się w Paula. Nie mógł się pozbyć chęci bawienia się cudzym kosztem, upokarzania.

— Tak. Masz rację.

Marcel spojrzał na nią zamyslony.

— Być może nie bez znaczenia jest też twoje pochodzenie. Ludzie Lodu mają swoich opiekunów. Ty sama też ich masz.

— Możliwe. Tak się przecież wystraszył alrauny... Och, Marcelu... Ty nie wiesz... Nie, nawet nie chcę o tym mówić. Nie teraz!

Nie była w stanie opowiedzieć mu o odkryciu w skrzyni, dostawała mdłości na samą myśl o tym.

— Chodź, trzeba iść — mruknął Marcel. — Zdaje mi się, że znowu nas znalazł.

Rozległ się huk i niebo nad drzewami rozdarła potężna błyskawica. Saga i Marcel wspinali się coraz szybciej, czuli, że tamten ich ściga, nieoczekiwanie góra pod nimi się zatrzęsła. Saga krzyknęła rozpaczliwie.

— Nie bój się. On już nie ma siły — uspokajał ją Marcel, ale widziała, że on sam lęka się także.

— Więc nie udało mu się wywołać w tobie erotycznego podniecenia? — zapytał, kiedy znaleźli się na rozległym płaskowyżu, zamkniętym z obu stron niewysokoimi skałami. Wichura szarpała nimi z niesłabnącą siłą.

— Coś ty, oszalałeś? — oburzyła się Saga. — Nigdy! Nigdy by mu się coś takiego nie udało!

Marcel uścisnął z wdzięcznością jej rękę i poprowadził ją dalej na skraj skalnego urwiska.

— On musi być gdzieś tam na dole — powiedział.

Saga spojrzała w tamtą stronę. Tuż pod nimi ziała pustką groźna rozpadlina, której dna stąd nie było widać. Za nią rozciągała się porośnięta lasem dolina, z której właśnie uciekli. Sosny nad rozpadliną rosły dość rzadko. Nagle...

— Tam! — Saga pokazywała czerniejącą w mglistej poświacie rozpadlinę.

Na dole ukazała się jakaś postać. Ciężko oparła się o drzewo, najwyraźniej całkowicie wyczerpana. To Paul, co do tego nie mieli wątpliwości. Paul albo raczej Lucyfer. Musieli w końcu pogodzić się z faktem, że to właśnie z nim mają do czynienia. To Paul, a nie tamten zbiegły nożownik. Nikt nie był tak wysoki i postawny jak on i miał na sobie to samo wytworne ubranie co przedtem.

— Marcel, spójrz, tam leży worek ze skarbem Ludzi Lodu. Z tyłu za nim. Nie był w stanie dłużej go nieść, więc go po prostu rzucił...

— Teraz to on już nie będzie w stanie wiele więcej zrobić — mruknął Marcel.

Postać w dole uniosła rękę i zmęczonym gestem przetarła oczy.

— Środek nasenny — szepnęła Saga przejęta.

— Tak. A nie zauważyłaś niczego więcej?

— Chodzi ci o...? Tak, te straszne krzyki ustały. W lesie panuje cisza. Tylko wiatr...

Wciąż czuła w całym ciele tę dręczącą erotyczną gorączkę, to nie ustało. Ale o tym nie chciała Marcelowi mówić.

— Marcel, czy ty myślisz...?

— Że zdołaliśmy się od niego uwolnić? Tak. Pójdę tylko tam, do tych skał, i rozejrzę się. Myślę, że stamtąd widać daleko. Może nawet do osiedli...

Niebo pomiędzy dwoma skałami przybierało powoli ostre barwy porannej zorzy. Szare, obrzeżone złotym blaskiem chmury sunęły po rozjarzonym do czerwoności tle.

Dolinę wciąż wypełniały cienie.

Saga zatrzymała się na skraju wzniesienia i przyglądała się stworzeniu w dole, nie mając odwagi uwierzyć w cud, który się wydarzył. Ale duszę jej wypełniało uczucie nieopisanej ulgi, kiedy zobaczyła, jak źle skończyła się próba tamtego, by iść dalej. Po kilku krokach upadł na trawę i tak już został z wyciągniętymi przed siebie rękami.

Złe minęło. Trwająca tyle czasu trwoga opadła.

Saga uśmiechała się. W oczach miała łzy szczęścia.

— Jesteśmy wolni, Marcelu, jesteśmy wolni! Pokonaliśmy samego Lucyfera, upadłego anioła światłości. Teraz musimy tylko odejść stąd jak najszybciej.

Z tyłu za nią rozległ się ogłuszający huk. Odwróciła się spłoszona.

Na wzniesieniu stał Marcel i patrzył na nią z dumnym uśmiechem na wargach. Ale to był inny Marcel niż ten, którego znała. Powiększył się do ogromnych rozmiarów, rysy twarzy miał nadal szlachetne, ale jakieś inne, żaden człowiek nie mógł mieć takich. Zamiast ubrania nosił teraz tylko czarną przepaskę na biodrach, skórę miał szaroczarną, a kruczoczarne włosy rozwiewał porywisty wiatr. Ręce unosiły w górę duży lśniący miecz.

A z tyłu, wysoko ponad jego głową, widać było dwoje złożonych skrzydeł, czerniejących na tle coraz jaśniejszego nocnego nieba.

ROZDZIAŁ IX

Saga padła na kolana i ukryła twarz w dłoniach.

— Nie! Nie! — zawodziła żałośnie.

Usłyszała głos stojącej przed nią istoty. Potężny, grzmiący jak echo w ogromnej, pustej sali:

— Nie bój się, Sago! Ten miecz nie jest wymierzony przeciwko tobie. To po prostu mój atrybut.

Opuściła ręce i oczyma pełnymi łez wpatrywała się w tego budzącego trwogę, niewiarygodnie pięknego potwora.

— Och, źle mnie zrozumieliście, Panie. Ja się nie boję. Nie, ja kochałam Marcela... i myślałam...

— O wspólnej przyszłości? Będziesz ją miała, Sago. Ale nie tutaj.

— Myślicie, Panie...?

— Mój czas na Ziemi jest zbyt krótki, niedługo dobiegnie końca. Ale czyż kiedyś nie pragnęłaś przyjść do mnie, do mojej otchłani?

Na myśl o tym doznała zawrotu głowy.

Tak, to prawda. Ale ja nie mogę, Panie. Mam zadanie do spełnienia.

Dawny anioł światłości uśmiechnął się.

— Tak, czeka cię zadanie. Ważne. Bardzo ważne. Musisz je wypełnić.

Wielkie skrzydła złożyły się powoli i rozmyły się w powietrzu. Dłonie trzymające miecz opadły, broń zniknęła. Postać, która była teraz czymś pomiędzy Marcelem i demonem, zeszła w dół, do Sagi, i podniosła ją z klęczek.

Poczuła jego dłoń na swoim ramieniu... Gorący dreszcz przeniknął jej ciało...

Saga spojrzała w oczy, które teraz były łagodne i zarazem straszne, zamglone jak oczy... Uff, nie, skąd przyszła jej do głowy myśl, że przypominają oczy kozy? Powinno ją to rozśmieszyć, tymczasem zrobiło jej się zimno.

Ta surowa powaga Marcela... Teraz Saga wiedziała, skąd się bierze. To cecha tej istoty, w którą przeistoczył się Marcel, istoty o przejmującym spojrzeniu, tak władczej, że we wszystkich musiało to budzić szacunek. Najserdeczniejszy uśmiech nie był w stanie złagodzić wrażenia.

— Chyba się nie boisz?

Te oczy... Czyż takich oczu ludzie zawsze nie łączyli z demonami otchłani?

— Nie, nie boję się — odparła stanowczo. — Jestem tylko oszołomiona tym wszystkim, bezradna i... nieszczęśliwa.

— Nie powinnaś być nieszczęśliwa. Jesteś moją wybranką.

Miała świadomość, że spotyka ją wielki zaszczyt. Dlatego skłoniła się głęboko. Pochylała głowę przed Lucyferem, aniołem wypędzonym z nieba.

— Ale nie wierzę, że jesteś Szatanem, Panie.

Uśmiechnął się boleśnie.

— Nie, rzeczywiście Szatanem nie jestem. Jestem aniołem światłości, strąconym do otchłani. Kiedyś piastowałem godność pierwszego pośród archaniołów.

W swej obecnej postaci był wyższy od Marcela, ale już nie tak ogromny jak wtedy, gdy ukazał jej się jako Lucyfer. W dalszym ciągu był bardzo ciemny, prawie czarny, nosił tylko przepaskę na biodrach, nic poza tym, skrzydła zniknęły. Był nieopisanie piękny.

— Dlaczego mnie tak przestraszyłeś, Panie? Tam na dole w lesie?

Delikatnie dotknął dłonią jej ramienia. Gwałtowna fala erotycznego napięcia sprawiła, że Saga zgięła się wpół.

— Dlatego, że nie byłem ciebie pewien. Wciąż nie wiedziałem, ile znaczy dla ciebie Paul. Musiałem poddać cię próbie.

— Ależ on nigdy nic dla mnie nie znaczył! Przekonałeś się o tym, Panie, dopiero teraz? Przed chwilą?

— Tak. Teraz jestem pewien twojej miłości. I dopiero teraz odważyłem się wyjawić ci, kim naprawdę jestem.

— Ale dlaczego? Czyż nie masz, Panie, władzy, by wziąć to, czego pragniesz?

— Nie. Ty nie znasz do końca legendy o miłości Lucyfera. Mówi ona mianowcie, że Lucyfer musi zdobyć wzajemność w miłości, to jest warunek, by mógł się ukazać swojej ukochanej. Przedtem nie wolno mu zrzucić ziemskiego przebrania, nie wolno mu się do niej zbliżyć.

— To wielkie ryzyko. Bo przecież kobieta może cię kochać jako Marcela, do czarnego anioła natomiast odczuwać wstręt.

— I ty właśnie czujesz? — zapytał cicho.

Spojrzała na niego i świat zawirował jej przed oczami. Chłonęła obraz jego postaci wszystkimi zmysłami, skórą, każdym nerwem, każdą pulsującą tętnicą.

— Nie — odparła szeptem.

Wtedy on się uśmiechnął z ulgą.

Och, nie mogła mu wyznać wszystkiego, nie odważyłaby się, bo taki był wspaniały, taki monumentalny, taki nieziemski. Nie mogła też zrobić tego, czego pragnęła najbardziej — rzucić mu się w objęcia i tak już zostać, iść za nim wszędzie, gdziekolwiek się zwróci, pójść za nim na samo dno otchłani. Nie odważyła się wspomnieć o ogniu, który trawi jej ciało, o tej dręczącej tęsknocie, by do niego należeć, teraz, zaraz, tutaj, w tej chwili. Bo tamta gorączka z lasu nie opuszczała jej ani na moment, powietrze przesycone było tym niezwykłym erotycznym napięciem i zmysłowością, wchłaniała to w siebie wraz z oddechem, czuła w całym ciele, pod skórą, w rytmicznie pulsującej krwi.

Istota z tamtego świata ujęła ją za rękę i poprowadziła w górę, na skały.

Drżącym głosem Saga powiedziała:

— Bywasz na Ziemi, Panie, co sto lat. Kochałeś już z pewnością wiele kobiet.

— Żadnej. I zapomnij o tej starej historii mojej miłości z pradawnych czasów! Ja zapomniałem o niej już dawno. Ale przekleństwo zachowało moc. W każdym stuleciu musiałem wychodzić z otchłani i szukać. Gdzie jednak miałem znaleźć ziemską kobietę godną kochania? I taką, która mogłaby odwzajemnić moje uczucie? Dopiero teraz...

— Tak, ale dlaczego akurat ja?

Przystanął pod skałą blisko szczytu.

— Jest w tobie pewne podobieństwo do tamtej, pierwszej kobiety, to prawda. Ale to bez znaczenia, Sago, najważniejsze, że mogłem się do ciebie zbliżyć.

Spoglądała na jego fascynującą twarz, oczekując dalszych wyjaśnień.

— Przede wszystkim musisz wiedzieć, że to prawda, co ci powiedziałem. Twoja tęsknota, marzenie, by przyjść do mnie, do mojej otchłani, przyciągnęła mnie do ciebie. Ale ty pochodzisz z Ludzi Lodu. Co więcej, należysz do wybranych i masz do spełnienia zadanie. Wszystkie istoty na ziemi i pod ziemią będą ci w tym pomagać.

— I tylko dlatego? — zapytała rozczarowana.

— Nie tylko. Od pierwszej chwili kiedy cię ujrzałem, serce moje przepełnia miłość. Musiałem cię zdobyć. Musiałem, za wszelką cenę. Ale hrabia Paul...

— No właśnie! Kim on naprawdę jest?

Lucyfer wzruszył swoimi potężnymi, bardzo kształtnymi ramionami.

— Nie wiem. To ktoś, kogo wynaleźli twoi przodkowie, by odwrócić cię ode mnie. Wybrali najpiękniejszego mężczyznę na ziemi... — Uśmiechnął się sam do siebie. — Ale to nie wystarczyło.

— Nie. — Saga także się uśmiechała. — Ja widziałam tylko was, Panie. Och, ty jeszcze nie wiesz, Panie, co on zrobił!

— Z tobą?

Nadprzyrodzona istota okazywała zwyczajną ludzką zazdrość.

— Nie, nie! Proszę się nie bać! Tylko że ja... otworzyłam skrzynię... — Saga zaczęła drżeć.

— Nic nie mów! Nie chcę teraz tracić czasu na takie sprawy.

Zdjęta nagłym lękiem Saga zawołała:

— Musimy zabrać worek ze skarbem!

— Później. On będzie spał bardzo długo, a ta chwila jest nasza, Sago. Teraz jesteś tylko moja. — Delikatne ręce zaczęły z niej zdejmować lekkie ubranie. — Gdybyśmy mieli więcej czasu, najpierw bym cię bardzo długo uwodził. Zaprzyjaźnilibyśmy się ze sobą...

— Och, czy już nie zostaliśmy przyjaciółmi? Jako Saga i Marcel? Ja się nie boję, Panie. Jestem gotowa. Niczego innego nie pragnę.

Dotknął z czułością jej policzka i uśmiechnął się.

— Czy nigdy się niczego nie domyślałaś? Że to ja jestem Lucyferem?

— Nie, nawet mi to nie przyszło do głowy.

— A jednak raz popełniłem okropny błąd. Nie zastanowiłem się. Wiesz, ja znam wszystkie języki świata, zacząłem więc mówić po norwesku z tym myśliwym. Zdawało mi się, że wy też możecie rozmawiać w dowolnym języku.

Saga pozwalała, by ją rozbierał. Czynił to tak delikatnie, jakby uwalniał ją z obłoku mgły, ubranie po prostu z niej opadało.

Najlżejszy dotyk jego rąk wprawiał każdą komórkę jej ciała w drżenie. Po jego przyspieszonym oddechu poznawała, że nie tylko ona doznaje zawrotu głowy na myśl o przyszłości.

Tysiące i tysiące lat... Sami w przepastnej otchłani.

Jej serce przepełniała gorąca sympatia i współczucie dla jego gorzkiego losu, co widocznie i jemu udzielało się także, bo surowa twarz złagodniała i coraz trudniej było mu panować nad sobą.

Saga nie chciała przyspieszać tego, co miało nadejść, zapytała więc:

— Skąd ci się wziął ten pomysł, żeby udawać mojego kuzyna?

Nie zareagował, a może nie zauważył, że zwracała się teraz do niego w bardziej poufałej formie. Czyż to nie naturalne, w chwili takiej intymności?

— Żeby zamienić się rolami z Paulem von Lengenfeldtem — odparł, wdzięczny, że jeszcze na chwilę powstrzymała jego podniecenie. — To znaczy, żebyś myślała, że to ja jestem tym opiekunem, którego przysłali ci na pomoc przodkowie.

— Ale my jesteśmy do siebie tacy podobni, ja i ty.

— Tak. Chodziło przecież o to, by do ciebie dotrzeć, nawiązać z tobą kontakt. A sama wiesz, że człowiek mimo woli odczuwa sympatię do kogoś, kto wygląda podobnie jak on. I to wcale nie jest zarozumialstwo, między takimi ludźmi budzi się poczucie wspólnoty, wzajemne porozumienie.

Rozebrał ją, ale nie odczuwała zimna, nocny chłód nie miał do nich przystępu, otoczeni byli aurą magii i żarem własnyeh pragnień, izolowani od świata.

Czarny anioł odsunął Sagę lekko od siebie i przyglądał jej się uważnie. Dziwne, lecz wcale jej to nie krępowało. Jej, która nie miała odwagi stanąć nago nawet przed własnym mężem!

— Jesteś piękna, Sago — rzekł Lucyfer półgłosem.

Potem ukląkł przy niej i przytulił głowę do jej piersi. Całował je wolno, ale zmysłowo, długo pieścił końcem języka, najpierw jedną, potem drugą. Saga wciągała głęboko powietrze za każdym razem, kiedy dotykał jej skóry, a pożądanie narastało, stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. Ujęła w dłonie jego piękną głowę, zanurzyła twarz w czarnych włosach i szeptała słowa pełne tęsknoty i miłości.

— Taka straszna pustka panuje tam w dole, Sago — mówił dalej cichutko. — Taka samotność...

— Ja wiem — odparła.

Ale czy naprawdę wiedziała? Znała otchłań wyłącznie z własnych wyobrażeń. Czarne skały, przenikliwy, wilgotny chłód... Och, skąd mogła wiedzieć, jak tam jest naprawdę, zgadywała jedynie. Bo może on żył we wspaniałym, niezwykłej urody pałacu? Otoczony zastępami służby?

Powolnymi ruchami, z czułością jego piękne ręce pieściły ciało Sagi, dopóki nie jęknęła niecierpliwie. Wtedy i jego ogarnęło drżenie, końcem języka drażnił jej skórę na brzuchu, lekko, leciuteńko...

Saga przymknęła oczy. Wkrótce nogi nie chciały jej już dłużej trzymać, więc powoli opadła na ziemię, a on pochylił się nad nią. Skalne podłoże nie było takie twarde, jak się Sadze zdawało. Leżała jak w najwygodniejszym łożu, było jej ciepło, a od Lucyfera spływał na nią palący żar. Ciało Sagi pragnęło już tylko jednego.

Męskie oczy ponad nią były rozjarzone, usta drgały zmysłowo. Saga objęła jego głowę i przyciągnęła do siebie — może on nawet nie wie, co to jest pocałunek?

Och, cóż to za myśli przychodzą jej do głowy? Nigdy przedtem nie odważyłaby się pierwsza pocałować mężczyzny, ale teraz było inaczej, chciała czuć jego wargi na swoich i wiedziała, że on nie uzna tego za bezwstydne, będzie się po prostu cieszył, że Saga pragnie jego miłości.

Kiedy odnalazła jego usta, ciałem Lucyfera wstrząsnął dreszcz. Końcem języka pieściła najpierw jego wargi, a później odszukała jego język — i już nie była w stanie nad sobą panować. On także nie. Wszystko stało się tak szybko — oszołomienie, gwałtowne gesty z obu stron... i oto był w niej, brał ją w posiadanie. Trudne do opisania pożądanie osiągało zenit. Całe ciało Sagi zastygło, naprężyło się w cudownym uniesieniu, odrzuciła w tył głowę i pozwoliła się zalać ekstazie tak szalonej, że wszystko wokół zawirowało. Słyszała tylko jego gwałtowny oddech, przechodzący w krzyk rozkoszy, graniczącej z bólem.

Tak oto stała się kobietą Lucyfera. Kochanką samotnego czarnego anioła.

Jej kochanek nie był zwyczajnym mężczyzną, nie podlegał też zwyczajnym ograniczeniom, chciał ją kochać wiele razy. Jego czas dobiegał końca, mieli jeszcze tylko tych parę chwil i należało je wykorzystać. Następne godziny Saga odczuwała jako nieprzerwane pasmo uniesień i spełnień, jej, jego, kilkakrotnie przeżyli ekstazę równocześnie, to znów każde z osobna. Jakby się unosiła w morzu najczulszych słów i pieszczot; zdarzało się, że miłość, którą otrzymywała i którą sama była w stanie dać, po prostu ją przytłaczała i Saga wybuchała płaczem, rozpaczliwym i bolesnym; jego niekiedy ogarniał lęk, że nie dość okazuje, jak bardzo Saga jest mu bliska, i wtedy obejmował ją mocno, głaskał po włosach, po twarzy z największą serdecznością. Jakby go znowu ogarniała ta beznadziejna tęsknota, która dręczyła jego duszę przez tysiące lat.

Kiedy nareszcie bezsilnie opadli na ziemię, niebo nad nimi zalane już było złocistym światłem wschodzącego słońca.

Leżeli długo i oddychali ciężko, nieludzko zmęczeni, ale szczęśliwi, przytuleni do siebie, z niezłomnym przeświadczeniem, że należą do siebie, że się kochają i darzą nawzajem najszczerszym oddaniem. Starali się jak najintensywniej przeżywać każdą sekundę, jaka im jeszcze została, dobrze wiedząc, że koniec nieuchronnie nadchodzi.

Wreszcie wstali. Saga ubrała się. Skała, na której leżeli, zrobiła się znowu twarda i nierówna, wichura co prawda ustała, ale wciąż wiał przenikliwy wiatr i zawodził pomiędzy głazami.

— Ile czasu ci jeszcze zostało? — spytała cicho głosem pozbawionym radości.

— Już niewiele.

— Nie chcę się z tobą rozłączać.

Przygarnął ją do siebie gorączkowo.

— Ani ja. Sago, czy ty byś nie mogła...

Ucichli przestraszeni. Bardzo blisko nich rozległy się głosy.

I ujadanie psów.

— Owszem, trzeba wejść na górę — mówił ktoś chrypliwie. — Tam go dostaniemy.

— Saga... schowaj się!

Niespokojnie wpychał ją w wąski przesmyk pomiędzy dwoma skalnymi blokami.

— A ty? Dlaczego to ja mam się ukrywać? To przecież mężczyzna, którego oni...

— Nie mów nic

Znowu widziała przed sobą Marcela, ubranego jak zwykle, normalnego mężczyznę, Marcela, w którym zakochała się po uszy.

— Nie powinnaś tego oglądać — rzekł pospiesznie.

— Nie, Marcelu! Tylko nie miecz!

— Nie bój się! Na Ziemi mój miecz nie ma mocy.

W następnym momencie Marcel znalazł się znowu w lesie. Natychmiast też ukazała się tam grupa ludzi z dwoma psami.

— To on! — krzyknął jeden, prawdopodobnie lensman.

— Teraz już nam nie ucieknie.

Marcel cofnął się ku skałom.

Któryś ze ścigających powiedział z wahaniem:

— Nie, ale to chyba nie...

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Psy zostały spuszczone, Saga zapomniała o zakazach i wybiegła z ukrycia.

— Nie! Zaczekajcie! To pomyłka! — wołała rozpaczliwie.

Przestraszony lensman odwrócił się do niej i zaczął przywoływać swoich ludzi, ale posłuchał go tylko tamten mężczyzna, który na widok Marcela się zawahał. Reszta biegła dalej. Saga znowu zaczęła krzyczeć, śmiertelnie teraz przerażona, co się stanie z jej ukochanym.

Człowiek, którego nazywała Marcelem, posłał jej długie, pełne miłości spojrzenie, jakby chciał ją pociągnąć za sobą, po czym rzucił się w dół i zniknął jej z oczu.

Psy zatrzymały się nad krawędzią i ujadały wściekle, wpatrując się w przepaść. Ludzie stanęli także, wstrząśnięci.

— Coście wy zrobili? — płakała Saga. — Coście wy zrobili?

— To nie był on — stwierdził lensman bezbarwnym głosem. — Dostrzegłem to zbyt późno. Przecież to nie jego ścigaliśmy! O Boże, Boże, wybacz mi, bo ja sam nigdy sobie tego nie wybaczę!

Podeszli wszyscy do krawędzi, Saga także, wciąż zapłakana. Spoglądali w dół, na kamienne zwałowiska w głębi. Otchłań zdawała się nie mieć dna.

— Jego tam nie widać — powiedział jeden z mężczyzn zdumiony. — Co się, do diabła, z nim stało?

— Ciii! Licz się ze słowami — przerwał lensman surowo.

Ale Saga wiedziała, co się stało. Czas się dopełnił. To o to się bał, żeby Saga nie widziała.

— Nigdy go stamtąd nie wydostaniemy — westchnął lensman. — Nikt nie zejdzie do przepaści. To śmiertelnie niebezpieczne.

— To prawda — przyznała Saga z płaczem. — Nigdy więcej go nie zobaczymy.

Mężczyźni skupili się wokół niej, wyrażali współczucie, mówili, jak im przykro z powodu tego, co się stało, nie wiedzieli, jak jej wynagrodzić krzywdę.

Saga potrząsnęła głową.

— On sam tego chciał — powiedziała zdławionym głosem. — Był śmiertelnie chory. Zostało mu nie więcej niż parę tygodni życia. Wolał zginąć w ten sposób.

Powiedziała to, by ich pocieszyć, lecz także dlatego, żeby się za bardzo nie dopytywali, kim Marcel był. W pewnym sensie zresztą mówiła prawdę.

— Ale spójrzcie tam! — zawołał jeden z mężczyzn, pokazując w dół, na polanę. — Tam! Jeszcze dalej! Tam leży jakiś człowiek! To chyba ten nasz!

— Nie — wyjaśniła Saga zmęczonym głosem. — On przyszedł tu razem z nami. Tylko że ja nie wiem, kto to jest. Podaje się za hrabiego, ale to nieprawda. To złodziej i... Panie lensmanie, ja myślę, że to morderca.

— Co? Jeszcze jeden? Jakbyśmy mieli mało kłopotów z tym, którego ścigamy?

Saga była tak zmęczona, że musiała się oprzeć o wielki głaz. Teraz, kiedy ukochany mężczyzna ją opuścił, wszystko straciło znaczenie. Marcel zniknął na zawsze. Jaki sens ma teraz jej życie?

— Nie wiem, panie lensmanie. Nic mi o nim nie wiadomo.

— Ale dlaczego on tam leży? Czy też nie żyje?

— Nie, mieliśmy zamiar przenocować w oborze, w takiej opuszczonej zagrodzie...

— Tak, tak, ja wiem, gdzie to jest.

— Ale zaczęliśmy mieć podejrzenia co do tego człowieka, tam...

Nie powiedziała, jakiego rodzaju były to podejrzenia. Nie mogła przecież powiedzieć, że brała go za Lueyfera. Nikt by jej więcej nie chciał słuchać!

— Wsypaliśmy mu do picia środek nasenny. Wkrótce potem zniknął wraz z naszymi kosztownościami. Ten skórzany worek, który obok niego leży, jest mój. Mój przyjaciel pobiegł za nim, a ja miałam czekać w oborze, ale kiedy zajrzałam do tajemniczej skrzyni hrabiego, której strzegł przez całą drogę, znalazłam w niej... odciętą ludzką głowę.

Skrzywiła się ze wstrętem na wspomnienie swojego odkrycia. Mężczyźni spoglądali na nią zdumieni, najwyraźniej nie mogli uwierzyć, że mówi prawdę. Musiała się bronić.

— W oborze było ciemno, a ja tak się bałam... więc natychmiast z powrotem zatrzasnęłam wieko i uciekłam do lasu. Potem przez cały czas szukaliśmy hrabiego. Weszliśmy wysoko na skały, żeby się przekonać, czy tam go nie ma. Właśnie stamtąd zobaczyliśmy go na tej łące, zamierzaliśmy zejść, kiedy wy się zjawiliście.

Szczęśliwie udało jej się sklecić wiarygodną historię tak, że nie musiała wspominać o pełnej lęku nocy ani o długich miłosnych godzinach o świcie. Żeby tylko lensman nie zaczął uściślać czasu wydarzeń!

Ale nie. Wszyscy milczeli przez chwilę, a potem lensman rzekł zrezygnowany:

— Powinniśmy chyba pójść i zobaczyć na miejscu, jak się sprawy mają.

— Czy mogłabym najpierw zabrać ten ukradziony worek? Zanim on się obudzi. Tam są ważne dla mnie rzeczy.

Lensman zastanawiał się przez chwilę, a potem polecił dwóm swoim ludziom, żeby zeszli na dół przypilnować hrabiego. Tylko mają go nie budzić, zarządził. I mieć baczenie na worek. Nie otwierać go, broń Boże! Nie przegląda się rzeczy należących do damy!

Saga była mu za to wdzięczna, dopóki nie powiedział:

— Niedługo tu wrócimy. A pani, młoda damo, pójdzie ze mną.

Była zbyt apatyczna, żeby protestować. Serce jej krwawiło z tęsknoty za Marcelem, bo nadal tak go w myślach nazywała. Lucyfer to jakby zbyt... wielkie imię. Poza tym w chwili czułości zwierzył jej się, że zwykle kiedy wędruje po Ziemi, używa tego właśnie imienia. Marcel. To imię znane w wielu krajach. Było powszechne już w starożytnym Rzymie w formie Marcellus. W nowożytnej Italii jcst to Marcello. Przez wiele stuleci Marcel wędrował po Ziemi jako mnich. Nazywał się wówczas Brat Marcus. Saga już na samym początku zauważyła, że jest w nim coś z mnicha, on sam się zresztą o to starał. Ubierał się, jeśli tak można powiedzieć, ponadczasowo.

Z zamyśleaia wyrwały ją słowa lensmana. Zeszli już z góry i wędrowali przez spokojny las, lensman i Saga, i jeszcze jeden mężczyzna z psami.

— A kiedy państwo podróżowali tak długo, nie widzieli państwo zbiega?

— Owszem — odparła obojętnie. — Kilka razy. Ostatnio dzisiejszej nocy. Minął wtedy zagrodę i pobiegł w stronę wzgórz.

— Proszę mi pokazać, w którą stronę — polecił lensman krótko.

Wskazała ręką bez zainteresowania. Jej serce było martwe, cała czuła się martwa, jeśli śmierć może zawierać także dojmujący, nieutulony ból.

Marcel odszedł. Nigdy więcej Saga nie zobaczy czarnego anioła, wypędzonego. Tego, którego kochała przez kilka krótkich chwil, lecz uczuciem wielokrotnie bardziej intensywnym niż wszystkie miłości niejednego życia.

Cóż ją teraz może obchodzić świat?

Kiedy jednak w końcu stanęli przed opuszczoną zagrodą, otrząsnęła się z rozpaczy i cofnęła o krok.

Nie, nigdy w życiu nie wejdzie tam z własnej woli! Nie bała się, ale nie miała siły oglądać jeszczę raz tej upiornej skrzyni. Akurat teraz nie byłaby w stanie przeżyć kolejnego wstrząsu, tłumaczyła lensmanowi. Tylko że wewnątrz jest jej podróżny kuferek, gdyby więc zechcieli być tak uprzejmi i wynieść go z obórki...

W tym momecie przypomniała sobie alraunę, którą ukryła za belką pod dachem.

Blada, ze spuszczoną głową przekroczyła próg i weszła do środka.

W dziennym świede wszystko wyglądało inaczej. Ruiny, brud, szczurze odchody i pajęczyny, kurz... wszystko bgło wyraźniej widoczne.

To tutaj zamierzali nocować? Przeniknął ją dreszcz obrzydzenia.

Dyskretnie wyjęła alraunę z ukrycia i włożyła ją do kuferka. Nie chciała patrzeć w stronę wózka.

— Czy to ta skrzynia? — usłyszała głos lensmana.

— Ta — odparła ochryple, kierując się do wyjścia.

Lensman był człowiekiem niewrażliwym. Zdecydowanie uniósł wieko, które skrzypnęło przeciągle.

— O, do diabła! — zawołał. A zaraz potem: — Nie, pani Simon. Może pani wrócić. Tu nie ma żadnej głowy.

— Ale... w nocy była.

— W pierwszej chwili też pomyślałem, że to głowa. To zrozumiałe, że pani się pomyliła. Było ciemno. Ale to nie jest głowa. To maska. Naprawdę paskudna, groteskowa maska.

Saga zatrzymała się niechętnie.

— Ale dlaczego... ?

— Dlaczego on ją tu trzyma? Nie wiem. Może...

— Może co?

Lensman podniósł oicropną maskę. Pod nią leżała jeszcze jedna. I pęk kolorowych jedwabnych strojów. Na koniec wyjął ze sknyni dużą zniszczoną kopertę. Włożył ją do kieszeni, a wózek wraz ze skrzynią kazał wyprowadzić na zewnątrz.

— Chodźmy! Nie mamy teraz na to czasu. Trzeba się przyjrzeć temu gagatkowi.

W drzwiach Saga odwróciła się i po raz ostatni obrzuciła spojrzeniem wnętrze obórki. Szukała węzełka, w którym Marcel niósł swoje rzeczy. Byłaby to jej jedyna pamiątka, chociaż to mogłaby przechowywać. Ale w obórce nie było żadnego węzełka. Nie było w ogóle żadnego śladu świadczącego, że Marcel kiedykolwiek istniał.

Kiedy wyszli na dwór, musiała pokazać, w którą stronę biegł uciekinier. Ów nożownik, którego lensman i jego ludzie szukali od wielu dni.

— Szczerze powiedziawszy, to ruch panuje dzisiaj w fińskich lasach, że ho, ho — mruknął policjant.

Żeby nie wspominać o nocy, pomyślała Saga. Żebyście wy tylko wiedzieli!

Na razie dali spokój uciekinierowi, trzeba się było najpierw zająć Paulem.

Pomocnik lensmana ciągnął wózek, na którym położono też kuferek Sagi. Szli przez ten sam las, w którym nocą przeżywała koszmary, ale teraz wszystko było odmienione. Las był piękny i widny, plamy słonecznego światła kładły się na zielonym mchu. Jakby także natura dała za wygraną i także ona rozluźniła uścisk, w którym trzymała Sagę od początku jej podróży. Ani nie było piekącego upału, ani mgły, deszczu ani wichury. Walka dobiegła końca.

Hrabia Paul von Lengenfeldt wciąż leżał tam, gdzie go zostawili. Saga przestraszyła się na moment, gdy stwierdziła, że leży też w tej samej pozycji. Ale mężczyźni, którzy go pilnowali, wyszli im na spotkanie i wyjaśnili:

— Śpi jak kamień, lensmanie. A tu jest worek panienki. Nie dotykaliśmy go.

— W porządku. Ale nie budźcie go jeszcze. Chcę najpierw w spokoju przejrzeć te papiery.

W tej samej chwili, pewnie na skutek ich rozmowy, Paul poruszył się, mruknął coś pod nosem, oblizał się, jakby mu zasehło w ustach, i przewrócił się na plecy. Ale spał spokojnie dalej.

— O, do licha! — zawołał lensman. — A to ci dopiero kawaler! No, pani Simon, muszę powiedzieć, że podróżuje pani w towarzystwie nie byle jakich mężczyzn! Tamten też był przecież, nie, proszę mi wybaczyć, nie będziemy o nim rozmawiać, nie chciałem pani urazić...

Saga skinęła głową bez słowa. Ludzie lensmana dostali polecenie zakucia Paula w kajdanki, a potem wszyscy usiedli z boku, czekając, aż lensman przejrzy papiery.

On zaś przekładał je tam i z powrotem, mruczał coś i gadał sam do siebie, wystawiając cierpliwość swoich ludzi na straszną próbę. Nareszcie westchnął głęboko i powiedział:

— Znaczy on się kazał tytułować hrabią Paulem von Lengenfeldt? No tak, jego prawdziwe nazwisko brzmi Pelle Larsson. Wygląda na to, że jest podrzędnym aktorem. Angażują go w teatrach ze względu na urodę i trzymają, dopóki krytyka nie rozniesie go na strzępy. Cóż, zawód wyjaśnia, skąd te maski i kostiumy. I pudełko szminek. Ale jest coś jeszcze, jakieś sądowe wezwania w sprawie drobnych przestępstw, przeważnie, jak widzę, wobec dam o wysokiej pozycji towarzyskiej.

— To możliwe, przechwalał się, że „bywał przy dworze” — bąknęła Saga.

— Pewnie raczej w alkowach dam dworu. I są też listy miłosne od kobiet, które chciałyby wiedzieć, dlaczego je zdradził. Jedna z nich domaga się stanowczo zwrotu konia, powozu i woźnicy... Jest też... tak, tutaj mam, angaż do jednego z teatrów Christianii.

— A, to tam jechał — powiedziała Saga. — Ten angaż to pewnie ostatnia deska ratunku. Możliwość ucieczki od wierzycieli i zdradzonych kobiet.

Opowiedziała o powozie i woźnicy czekającym w Varmlandii i lensman obiecał zająć się tą sprawą.

Woźnica, przypomniała sobie Saga. Woźnica, który powiedział: „To prawdziwy diabeł. To nie jest człowiek!” Miał na myśli Paula, czy też domyślał się, kim jest Marcel? Trudno to wyjaśnić. Ale ten wózek Paula powinien był dać Sadze do myślenia. Takich wózków używały wędrowne trupy teatralne. Wiele rzeczy powinna była rozumieć lepiej w czasie tej podróży.

Kiedy ludzie lensmana dość brutalnie zaczęli budzić śpiącego, Saga pomyślała złośliwie, że jej przodkowie zbyt wiele uwagi przywiązywali do powierzchowności człowieka, który miał ją ochraniać. Albo może chcieli wybrać kogoś, kto na pewno ją zainteresuje i tym samym odwróci jej uwagę od Lucyfera, pomoże go unikać? Tylko że ona sama unikać go nie chciała! Spotkanie z nim było najpiękniejszą przygodą jej życia. No tak, przodkowie dość szybko zaczęli żałować wyboru, powiedzieli jej przecież, że to człowiek nieodpowiedni.

Teraz należało jeszcze wyjaśnić sprawę cholery. Bez wahania przystąpiła do rzeczy i zapytała, czy lensman wie, że w Varmlandii wybuchła epidemia.

— A tak, słyszałem. — Lensman machnął ręką. — Ale to fałszywy alarm. Zwyczajna biegunka.

Saga głęboko wciągnęła powietrze. Z ulgą, ale też i z irytacją. Mogli byli sobie oszczędzić męczącej wędrówki przez pustkowia.

Być może jednak wtedy nie zdążyłaby poznać Marcela tak dokładnie?

Nieprawda! Przecież wybrał właśnie ją. Nie wymknęłaby mu się w żadnych okolicznościach.

I zresztą wcale tego nie pragnęła.

Dowiedziała się teraz, że są w pobliżu większej osady, z której wiedzie państwowa droga do Kongsvinger. I można tam wynająć podwodę, wyjaśniał lensman.

Posłał jednego ze swoich ludzi, by towarzyszył jej do osady i zaniósł kuferek, reszta tymczasem zajmie się tą śpiącą kanalią. Saga musiała mieć towarzystwo, był przecież jeszcze jeden przestępca, wciąż na wolności, i nieoczekiwanie mógł przeciąć jej drogę.

Podziękowała więc za wszystko i ruszyła dalej. W chwilę później zobaczyła dachy pierwszych zabudowań osady.

Tak oto Saga opuściła przepastne fińskie lasy. Ileż wspomnień, i niezwykle przyjemnych, i bolesnych zabierała ze sobą! Ileż ze swojej dawnej osobowości zostawiała tu na zawsze!

Nigdy już nie będzie taka jak przedtem!

ROZDZIAŁ X

Jak żyć, kiedy ktoś, kogo się pokochało bardziej niż samo życie, odszedł na zawsze?

Co robić, kiedy nieznośny ból rozsadza serce, kiedy dusza jest niczym pulsująca rana, wciąż na nowo rozdzierana przez wspomnienia i tęsknotę?

Co wtedy człowiekowi pozostaje?

Jaka nieprawdopodobna miłość! Cóż za zdumiewający kochanek!

Nie umarł, lecz dla niej jest tak samo niedostępny, jakby go śmierć zabrała. Żaden urodzony na Ziemi mężczyzna nigdy aie zajmie jego miejsca, to nie do pomyślenia. Nikt nie potrafiłby obejmować jej z taką czułością, z taką przeogromną miłością. Nikomu ona sama nie byłaby w stanie ofiarować takiego uczucia, bo to, co ją przepełniało, było ponad wszelkie ludzkie ograniczenia i ułomności.

W ciągu krótkich chwil ich jedynej nocy, kiedy leżeli przy sobie objęci, czuła, że odnaleźli się dzięki jakiemuś ponadnaturalnemu instynktowi, pochodzącemu od jej ukochanego, lecz także z niej samej, z krwi Ludzi Lodu.

Wszystko było wspaniałe, absolutnie wspaniałe.

Ale jak to się stało, że tak bez żadnych skrupułów i nieodwołalnie uległa tej pozaziemskiej istocie, temu... demonowi? To akurat nietrudno było zrozumieć. Od najwcześniejszego dzieciństwa fascynował ją Lucyfer, ów samotny, nieszczęśliwy, odtrącony anioł światłości, trawiony wieczną tęsknotą w ponurej otchłani. A kiedy spotkała Marcela, natychmiast poczuła dla niego sympatię, która po kilku dniach przerodziła się w miłość, i duchową, i fizyczną. Tylko że przez cały czas nie opuszczał jej lęk; odczuwała go po raz pierwszy w życiu. Intuicyjnie wyczuwała, że coś jest nie tak jak powinno. Coś nie znanego towarzyszyło im w wędrówce przez odludzie...

Ale gdy tylko Marcel ujawnił, kim jest naprawdę, napięcie ustąpiło. Od tej chwili była spokojna. I silna. I szczęśliwa... choć zarazem tak strasznie nieszczęśliwa, bo wiedziała, że będzie musiała go utracić.

I oto wszystko się skończyło, przeminęło.

Saga obudziła się wypoczęta w skromnym pokoju pocztowej gospody. Ocknęła się z bólem w sercu. Nigdy nie pozbędzie się tej dojmującej tęsknoty. I nigdy więcej nie zobaczy ukochanego.

Wiedziała, co powinna zrobić dzisiejszego dnia: jeszcze rano wyruszy pocztowym dyliżansem do Kongsvinger. W głębi duszy jednak pragnęła tylko spać, zapomnieć, przestać istnieć.

Zastanawiała się, co teraz porabia jej ukochany, co się z nim dzieje. Z tym, który czekał w samotności przez setki lat. Czy teraz uciszył tęsknotę, czy uzyskał spokój?

W głębi duszy wiedziała, że to niemożliwe. Powiedział jej to zresztą sam w czasie jednej z tych cudownych chwil czułej rozmowy. Wyznał wtedy, że teraz jego tęsknota będzie jeszcze straszniejsza. Bo już wie, za kim tęskni. A kiedy minie kolejne sto lat i będzie mógł ponownie wrócić na Ziemię, Sagi już od bardzo dawna tu nie będzie.

Okrutniejszej zemsty żaden obrażony bożek by nie wymyślił.

Pragnęła tylko śmierci. Co prawda nawet śmierć nie połączy jej z ukochanym, ale przynajmniej da zapomnienie i spokój.

W końcu jednak usiadła na łóżku, a po chwili wstała i zaczęła się przygotowywać do podróży. Nie miała prawa umierać. Jeszcze nie teraz. Miała jeszcze do spełnienia zadanie, a potem zobaczy.

Ubierając się, i później, jedząc śniadanie, bardzo już pożądane, rozmyślała nad tym, jak bardzo jest odmieniona.

Powodem wcale nie było to, że spała prawie całą dobę i czuła się teraz świeża i wypoczęta. Nie, miała w sobie siłę, która niechybnie musiała pochodzić od Lucyfera. Lęku nigdy nie odczuwała, z wyjątkiem pierwszych dni wędrówki przez lasy, teraz jednak zdawało jej się, iż sił i odwagi ma tyle, że mogłaby góry przenosić. I on o tym mówił, że chciałby obdarzyć ją siłą, która pomoże jej wypełnić zadanie. Tak więc teraz była nie tylko jedną z wybranych córek Ludzi Lodu, umiejącą tak jak wszyscy wybrani radzić sobie w najtrudniejszych sytuacjach; otrzymała dodatkową, ponadnaturalną moc. Władzę nad własnymi uczuciami, a przez to nad wszystkim, co się wokół niej działo. Mogła się tym posługiwać jedynie w służbie dobra, wiedziała o tym od początku.

Gdyby nie żal i tęsknota za ukochanym, czułaby się szczęśliwa i niepokonana.

Siedziała obok stangreta na koźle, bo dyliżans był przepełniony. Gdy jechali przez małą osadę, kierując się ku głównym traktom, Saga odwróciła głowę i patrzyła na wschód, ku wielkim borom. Głuchy organowy chorał wciąż brzmiał w koronach sosen, słyszała go nawet z tej odległości.

Czy to tamte wzgórza...?

Czy to tam mogło się stać? Ponad lasem wznosiło się pasmo nagich skał, a poniżej widziała zbocza i... Tak, to mogło być tam.

Jakby ostry nóż przebił jej serce. Ale wracać w tamte miejsca nie chciała. Cóż by tam robiła sama, kiedy jego zabrakło? Wszystko musi być teraz podwójnie wymarłe i puste.

Zastanawiała się też, co się stało z Paulem. Prawdopodobnie został odesłany z powrotem do Szwecji, by odpokutować za wszystkie swoje szachrajstwa i niegodne postępki. A co z uciekinierem? Z tym zbiegłym nożownikiem? Saga nie wiedziała, co się z nim stało, ale przecież nie mogła brać na siebie i tego zmartwienia. Powinna zapomnieć o wszystkim i koncentrować się na swoim zadaniu.

Z ciężkim westchnieniem odwróciła wzrok od tchnących smutkiem lasów.

W końcu lipca Saga przybyła do parafii Grastensholm. Rozglądała się wstrząśnięta.

Z wizyty, którą złożyła tutaj w dzieciństwie, zachowała wspomnienie spokojnej i bardzo pięknej okolicy. Już wtedy wznoszono wiele nowych domów o miejskim wyglądzie, przeważnie jednak królowały tu pola, łąki i wiejska zabudowa. Pamiętała też wielki dwór Grastensholm jako opuszczone, otoczone złą sławą zrujnowane domostwo, przypominała sobie Lipową Aleję, niewielki, lecz niezwykle przytulny dworek, stary, ale promieniujący domowym ciepłem, kochany przez wszystkich.

Teraz wszędzie napotykała gęstą zabudowę. Kościół widoczny z daleka dosłownie tonął pośród pięknych wilii z ogrodami. Drzewa na cmentarzu rozrosły się do ogromnych rozmiarów. Poza cmentatzem drzew widziało się niewiele, zostały wycięte, by zrobić miejsce dla nowych domów.

No i Grastensholm...

Upadająca ruina. Stary dom jeszcze stał, ale z powybijamymi oknami i zapadłym dachem przypominał raczej pustą skorupę. Budynki gospodarcze w jeszcze gorszym stanie. Okropny i przygnębiający obraz minionej świetności i ostatecznego upadku.

Z Lipową Aleją sprawy miały się niewiele lepiej. Teraz stawało się jasne, jak stare są i te zabudowania. Are dobudował nowe skrzgdło do domu wzniesionego przez ojca, ale działo się to ponad dwieście lat temu. Nie można wymagać, by wszystko wyglądało jak dawniej.

W miarę jak zbliżała się do Lipowej Alei, coraz wyraźniej dostrzegała upadek dworu. I zdawała sobie sprawę, że nie chodzi tu o zaniedbanie, bo pola były uprawione, zboża dojrzewały, na ogrodzonych pastwiskach widziała konie i krowy, ale wszystko tchnęło jakby obojętnością. Pola przeplatały się z łąkami, zboże miejscami rosło niskie i rzadkie, co świadczyło, że gleba jest wyjałowiona. Budynki gospodarcze wymagały reperacji, a pod płotami bujnie pleniły się pokrzywy.

Nawet stara czcigodna aleja, od której dwór brał nazwę, znajdowała się w upadku. Należało czym prędzej wyciąć chore drzewa i posadzić nowe.

A nad tym wszystkim górował budzący grozę, opuszczony i zrujnowany dwór Grastensholm. Saga widziała czarne ptaki kołujące nad zawaloną wieżyczką, kawki czy wrony, a może nawet kruki.

Dlaczego okna bez szyb sprawiają takie przygnębiające wrażenie? Natychmiast przychodzi człowiekowi do głowy określenie: zamek duchów. Tyle tylko że w tym przypadku takie określenie było jak najbardziej uprawnione. Już w czasach jej dzieciństwa Grastensholm zamieszkane było przez duchy, które sprowadziły się tam na długo przed jej urodzeniem. Heike i Vinga wywołali szary ludek w roku 1795. Sześćdziesiąt pięć lat temu...

Stanęła przed drzwiami domu w Lipowej Alei i zastukała. Po chwili otworzył jej dziesięcioletni chyba chłopiec.

— Henning? — uśmiechnęła się Saga.

— Tak...? — odparł niepewnie. Miał szczere, jasne spojrzenie, był duży i jakby trochę przysadzisty, ale robił niezwykle sympatyczne wrażenie. Szlachetna twarz, wysokie czoło pod płową grzywką, oczy osadzone dość daleko od siebie i duże, wrażliwe usta.

— Jestem Saga. Twoja kuzynka ze Szwecji.

— Oj! — zawołał i zaczerwienił się aż po korzonki włosów. — Mamo! To Saga! Już przyjechała!

— O mój Boże! — doleciało z głębi domu i rozległy się pospieszne kroki.

Najwyraźniej Saga przyjechała za wcześnie. Ale Belinda obejmowała ją z radosnym uśmiechem.

— Witaj! Witaj u nas — powtarzała. — Ileż to czasu cię nie widzieliśmy. Kiedy byłaś tu ostatnio, miałaś... poczekaj... No tak, dwanaście albo trzynaście lat. A teraz jesteś już dorosła! Chodź, chodź!

Jakże się ta Belinda zestarzała! Nie może mieć wiele ponad trzydzieści lat, myślała Saga, ale ma na twarzy wypisane zmartwienia i zmęczenie ciężką pracą. Ręce zniszczone, wyrobione mięśnie, poza tym Belinda była po prostu chuda i miała głębokie cienie pod oczami.

Weszli do saloniku, który także świadczył, iż gospodyni podejmuje desperackie, ale daremne próby zachowania pewnego stylu. Pokój robił dość przygnębiające wrażenie. Wszystko wskazywało na to, że służby w domu nie mają żadnej.

Saga została posadzona na sofie przy nakrytym serwetą stole, a Henning otrzymał szeptem jakieś polecenia i wyszedł do kuchni.

— Gdzie Viljar? — zapytała Saga.

Belinda zaczęła nerwowo poprawiać włosy.

— On... Nie czuje się dzisiaj zbyt dobrze — wyjaśniała pospiesznie.

— Mam nadzieję, że nie jest chory? To znaczy poważnie. Chciałam powiedzieć... przewlekle...

— Nie, nie. Nic poważnego.

Henning wrócił z tacą ciasteczek i trzema filiżankami.

— My... Nie spodziewaliśmy się ciebie tak zaraz — uśmiechnęła się Belinda skrępowana. — List przyszedł dopiero parę dni temu. Musiał bardzo długo iść. Gdybyśmy wiedzieli, to...

W tym momencie do pokoju wkroczył Viljar. Belinda zamarła, nie wiedząc, co robić.

Saga była wstrząśnięta jego widokiem. Czy to ten młody, przystojny Viljar, którego pamiętała z dzieciństwa? Wprawdzie miał teraz około czterdziestu lat, ale zmienił się okropnie. Worki pod oczami, kilkudniowy zarost, włosy w nieładzie, a cała twarz obrzmiała, świadcząca o...

— Viljar? Czy ty pijesz? — zapytała Saga zamiast powitania. Słowa wyrwały się jej mimo woli, zanim zdążyła pomyśleć.

Belinda i Henning stali sztywni z przerażenia.

Viljar drgnął gwałtownie. Starał się spojrzeć Sadze w oczy.

— Saga? Czy to Saga?

— Tak. Wybacz mi, nie miałam zamiaru cię atakować, ale taki jesteś odmieniony.

— Naprawdę? — spytał, patrząc sobie pod nogi. Chwycił oparcie krzesła i chciał usiąść, ale najpierw odwrócił się w stronę żony.

— Belinda, nie masz czasem...?

— Piwa? Mam.

Zerwała się, żeby pobiec do kuchni, ale Saga ją powstrzymała.

— Muszę z wami porozmawiać poważnie. Viljarowi bardziej by się przydała filiżanka mocnej kawy.

Kuzyn popatrzył na nią spod oka, ale nie zaprotestował. Wyszedł natomiast do hallu, gdzie się uczesał, a potem w kuchni obmył twarz w zimnej wodzie. Przesunął ręką po policzku, jakby zamierzał się ogolić, ale uznał, że należy zaczekać na dogodniejszą chwilę.

Nie czuł się najlepiej, siedząc przy stole nad filiżanką czarnej jak węgiel kawy. Gdy spojrzał na podsuwane przez Belindę ciasteczka, wstrząsnął się z obrzydzenia.

— Pisałaś, Sago, że otrzymałaś wezwanie — zaczęła Belinda onieśmielona. — Mogłabyś nam powiedzieć coś więcej?

— Nie. Wciąż wiem niewiele więcej niż wy. Po prostu dostałam wiadomość od naszych przodków — we śnie — że powinnam przyjechać do Grastensholm. Że wy mnie potrzebujecie.

— O Boże drogi — bąknął Viljar.

Saga zwróciła się ku niemu.

— Czy to nieprawda?

Viljar zaśmiał się ponuro.

— W jaki sposób mogłabyś nam pomóc? Jak sobie poradzisz z tym piekłem?

— Pamiętaj, Viljarze, że jestem jedną z wybranych — rzekła spokojnie.

Spojrzał na nią z uwagą. W jego wzroku dostrzegała wstyd, że pokazał jej się w takim stanie.

— Tak, wierzę, że jesteś wybrana. Teraz, kiedy cię widzę, nie mam najmniejszych wątpliwości. Nie tylko z powodu twojej niewiarygodnej, egzotycznej urody. W twoich oczach płonie jakiś dziwny żar. Jakby mieszanina nieziemskiego szczęścia i... rozpaczy?

— Tak to pewnie jest — potwierdziła Saga. — Chociaż to chyba nie ma zbyt wiele wspólnego z moimi specjalnymi zdolnościami. W drodze do was miałam niezwykłe przeżycia...

Belinda pojmowała słowa Sagi z kobiecą intuicją:

— Pisałaś nam w liście, że zerwałaś swoje małżeństwo. To chyba wymagało siły i odwagi, prawda? Czy spotkałaś... kogoś nowego? Podczas podróży?

— Tak — uśmiechnęła się Saga ze smutkiem. — Spotkałam miłość swego życia, mogę tak powiedzieć bez obawy, że przesadzam. I... utraciłam go.

— Umarł?

— Tak — potwierdziła po chwili wahania.

— Och, jakie to smutne! Ale Viljar ma rację. To widać. W twoich oczach.

Henning upuścił łyżeczkę, która uderzyła głośno o talerzyk, i Viljar podskoczył z grymasem na twarzy.

Saga zapytała poważnie:

— Od jak dawna to trwa, Viljarze?

— Co takiego? — Głos miał zachrypnięty.

— Picie.

— Ale ja wcale tak dużo nie piję — usprawiedliwiał się gorączkowo. — Wczoraj wieczorem wypiłem szklaneczkę, ponieważ... — Przerwał i skulił się na krześle. Głowę wtulił w ramiona. — To dziwne — powiedział cicho. — Belinda suszy mi od dawna głowę, że za dużo piję, ale ja byłem zawsze pewien, że w pełni kontroluję, ile i kiedy wypijam. A oto przychodzi ktoś z zewnątrz i pierwsze słowa, jakie rzuca mi w twarz, brzmią: „Ty pijesz, Viljarze!” Właśnie wtedy zrozumiałem, jak źle jest ze mną.

Siedzieli w milczeniu.

Po chwili Viljar wrzasnął:

— Ale jak, do diabła, przeżyłbym to wszystko, gdybym nie pił?

— Musisz mi opowiedzieć, jak to jest — rzekła Saga spokojnie. — Odnoszę wrażenie, że masz niezwykle lojalną rodzinę.

— Owszem, mam — potwierdził drżącym głosem. — Kocham ich oboje. I, jak widzisz, krzywdzę ich tak strasznie!

— Nigdy na żadne z nas nie podniosłeś ręki — wtrąciła Belinda cicho, jakby chciała go usprawiedliwiać.

— Nie, bo gdybym coś takiego zrobił, to by już dla mnie nie było życia! — krzyknął Viljar gwałtownie. — Ale czy nie wystarczy tego, co z wami wyprawiam? Każę wam pracować ponad siły, podczas gdy ja sam uciekam w świat iluzji!

— Usprawiedliwienia i żale mogą zaczekać — stwierdziła Saga trzeźwo. — A teraz do rzeczy!

Viljar głęboko wciągnął powietrze.

— To bardzo długa historia.

— Zacznij od najważniejszego.

— Najważniejsze — powiedział z goryczą. — Najważniejsze jest to gniazdo zarazy, które nazywa się Grastensholm.

— Owszem, widziałam dwór. Wygląda dość... strasznie.

— Och, ty nie wiesz, nic nie wiesz.

— Nikt tam nie wchodzi — wyjaśniła Belinda spokojnie. — Ludzie tam mrą. Jakiś włóczęga zmarł przed bramą. Z wytrzeszczonymi oczyma, wpatrzonymi w coś okropnego. Pewien człowiek z gminy wszedł kiedyś do dworu i nigdy stamtąd nie wyszedł.

— Gmina chciałaby przejąć dwór — rzekł Viljar zmęczonym głosem. — W takim stanie jak teraz majątek nie jest nic wart. Chcieli zburzyć albo spalić dom i wybudować tam co innego. Nikt jednak nie jest w stanie wejść do żadnego z zabudowań. Sprowadziliśmy nawet takich, co potrafią wywoływać duchy, ale nie doszli dalej niż do bramy, bo podmuch wichury powalił ich na ziemię i potłukli się dotkliwie. To samo stało się z księdzem.

— A ty tam byłeś?

— Owszem, byłem! I gdybym chciał ci opowiedzieć o wszystkim, co mnie spotkało za bramą, i tak byś mi nie uwierzyła. One są śmiertelnie niebezpieczne, Sago.

— Masz na myśli szary ludek?

— Tak. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że nasz mały Henning widział kiedyś dwoje z nich, jak stali i rozglądali się tutaj przed domem! W Lipowej Alei!

— Uff! — westchnęła Saga.

— To przez nich nie radzimy sobie z gospodarstwem i mamy okropne kłopoty — dodał Viljar. — Sama widziałaś, jak wygląda nasze gospodarstwo. Nie możemy korzystać z ziemi należącej do Grastensholm, ale nie możemy jej też sprzedać. A ja, jak widzisz, bliski jestem załamania.

Saga zwróciła się do Belindy:

— Ale przecież w Elistrand mieszka twoja rodzina!

— Oni już dawno wrócili do miasta, a na mnie machnęli ręką. Teraz, kiedy wszyscy skarżą się na Grastensholm i moja pozycja w parafii jest marna, nie chcą mieć z nami do czynienia.

— Nie można, niestety, po prostu zburzyć Grastensholm! — westchnęła Saga. — Nie można spalić zabudowań, dopóki nie odzyśkamy tego, co zostało ukryte na strychu, tego, co... — Głos jej zamarł. — Tego, co takie jest potrzebne Ludziom Lodu — dokończyła szeptem.

Napotkała wzrok Viljara. Kuzyn przypomniał, jak się sprawy naprawdę mają:

— A tego nie odzyskamy, dopóki nie narodzi się taki, który będzie miał dość sił.

Saga głośno myślała:

— Pewnie tak to miało być, że Ludzie Lodu będą czekać, dopóki ten wybrany nie nadejdzie. Ten, który będzie w stanie podjąć walkę z Tengelem Złym. Ale teraz...

Viljar ponownie dokończył rozpoczęte przez kuzynkę zdanie:

— Teraz cały dom razem ze strychem i tym czymś tajemniczym, co się tam kryje, znalazł się w niebezpieczeństwie, którego nasi przodkowie z pewnością nie przewidzieli. Wszystko jest w wielkim niebezpieczeństwie z powodu szarego ludku.

Saga zrobiła się jeszcze bardziej poważna.

— Najwyższy czas, by zabrać to coś ze strychu. Dopóki nie będzie stracone na zawsze.

— Na to jednak potrzeba kogoś wybranego... i obdarzonego wielką mocą.

Zaległa cisza.

— Tak — potwierdziła w końcu Saga. — Tak to wygląda.

Po chwili znowu odezwał się Viljar:

— Nie boisz się, Sago?

Saga ocknęła się z zamyślenia i spojrzała na niego czystymi, nieskończenie pięknymi oczyma.

— Nie, nie boję się. Nie przywykłam do odczuwania lęku, ale wiem, jak to jest, kiedy człowiek się boi. Całkiem niedawno miałam okazję się o tym przekonać. — Zamyśliła się znowu na chwilę. — Nie, nie boję się szarego ludku, ani trochę.

— Ty ich po prostu nie znasz — wtrącił Viljar cicho.

Kiedy Saga położyła się w, swoim łóżku w małym pokoiku na piętrze, o ścianach pokrytych tapetami w drobne kwiatki, ogarnął ją spokój.

Teraz oto była „w domu”. W Lipowej Alei, pierwszej siedzibie Ludzi Lodu na południu Norwegii. Grastensholm odziedziczyli dopiero później po Meidenach. Lipowa Aleja natomiast była darem rodziny Meidenów dla Tengela i Silje.

Pierwszym domem była Lipowa Aleja.

Lodowej Doliny nie można liczyć. Lodowa Dolina to był koszmar.

Viljar i Belinda zaprosili ją, by teraz, kiedy zerwała ze Szwecją, zamieszkała u nich, najlepiej na zawsze. Podziękowała wzruszona, ale odparła, że czas pokaże, jak się jej życie ułoży. Najpierw musi wykonać to, co zostało na nią nałożone.

To oczywiste, że nie odczuwała lęku na myśl o czekającym ją zadaniu. Czy też o zadaniach, bo w rzeczywistości miały to być dwie sprawy, choć jadąc tu nie spodziewała się tego. Najpierw trzeba przegonić szary ludek, a następnie odnaleźć na strychu ów nieznany skarb, zanim dwór się zawali albo władze gminne skonfiskują czy spalą ruiny.

Uśmiechała się sarkastycznie. Szaremu paskudztwu nic się nie stanie, gdyby dwór spalić; duchom nigdy takie sprawy nie szkodziły, rozpełzają się wtedy wśród ruin albo w okolicy. Saga przypominała sobie historię, którą opowiadała jej matka, Anna Maria. O starym zamku w Anglii. W zamku tym od dawna mieszkał duch, ale miał on pewną osobliwą cechę. Otóż nie posiadał stóp. Biegał po wielkiej sali rycerskiej na kikutach, obciętych tuż pod kolanami.

Niezwykła zagadka została rozwiązana przypadkiem, kiedy postanowiono zerwać starą podłogę i położyć nową. Odkryto wówczas, że pod spodem istnieje już jedna podłoga. Sprawa polegała na tym, że duch chodził sobie po tej niższej podłodze. Po „swojej” podłodze z czasów, kiedy on sam żył na ziemi.

W końcu Saga zasnęła.

Nie spodziewała się jednak snów. W każdym razie nie takich, które miałyby znaczenie...

Wicher gwizdał w rozpadlinie. Z daleka, z drugiego brzegu, wzywali ją przodkowie Ludzi Lodu. Wiatr niósł do niej ich głosy, zniekształcone, ale zrozumiałe:

— Sago, Sago, czy nas słyszysz?

Kiwała głową na znak, że owszem, słyszy.

Z trudem jednak pojmowała, co do niej mówią. Musiała pytać wiele razy, miała wrażenie, że traci głos, bo wiatr zwiewał jej słowa w inną stronę.

W końcu jednak usłyszała:

— Spiesz się, Sago, spiesz się! Zostało ci już bardzo mało czasu. Musisz wejść na strych. Szybko, jak najszybciej! Dopóki nie jest za późno!

— Dlaczego? — zawołała.

Głosy tamtych jednak rozpływały się w powietrzu, coraz dalej i dalej, aż w końcu całkiem ucichły. Saga była sama i nie rozumiała niczego.

Wiedziała tylko, że powinna zrobić to, o co ją proszono. Powinna jak najprędzej wejść na strych. Najpierw jednak musi pomóc małej rodzinie z Lipowej Alei w rozwiązaniu dręczących ją problemów. Obiecała im to. W przeciwnym razie mogą utracić także Lipową Aleję. A do tego nie wolno dopuścić!

ROZDZIAŁ XI

Zdawało się, że przyjazd Sagi wyrwał Viljara z apatii i odrętwienia. Raz po raz obejmował żonę i syna, by pokazać im, jak bardzo ich kocha, jak bardzo żałuje dotychczasowego zachowania i prosi ich o wybaczenie. Wyrażał im także w ten sposób wdzięczność za to, że tak długo z nim wytrzymywali.

Choroba nie opanowała jeszcze Viljara do tego stopnia, by nie był w stanie dać sobie rady z powracającą niemal w równych odstępach czasu gwałtowną potrzebą napicia się alkoholu. Dla pewności jednak Saga starannie przejrzała skarb Ludzi Lodu, teraz znowu połączony w całość, bo większa część środków zawsze była przechowywana w Lipowej Alei. Znalazła obrzydliwy cierpki korzeń i zmusiła kuzyna, by go zjadł. Skutek był taki, że kiedy Viljar sięgał z przyzwyczajenia po coś mocniejszego, dostawał gwałtownych wymiotów. Lekarstwo bardzo mu się przydało.

Viljar wprost nie wiedział, co jeszcze zrobić, by wynagrodzić cierpienia żonie i synowi. Chciał za jednym zamachem nadrobić wszystko, co w ostatnim okresie zaniedbał. Saga bowiem zaproponowała mu pożyczkę na najpilniejsze remonty, by uchronić Lipową Aleję od upadku. Już następnego dnia po przybyciu Sagi wszyscy czworo pojechali do Christianii i załatwili sprawę pożyczki. W drodze powrotnej byli w znakomitych humorach. Śmiali się i żartowali, nie wiedzieli, jak dziękować Sadze. Viljar głośno i uroczyście obiecywał, że spłaci wszystko co do grosza, najszybciej jak to możliwe. Ona zaś potrząsała głową i zapewniała, że nie ma pośpiechu, Viljar może obracać tymi pieniędzmi, jak długo będzie to konieczne.

W pewnym momencie Viljar spoważniał i oświadczył zgnębiony:

— Tak okropnie się wstydzę. Pożyczka to tylko ostatnia kropla. Dużo gorsze jest to, co przedtem zrobiłem. A raczej to, czego nie zrobiłem.

— Nie musisz się niczego wstydzić — powiedziała Belinda łagodnie; i ona, i jej syn mieli takie same po dziecinnemu ufne spojrzenia. — Henning i ja rozumieliśmy cię bardzo dobrze, powinieneś o tym wiedzieć. I zawsze bardzo nam było przykro z twojego powodu. Tak strasznie chcieliśmy ci pomóc.

Viljar skulił się z bólu. Saga myślała o jego dzieciństwie i młodości. O tym, że zawsze wszystkie problemy i trudne sprawy przeżywał w samotności, zamykał w sobie, nie umiał się nikomu zwierzyć. Nie powiedział nikomu o duchu Marty, który przychodził do niego wieczorami, nikomu nie zwierzył się, źe uczestniczy w walce o prawa najbiedniejszych w społeczeństwie...

Teraz też zachowywał się tak samo. Tym razem jednak sprawy były dużo poważniejsze. Nie potrafił podzielić się swymi kłopotami z najbliższymi, chciał im tego oszczędzić, a kiedy sytuacja go przerosła, znalazł jak najgorsze wyjście: szukał zapomnienia w alkoholu.

W gruncie rzeczy jednak Viljar nie był słabeuszem. Był po prostu człowiekiem zamkniętym, przeżywającym wszystko w samotności, a przy tym obowiązkowym, gotowym całą odpowiedzialność brać na siebie.

Saga powiedziała w zamyśleniu:

— Ja też cię rozumiem. Byłeś tutaj jedynym potomkiem Ludzi Lodu. Tak, teraz masz jeszcze Henninga, ale to ty powinieneś przekazać mu spadek. Grastensholm. Byliście z Belindą całkiem sami, nikt nie mógł wam pomóc ani doradzić, nie widziałeś wyjścia z tego nieszczęścia. Nie mogłeś sprzedać Lipowej Alei i wyjechać stąd, żebyś nie wiem jak chciał, bo wciąż spoczywała na tobie odpowiedzialność za Grastensholm. Na dodatek wszyscy w parafii na tobie skupiali nienawiść i gniew... Naprawdę, rozumiem dobrze i ciebie, i Belindę.

— Zjawiłaś się tu jak Anioł Stróż, Sago — szepnęła Belinda.

Na dźwięk słowa „anioł” Saga drgnęła i wyraz nieopisanego bólu pojawił się na jej twarzy. W ciągu ostatnich dni starała się jak najmniej myśleć o Lucyferze, bo rozpacz nie pozwalała jej się skupiać na sprawach Ludzi Lodu, nie umiała jednak do końca panować nad swoimi myślami. Wspomnienie o ukochanym tkwilo głęboko w jej duszy, dawało o sobie znać stale, w dzień i w nocy. Niekiedy było źródłem nieprawdopodobnego szczęścia, że go poznała i pokochała, dodawało jej sił, przeważnie jednak wspomnienia przynosiły dojmujący ból. Musiała przyjąć do wiadomości, że nigdy więcej nie zobaczy Marcela, nigdy nie usłyszy jego głosu, nie zazna jego bliskości.

W takich momentach czuła się całkowicie pusta w środku i tak zobojętniała na wszystko, że gotowa była machnąć ręką na wyznaczone jej zadanie i zostawić Grastensholm własnemu losowi.

— Kiedy zmierzymy się z nieproszonymi gośćmi? — zapytała.

Viljar bez trudu zrozumiał, co Saga ma na myśli.

— Jak tylko będziesz gotowa — odparł.

— Oczywiście. Chciałabym tylko przejrzeć dokładnie cały skarb Ludzi Lodu, żeby zobaczyć, czy nie ma tam czegoś, co mogłoby mi się przydać. To znaczy, chciałam powiedzieć, że Heike, kiedy sprowadzał szary ludek, posługiwał się skarbem. Więc i ja powinnam mieć coś, co przyspieszy powrót tamtych do świata cieni. Tak mi się wydaje.

W ogóle wiem tak mało o zawaności skarbu, myślała zmartwiona. Trzeba się kierować intuicją. Jeśli jednak jest tak, jak Viljar mówi, to upiory rozprawią się ze mną, gdy tylko odkryją we mnie najmniejszą słabość.

Przyjemne widoki, nie ma co!

Cały następny dzień przeznaczyła na przygotowania.

Choć bardzo starannie przeglądała skarb i choć niezwykle uważnie czytała prastare zapiski, nie znała niczego, co mogłoby jej pomóc w tym przypadku. Nie posiadała, jak Heike, zdolności przywoływania duchów przodków, by zasięgnąć u nich rady, zresztą one nie byłyby w stanie nawiązać z nią kontaktu.

Coraz bardziej przekonywała się, że jest wobec tego zadania sama jak palec. Tak jak Shira przed górską ścianą, która miała otworzyć jej drogę przez budzące trwogę groty. Teraz przyszła kolej na Sagę. Jej zadanie polegało na czym innym, ale i ona musiała je wykonać samotnie.

Pojęcia nie miała, co się z nią stanie, ale na wszelki wypadek przygotowywała się do bardzo trudnej walki. Cała trójka z rodziny Viljara była zgnębiona, wszyscy bardzo chcieli pomagać, ale cóż mogli zrobić? Viljar wielokrotnie próbował wejść do Grastensholm, lecz bez powodzenia. Szare stwory panoszyły się tam niepodzielnie.

Saga nie chciała podejmować walki w czwartek ani w niedzielę. To nie były dobre dni, żeby stawać twarzą w twarz wobec ponurych mocy z tamtego świata. Musiała więc odczekać jeszcze jeden dzień.

W końcu wszystko było gotowe.

Młoda kobieta wyspała się, a rano zjadła solidne śniadanie. Na razie nie mogła zrobić nic więcej.

Viljar odprowadził ją drogą na skróty przez łąki. Zatrzymał się przed bramą. Życzył Sadze powodzenia i zapewnił, że będzie tu czekał aż do jej powrotu.

— Nie możesz tego robić — zaprotestowała. — Po pierwsze, nie wiemy, ile czasu mi to może zabrać. Po drugie, jeśli zbyt długo nie będę wracała, możesz nie wytrzymać i będziesz próbował także wejść do dworu, a tego ci nie wolno!

— A jeżeli w ogóle nie wyjdziesz?

Saga popatrzyła na zamek duchów.

— Daj mi cztery dni!

— Cztery dni? Czy ty rozum postradałaś? Ja myślałem, że to chodzi o godziny!

— Uważam, że cztery dni to ostateczna granica. Tyle wytrzymam bez jedzenia. Jeśli do tego czasu nie wrócę, możesz uważać, że mi się nie udało. Ale, oczywiście, ja też mam nadzieję, że wystarczy mi parę godzin. Szczerze mówiąc, najbardziej bym chciała, żeby to były minuty — dodała ze smutnym uśmiechem.

Viljar patrzył na nią zmartwiony.

— Widzę, że wcale się nie boisz! Och, ty nie wiesz, na co je stać!

— Słyszałam, że nieumiejętność odczuwania strachu to też słabość. Dla mnie to jednak przyjemność, jeśli nie muszę przeżywać dodatkowego napięcia. Viljar, mnie się to musi udać! W przeciwnym razie będzie źle z wami, z twoją rodziną. Zresztą źle będzie z całym rodem Ludzi Lodu!

— Wiem. Poczekam tu przynajmniej, dopóki nie wejdziesz do domu. Jeśli w ogóle uda ci się tam wejść! Większość prób kończyła się zaraz za bramą.

Saga skinęła głową.

Dzień był jasny, wprawdzie bez słońca, ale przesycony białym światłem. Ponownie spojrzała w stronę domu i ogarnął ją bezbrzeżny smutek. Kiedyś Grastensholm było dumą parafii. Meidenowie i Ludzie Lodu wiedli tutaj piękne i na ogół szczęśliwe życie. Liv pielęgnowała swój różany ogród, po którym teraz nie zostało nawet śladu. Dag zapraszał swoich kolegów asesorów na wspaniałe przyjęcia. Tutaj Mattias prowadził lekarską praktykę. Tutaj przyszedł Heike, samotny olbrzym, i tutaj zamieszkał ze swoją Vingą po „odbiciu” dworu Snivelowi.

A potem wszystko potoczyło się nie tak jak trzeba. Heike, żeby odzyskać Grastensholm wraz z ukrytą na strychu tajemnicą, musiał sprowadzić szary ludek, co stało się przyczyną nieszczęścia.

Saga po raz ostatni zwróciła się do Viljara:

— Istnieje pewna możliwość — powiedziała. — To znaczy może się zdarzyć, że stamtąd nie wyjdę. Ale to nie musi oznaczać, że mi się nie udało. Gdyby mnie nie było dłużej niż cztery doby, powinieneś zbadać, jak się sprawy mają. Jeśli zdołasz wejść do dworu, jeżeli ci się uda, to znaczy, że dom został uwolniony od upiorów. W takim razie jednak proszę cię, żehyś wziął na siebie opiekę nad skarbem i żebyś mnie pochował na cmentarzu w Grastensholm.

Viljar nie był w stanie odpowiedzieć. Uścisnął ją tylko pospiesznie.

Wyglądał teraz dużo lepiej. Starannie ogolony, włosy umyte, przystojny, zadbany. Wciąż miał worki pod oczami i twarz wyraźnie obrzmiałą, ale to powinno z czasem minąć. Viljar dochodził do siebie.

Saga nie może więc ponieść porażki i zniszczyć tego, co się zaczęło tak dobrze układać.

Z bliska dwór w Grastensholm naprawdę budził grozę. Nawet brama i ogrodzenie były zniszczone. Szare, odrapane, zbutwiałe, poprzewracane.

A dom...

Boże, dopomóż mi, modliła się w duchu.

Z wieżyczki na dachu zostały tylko ruiny, w których kawki wiły gniazda. Na tej wieżyczce Liv i Dag bawili się w dzieciństwie, stąd oglądali okolicę. W domu nie było ani jednego całego okna. Spoza powybijanych szyb mignął czasem jakiś strzęp firanki. Ściany wyglądały tak samo jak płoty, równie odrapane i szare. Dekoracji nad bramą prawie nie było widać.

— Dano wam sześćdziesiąt pięć lat — syknęła Saga przez zęby. — Ale teraz koniec!

Wiedziała jednak, że już nikt nigdy nie odbuduje szacownego Grastensholm. Nie miała pojęcia, jaki los czeka dwór, jeśli uda jej się wypełnić zadanie, ale żaden z budynków, które jeszcze stały, nie nadawał się do remontu.

Pomachała na pożegnanie Viljarowi, który znalazł sobie miejsce do siedzenia na starej rampie, gdzie dawniej wystawiano bańki z mlekiem, i przekroczyła bramę.

W tej samej chwili usłyszała coś jakby westchnie, podniecone, zdenerwowane, dobywające się z wielu gardeł.

Saga wzięła ze skarbu Ludzi Lodu tylko jedną jedyną rzecz, która mogła ją chronić. Ale też amulet należał do najznakomitszych: alrauna.

Saga uznała w końcu, że i ona ma jakieś prawo do magicznego korzenia. Dawniej w jej świadomości alrauna była do tego stopnia złączona z Heikem, że nawet myślenie o niej uważała za świętokradztwo. Po przeżyciach w fińskich lasach zmieniła poglądy. Tego ranka z największym szacunkiem wyjęła amulet ze szkatułki. A kiedy zawiesiła go na szyi, nie odniosła wrażenia, że jest ciężki czy martwy. Ale też nie ułożył się spokojnie na jej piersi, jakby nie tam było jego miejsce.

Alrauna czuwała.

W każdym razie Saga tak sobie to tłumaczyła.

Powinnam była tu przyjść jesienią, myślała Saga patrząc na stary, na wpół zrujnowany dom. Na smutnym opuszczonym dziedzińcu i w ogrodzie powinny szeleścić unoszone wiatrem piękne, złotobrunatne liście, także natura powinna świadczyć o upadku, o nadchodzącej śmierci. Kawki powinny z krzykiem latać nad zawaloną wieżą, zmagać się z jesiennym wichrem, strzępy firanek szarpane wiatrem powiewać nad ślepymi oknami. Drzwi powinny raz po raz trzaskać głucho i odbijać się ponurym echem po pustym domu.

Ale na świecie panowało lato. Gorące, radosne lato.

Może właśnie kontrast pomiędzy tym opuszczonym domostwem a pogodną naturą budził takie ponure skojarzenia.

Zatrzymała się na dziedzińeu zaraz za bramą. Nasłuchiwała, wczuwała się w atmosferę tego miejsca.

Odnosiła wrażenie, że dwór zamarł ze zdumienia.

Dlaczego?

Domyślała się zdziwienia Viljara. Spodziewał się zapewne, że władcy dworu natychmiast z wielkim gniewem wyrzucą ją za bramę, tak jak wielu przed nią, którzy próbowali się tam dostać.

Viljar siedział teraz przed ogrodzeniem i patrzył na Sagę, która zatrzymała się za bramą, szczupła i bezbronna. Widok był tak przejmujący, że Viljar poczuł przemożne pragnienie napicia się alkoholu. Wydawało mu się, że tylko w ten sposób zdoła ukoić ból.

Wyprostował się. To prawda, że w ostatnich latach szukał schronienia w świecie iluzji, bo kłopoty go przerastały. Ale teraz nic wolno mu powtarzać błędu. Za żadne skarby.

Wiedział jednak, że gdyby miał chociaż kieliszeczek czegoś mocniejszego, łatwiej byłoby mu czekać. Chwycił się mocno pełnej drzazg spróchniałej rampy, by nie wstać i nie wyruszyć na poszukiwanie wódki.

Strych... Powinna wejść na strych.

Saga przyglądała się ścianom dworu. Wydawało się najzupełniej prawdopodobne, że wewnętrzne schody się zawaliły i dostanie się na strych będzie po prostu niemożliwe. Ale chyba nie, przecież minęło dopiero dwanaście lat, w tak krótkim czasie drewno nie zdążyłoby zbutwieć. Nie, na pewno schody stoją.

Ale strych? Strych od początku stanowił siedzibę szarego ludku, nikomu nie wolno było tam wchodzić. Tula kiedyś próbowała i uszła z życiem wyłącznie dzięki pomocy demonów. Wszyscy inni zostali dosłownie rozszarpani na strzępy.

I teraz Saga musiała wejść właśnie tam. Zdjęła alraunę z szyi i trzymała ją w ręce.

Dom i w ogóle cały dwór trwały w ciszy. Saga wciąż stała przed bramą, czekała na atak, ale nic się nie działo.

Lęk? Czy to lęk czaił się wokół niej w tych chwilach wyczekiwania? A może to jej własny niepokój sprawiał, że w otoczeniu także wyczuwała napięcie?

Nie, Saga nie bała się ani trochę. Była po prostu niepewna, nie wiedziała, jak dostać się do środka. Nie otrzymała przecież znikąd żadnych instrukcji.

Może wystarczy, jeśli całkiem zwyczajnie wejdzie do domu, potem na strych, i bez kłopotu znajdzie to, co tam zostało ukryte? Należy przecież do wybranych.

Ale co się w takim razie stanie z szarymi? Do jej zadań należy przecież ich unieszkodliwienie, oczyszczenie Grastensholm.

W każdym razie nie może w nieskończoność stać przed tą bramą.

Spokojnie ruszyła zarośniętą ścieżką przez dziedziniec w kierunku domu.

Na razie pozwolono jej poruszać się bez przeszkód, dopóki nie doszła do drzwi wejściowych. Tam napotkała niewidzialny mur. Jakiś dziwny, miękki mur, jak gdyby pozbawiony woli, stawiający opór z wahaniem, stanowił wprawdzie zaporę, ale chyba można ją było pokonać.

Saga zatrzymała się i podniosła rękę, wnętrzem dłoni skierowaną ku drzwiom.

— Słyszycie mnie, strażnicy dworu? Ja wiem, kim jesteście, znam was wszystkich. Heike przekazał nam dokładne opisy. Jeśli nie liczyć drobiazgu pełzającego po ziemi, od którego wszędzie aż się roi, w całym dworze było dwadzieścia sześć różnego rodzaju istot. Marta została pochowana na cmentarzu, a cztery demony opuścily to miejsce. A zatem zostało dwadzieścia jeden mar i upiorów. Zwracam się teraz do was wszystkich, byście dobrowolnie wrócili do świata cieni. Grastensholm już do was nie należy!

Czekała. Viljar był teraz tak daleko od niej, że choć z pewnością słyszał jey głos, to nie mógł mieć żadnego wpływu na bieg wydarzeń. Saga była sama i samotnie musiała podjąć próbę pokonania szarego ludku.

Niewidzialny mur napierał. Ostrożnie, ale stanowczo.

Chociaż wciąż można było mieć nadzieję, że trochę ustąpi.

— Ciekawi was pewnie, kim jestem! — zawołała. — Jes-tem Saga z Ludzi Lodu, zostalam wybrana właśnie dla tego. Życzę sobie, żebym mogła swobodnie wejść na strych. Ale nie na tym koniec. Nie chcę więcej widzieć żadnego z was w Grastensholm! Wasz czas tutaj dobiegł końca już dawno temu! Ci, którzy pragnęliby, podobnie jak Marta, spocząć w poświęconej ziemi, mogą bez obaw przyjść do mnie, ja im pomogę. Pozostali wrócą natychmiast na tamten świat i nigdy więcej nie pokażą się w Grastensholm!

Gdzieś niedaleko niej rozległy się złowieszcze chichoty.

Ja ich nie widzę, myśiała przerażona. Nie mam takiej zdolności. Jak, w takim razie, mam je pokonać?

W następnej chwili jednak uświadomiła sobie, że się myli. Przegniłe drzwi wejściowe uchyliły się z przeraźliwym skrzypieniem i na schodach ukazał się wysoki, jakby sztucznie wyciągnięty mężczyzna.

Zachowują się wobec mnie zupełnie inaczej niż wobec ludzi, którzy przedtem próbowali wtargnąć na ich teren, pomyślała. Nic się nie zgadza z opowiadaniami Viljara.

A zatem pierwsze wrażenie było prawdziwe: Szary ludek nie był pewien zachowania Sagi, nie wiedział, co ona potrafi, na co ją stać.

Nagle na schodach i na trawie przed nią zaroiło się od upiornych zjaw. Saga patrzyła na nie i starała się zachowywać tak, jakby nie robiły na niej najmniejszego wrażenia. Ale ich obecność napełniała ją wstrętem. Chociaż kilka było ładnych, to pewnie elfy, domyśliła się. Widziała też zwyczajnych ludzi, którzy zmarli nagłą lub tragiczną śmiercią. Ale większość zjaw budziła obrzydzenie. Jak na przykład ta wielka gąbczasta mara albo bezkształtne ohydztwa, które nawet trudno określić.

W końcu wysoki mężczyzna z pętlą ze sznura na szyi odezwał się:

— A więc przybywasz, żeby nas stąd przepędzić, Sago? Odważny zamiar jak na taką drobną panienkę!

Uśmiechał się szyderczo, a większość jego świty ryknęła gromkim śmiechem. Niektórzy przyglądali jej się chłodno, ale wszyscy wciąż stali w grupie, jedno przy drugim, jakby bronili się przed wspólnym wrogiem, którego możliwości do końca nie znali.

— Dobrze wiecie, że mam dość władzy, by was stąd wypłoszyć — powiedziała spokojnie. — Dlaczego więc nie odejdziecie bez awantur?

— No to spróbuj nas zmusić — rzekł wysoki przeciągle.

— Opór zwróci się przeciwko wam.

Po czym obie strony zamilkły i czekały.

Wędrówka Shiry nie była łatwa, myślała Saga ze smutkiem. Musiała sobie radzić sama, a przecież nie miała nadprzyrodzonych zdolności. Musiała liczyć na swoją inteligencję i tak zwany chłopski rozum. Wspomagała ją tvlko czystość uczuć, jaką zachowała, i wiedza, którą zdobyła. Villemo także z początku nic nie wiedziała ani nie miała wyjątkowych zdolności.

Saga była w podobnej sytuacji. Całe jej dotychczasowe życie zmierzało ku tej chwili, choć nie bardzo nawet zdawała sobie z tego sprawę. Podobnie jak Shira błądziła po omacku i tak jak tamta prawie nieoczekiwanie stanęła wobec najważniejszego zadania swego życia. Jeszcze bardziej nie przygotowana niż Shira.

Nikt jej przecież nie upominał, że powinna żyć w czystości. Żyła jak inni ludzie. Co prawda przyniosła ze sobą na świat pewną rezerwę wobec otoczenia, ale to było wszystko. Pozwalała sobie na wybuchy złości skierowane przeciwko bliźnim, w końcowej fazie małżeństwa nienawidziła swego męża. Krótko mówiąc, podlegała normalnym ludzkim słabościom. Ale też nie będzie musiała odnaleźć źródeł życia, jak to było obowiązkiem Shiry.

Miała tylko uwolnić Grastensholm od niepożądanych gości.

Coraz częściej ogarniało ją jednak przykre podejrzenie, że sprawa nie ogranicza się do tego „tylko”.

Makabryczne zgromadzenie przed nią najwyraźniej nie zamierzało się poddać bez waiki.

Viljar opowiadał o budzących trwogę widowiskach, jakie się tu rozgrywały. O zakończonych śmierćią polowaniach na ludzi, którzy odważyli się wtargńąć na terytorium szarego ludku.

Na razie nic takiego się nie działo. Na razie czekali.

Niewidzialny mur nadal zagradzał przejście, ale nie był już taki zwarty, a nawet wyraźnie się chwiał. Zjawy były podporządkowane wisielcowi. Sam nie byłby w stanie zamknąć jej drogi jedynie siłą woli, reszta musiała mu pomagać. Ale w kilku miejscach ich opór się załamywał.

Bali się jej, nie rozumieli, do czego zmierza. Prawdopodobnie szary ludek miał jakąś słabość i teraz się lękali, że Saga ją odkryje. To jednak nie wszystko. Bali się czegoś więcej. Tylko czego?

Błyskawicznie ogarnęła spojrzeniem całą gromadę.

Jedno z nich było silniejsze od pozostałych, szedł od niego lodowaty chłód. Wisielec, rzecz jasna. I elfy! Owe cudownie piękne elfy były niebezpieczniejsze od śmierci.

Ale oto, tam...!

Dwie małe dziewczynki. Saga słyszała o nich. Teraz stały niedaleko niej na porośniętym trawą dziedzińcu. Saga zwróciła się do nich:

— Nie chcecie spocząć w poświęconej ziemi, dzieci?Nie chciałybyście leżeć obok mamy i taty?

W grupie na schodach rozległy się szmery. Gdy tylko na moment osłabiła uwagę, któryś z upiorów rzucił się na nią, poczuła zęby na ramieniu. Nawet się nie odwracając do napastników, skierowała w ich stronę alraunę. Upiory cofnęły się.

Wisielec zszedł ze schodów. Podszedł do Sagi tak blisko, że czuła bijący od niego odór zgnilizny, i powiedział szyderczo:

— Ty głupia, one nie chcą wracae ani do taty, ani do mamy! To przez rodziców zostały zamordowane!

Saga uniosła alraunę i nakazała mu, żeby się wynosił i zostawił dzieci w spokoju.

Dziewczynki zniknęły w tłumie. Alrauna zdenerwowała wszystkich. Zapomnieli, że mają tworzyć mur, zagradzający Sadze drogę, wściekłe rzuciły się ku niej, czuła ich obecność przy sobie, jakby ją otaczała gęsta, drgająca pajęczyna. Raz po raz czuła na twarzy lodowaty powiew. Oczy wisielca płonęły gniewem.

Saga pamiętała, jak Vinga zdołała powstrzymać napór tego samego tłumu tamtej księżycowej nocy na wzgórzu, kiedy Heike wywołał szary ludek z zaświatów.

— Wynosić się stąd, piekielna hołoto! — wrzasnęla.

Upiory wycofaly się niechęmie. W wyniku zamieszania zapomniały stworzyć mur i droga na schody stała przed Sagą otworem. Wbiegła na nie kilkoma skokami i oparła się plecami o drzwi.

Wciąż wyciągając przed siebie alraunę odszukała po omacku klamkę i otworzyła. Wsunęła się do środka i pospiesznie przekręciła klucz w zamku, a potem zaczęła się rozglądać.

Hall znajdował się w tragicznym stanie. Gdy zatrzaskiwała drzwi, ściany odpowiedziały jej głuchym echem. Pośrodku znowu zobaczyła obie dziewczynki. Onieśmielone patrzyły na nią błagalnie, ich sinoblade twarzyczki bielały w półmroku, a na głowach ziały czerwone rany zadane siekierą.

Saga ukucnęła przy dzieciach.

— Musicie mi powiedzieć, gdzie spoczywają wasze szczątki. Postaram się, żeby to miejsce zostało poświęcone.

— My mieszkałyśmy w Steinbreta — szepnęła jedna z dziewczynek dziwnie głuchym głosem, — Zostałyśmy pochowane pod kupą gnoju.

— Dziękuję. Pomożemy wam w imię Boga.

Siostry uśmiechały się łagodnie.

— W takim razie nie zrobimy ci nic złego — powiedziała druga i na oczach Sagi obie rozpłynęły się w powietrzu.

— O dwie mniej — mruknęła Saga. — W takim razie pozostało dziewiętnaście. Nie licząc drobiazgu.

Ledwie wypowiedziała te słowa, a rozlegly się jakieś szelesty i przez szparę w drwiach zaczął wpełzać do hallu nieprzerwany strumień małych szarych istot, rozmaitych wijących się potworków, gnomów, trolli i wszelkiego rodzaju ohydy z ludowych wierzeń.

Większość wyglądała niegroźnie, lecz inne, trudne do określenia paskudztwa, właziły na jej buty, próbowały wbijać jej w nogi ostre zęby, mimo to sprawiały wrażenie, że gdyby tupnęła, uciekną.

— Macie odwagę mnie zaczepiać? — krzyknęła głośno. — Czy nie wiecie, kim jestem? Mam taką władzę, że mogę was unicestwić, jeśli dobrowolnie nie opuścicie domu! Słyszycie, co mówię?

Naprawdę mam taką siłę? Nieważne, chodzi o to, żeby zastraszyć przeciwników. Saga wpatrywała się surowo w małego obrzydliwego potworka o długich, sterczących na wszystkie strony włosach, porastających bardziej zwierzęce niż człowiecze ciało.

— Ty też wracaj do swojego świata! Natychmiast! Opuść Grastensholm i nigdy więcej tu nie wracaj! Zmykaj, ale już!

Heike lub inni dotknięci dziedzictwem zła członkowie Ludzi Lodu prawdopodobnie przeganialiby potworki za pomocą magicznych zaklęć i dramatycznych gestów. Ona niczego takiego nie znała. Mówiła po prostu, co jej przychodziło do głowy, nawet jeśli brzmiało to niezbyt groźnie.

A jednak, ku wielkiemu zdziwieniu Sagi, dwa potworki parsknęły ze złością, po czym odwróciły się, podpełzły do okna i zniknęły na zewnątrz.

— No! — skwitowała ich zachowanie Saga. — Na tym polega tajemnica! W gromadzie są trudne do pokonania. Ale jedno po drugim...

Skoro udało się pokonać te dwa złośliwe diabełki, wszystko inne powinno być łatwiejsze. Przez cały czas szare stwory żywiły dla niej pewien respekt, a to powstrzymywało je przed otarartym atakiem. Nie miała wątpliwości, że każda z tych istot, zarówno z tych mniejszych, jak i większych, czekających na dworze, mogłaby zabić człowieka. Ale ona sama była chroniona.

Należała do wybranych.

Nie bała się pełzającego paskudztwa i to było bardzo ważne dla jej bezpieczeństwa. Krzycząc i wymyślając, łapała je to za kark, to za ogon, i przeganiała jedno po drugim. Śmieszne były te wrzaski, ale co im miała powiedzieć? Przecież nie miała okazji nauczyć się zaklęć Ludzi Lodu. Stwory były orzydliwe w dotyku, śliskie albo włochate, niektóre jak galareta, niematerialne, co akurat było szczerą prawdą, wiły się i wyrywały, trudno bgło je utrzymać. Nie chcialy się poddać! Odniosła się bardzo surowo do dwóch małych gnomów, bo przecież zostały stworzone po to, by żyć z ludźmi w przyjaźni, pomagać im w stajniach i oborach. A tymczasem one co robią? Przyłączają się do tej diabelskiej hołoty, która doprowadziła do ruiny taki piękny dwór!

Jej wymówki zrobiły wrażenie na wszystkich. Szurającym strumieniem sunęły ku oknu i tłoczyły się potem na dole w ogrodzie, pełzły dalej na pola i do lasu. Długi, szary, wijący się wąż istot z piekielnych otchłani. Saga stała w oknie i uśmiechała się cierpko, patrząc w ślad zanimi.

Gdy zniknęły, wróciła do czekających ją zajęć.

Jeśli miała nadzieję, że zamki i klucze mogą tu być jakąś pomocą, to się głęboko myliła. Gromada szarych stworów klębiła się na podłodze i schodach wiodących na piętro. Ale nie wszystkie. Sporo zostało jeszcze za drzwiami. Przypomniała sobie, co czytała w księgach Ludzi Lodu, że Heike musiał wielu z nich pomagać, bowiem nie posiadały zdolności przenikania przez zamknięte drzwi.

W takim razie muszę jeszcze pokonać co najmniej dwie odmiany, myślała.

Wisielec najwyraźniej tracił cierpliwość. Przesunął się nad podłogą, jakby płynął w powietrzu, wprost do Sagi. Wlepiał w nią te swoje bezczelne oczy opryszka.

— Jak widzę, masz odwagę pozbawiać mnie moich podwładnych! Zabrałaś mi już wielu, zbyt wielu, ale niech ci się nie wydaje, że pozwolę na więcej! Jesteś silna, to prawda, ale mojej władzy byle co nie złamie. Koniec tej zabawy!

Zanim zdążyła otworzyć usta, żeby „potraktować go osobno”, jak to w myślach określała, cała gromada zniknęła jej z oczu.

Zaległa złowroga cisza.

Saga jednak nie zamierzała marnować czasu. Energicznie podeszła do schodów i wrzasnęła na cały głos:

— Diabelska hołota! Słyszycie mnie? Do was mówię! Zabierajcie się stąd i wracajcie do swoich nor! Rozkazuję wam opuścić Grastensholm!

W odpowiedzi usłyszała gromki szyderczy śmiech.

Nie, tak nie można. Nigdy się przecież nie zajmowała wywoływaniem duchów ani niczym podobnym. Należało działać powoli, wyrzucać jedno po drugim. Tylko że na razie nie widziała żadnego...

Weszła na schody, które natychmiat zaczęły się pod nią gwałtownie trząść. Saga straciła równowagę i upadła, próbowała się chwycić poręczy, ale ta rozleciała jej się w rękach. Rozpaczliwie szukała jakiegoś innego oparcia. W całym domu słychać było okropriy łoskot i huk, ściany się trzęsły, schody pod Sagą załamały się z trzaskiem i kawałki drewna spadały na podłogę hallu.

— Wy dobrze wiecie, że za mną stoją potężne siły! — krzyknęła ze złością.

Wtedy wszystko ustało. Ponownie zaległa cisza. Wyczuwało się w niej wahanie.

Schody na górę były zrujnowane.

Saga musiała wykorzystać ten moment niepewności swoich przeciwników. Balansując na rumowisku, powoli wczołgiwała się na górę i zdołała wejść na piętro, zanimtamci zdążyli się ponownie zgromadzić.

Tylko że teraz było ich znacznie więcej.

Ruszyły na nią z nienawiścią, powodowane strachem i czymś w rodzaju instynktu samozachowawczego.

Obok niej sunął jakiś upiór. Dwuwymiarowy, płaski, leżał w powietrzu, wyginał się i śmiał jej się bezczelnie w twarz.

Saga wyciągnęła alraunę tak, że amulet dotknął ducha, i ostro nakazała mu opuścić Grastensholm na zawsze.

Rozległ się przenikliwy pisk i sinoblada, powłóczysta zjawa wyleciała przez okno.

Jeszcze osiemnaścioto, liczyła Saga.

Teraz jednak upiory rozzłościły się nie na żarty. Z wściekłym wyciem rzuciły się na Sagę, warczały, próbowały ją gryźć i szarpać. Ona wyciągnęła w tył lewą rękę i chwyciła jakieś obrzydliwe, kosmate ramię, które starało się jej wyrwać. W momencie kiedy dotknęła upiora, stał się on wrdzialny i Saga spojrzała w oczy mordercy. Po śmierci zęby mu urosły i wyglądały teraz jak długie, ostre szpile, tam gdzie kiedyś był nos, ziała pustką czarna dziura.

— Wracaj natychmiast do grobu, ty upiorze! — wrzasnęła Saga.

Ze wściekłym krzykiem upiór wyleciał przez okno. Siedemnaście, stwierdziła Saga. Trzeba wyeliminować jeszcze siedemnaście sztuk.

Wtedy zorientowała się, że została zamknięta, znalazła się w ciasnym kręgu lodowato zimnych istot. Nie widziała ich, ale czuła ich obecność wszystkimi zmysłami.

„Odejdź stąd” zdawały się mówić. „Daj za wygraną, zanim umrzesz! Wygrać i tak nie możesz, wiesz o tym. Więc odejdź, a damy ci wszelkie bogactwa i przyjemnościtego świata.”

Mignęło jej przed oczyma mnóstwo wspaniałości, uroda i bogactwo, jakie na nią czekały, i zakręciło jej w głowie.

Elfy. Pamiętała, że były cztery. Dwie niezwykle piękne kobiety i dwaj równie urodziwi mężczyźni.

Wszyscy uwodzicielscy, podstępni.

Uświadomiła sobie, gdzie one stoją. Nie wiedziała, jak wyglądają, były dla niej niewidoczne, ale domyślała się ich obecności. Podsuwała im alraunę przed oczy, jednemu za drugim, tak szybko, że nie mogły odskoczyć, a ona krzyczała, że mają wracać do swoich lasów i na łąki, gdzie jest ich miejsce.

Parskały rozczarowane, lecz otaczający Sagę krąg się rozsypał.

Co ja bym zrobiła bez alrauny? myślała. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że nie tylko amulet jej pomaga, Ona sama także miała władzę. Czuła, że przepełnia ją ogromna siła. Owa siła wybranych, której Tarjei nie zdążył wykorzystać. Ta, która na krótko napełniła życie Villemo i Dominika na czas, jakiego potrzebowali, by przeprowadzić walkę z młodym i dzikim Ulvhedinem.Kiedy go już obłaskawili, nadprzyrodzona siła opuściła ich.

Nigdy się jednak nie spodziewała, że ona sama otrzyma siłę tak wielką, iż będą przed nią uciekały ciemne moce. Oczekiwała jeszcze zacieklejszej walki. Viljar zresztą także. To on ją ostrzegał, że niebezpieczeństwo może być śmiertelne, ale dotychczas nic takiego jej nie zagrażało. wszystko szło zdumiewająco prosto i gładko.

Tylko że walka się jeszcze nie skończyła.

Jeszcze trzynaście stworów...

Saga zbliżyła się do schodów wiodącgch na strych.

Z dawnej urody i świetności Grastensholm nie zostało nic. Wszystko było odrapane i brzydkie, połamane i zrujnowane. Ogromne dziury w podłodze, deski takie przegnite, że co chwila zarywały się pod ciężarem Sagi.

Nagle coś spadło jej na plecy.

Tak, naprawdę. Coś ją przyciskało do podłogi, dławiło. I to coś było obrzydliwe. Jakaś gąbczasta substancja dotykała jej skóry. Czy to nie pazury skrobią o podłogę? Mara, pomyślała Saga. Ta wstrętna nocna zjawa, która niczym jeździec dosiadała śpiących i panoszyła się w ich snach. Olbrzymia postać kobieca, ohydna i lepka.

Odbierała Sadze siły. Saga dyszała ciężko, ale kleista masa zatykała jej usta i pętała ręce.

Zmagała się z marą sama, twarzą w twarz, jeśli tak może powiedzieć ktoś, kto leży rozpłaszczony na podłodze pod ciężarem przeciwnika. Słowa nie mogły przedrzeć się na zewnątrz, mimo to jednak wykrzykiwała je; efekt był taki, jakby krzyczała w grubą poduszkę, niewyraźnie, niezrozumiale, bo dusiła się z braku powietrza:

— Zgiń, przepadnij, maro nieczysta! Ty tłusty, wstrętny truposzu! Wracaj do swojego zapaskudzonego świata i do swoich koszmarnych snów!

Rozległ się syk, jakby ktoś przebil wielki balon, a potem jeszcze kilka konwulsyjnych prób zmiażdżenia Sagi i ucisk zelżał, a szpetne przekleństwo wisielca pozwoliło leżącej zrozumieć, że mary także zdołała się pozbyć.

Jeszcze dwanaścioro.

Kto może znajdować się na zewnątrz? Na dziedzińcu?

Istoty z ludowych wierzeń. Te zaś były związane z miejscem i nie mogły się poruszać jedynie dzięki sile woli. One potrzebowały pomocy.

Ile zostało jeszcze w domu? Nie zdążyła policzyć stojących u stóp schodów na strych.

Nie powinno ich być wiele. Z pewnością nie...

Ale upiory stały się ostrożniejsze. Nie zbliżały się za bardzo do Sagi, wyczekiwały na okazję, żeby się na nią, rzucić wspólnie i rozstrzygnąć pojedynek.

Tymczasem stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Jakiś płochliwy kobiecy głos szeptał pospiesznie u jej boku, a lodowate dłonie czepiały się rąk Sagi.

— Ratuj mnie! — szeptał głos. — Uwolnij mnie od tego strasznego istnienia pomiędzy życiem a śmiercią!

Saga natychmiast zrozumiała, co to dla niej znaczy.

— W imię Jezusa Chrystusa pragnę ci pomóc. Gdzie zostałaś pochowana?

— Po drugiej stronie cmentarnego parkanu. Na przeklętym placu, pod wielkim krzakiem jałowca.

Wisielec dopadł do nich z głośnym krzykiem, lecz Saga zdążyła szepnąć do kobiety:

— Wracaj tam natychmiast! Odnajdziemy twój grób.

Poczuła uścisk lodowato zimnych dłoni, zapewne w podzięce. Kobieca zjawa zniknęła.

Jeszcze jedenaście, liczyła Saga, nie słuchając przekleństw wisielca.

Zaczęła wchodzić na schody prowadzące na strych.

Znowu ktoś zagrodził jej drogę. Ktoś owładnięty żądzą mordu. Nagle dwoje potężnych szczęk zacisnęło się jej na ręce. Na tej ręce, w ktorej trzymała alraunę.

Najdroższy talizman Ludzi Lody potoczył się w dół i został kopniakiem odrzucony daleko od Sagi. Ona wymierzyła błyskawicznie cios, chcąc unieszkodliwić monstrum. Musiała działać naprawdę szybko, żeby nikt nie zdążył ukryć amuletu.

Modliła się w duchu: „Pozwói mi odzyskać zdolność widzenia niewidzialnego!”

I modlitwa została wysłuchana. Saga wyczuła obecność w pobliżu czegoś nieokreślonego, zdołała złapać coś Iepkiego, co śmierdziało jakby zgniłą wodą, i zawołała:

— Wynoś się! Wynoś się z powrotem do tej kupy gnoju, z której przyszedłeś! I nie pokazuj się tu nigdy więcej!

Po czym puściła stworę. Ta parskała i pluła ze złości, resztką sił zepchnęła Sagę ze schodów i zniknęła.

Dziesięcioro...

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło — Saga upadła obok alrauny! Złapała ją w tej samej chwili, gdy jakaś stopa w ciężkim bucie próbowała kopnąć amulet tak, by odrzucić go daleko w kąt.

— Ach, tak! — spokojnie powiedziała Saga nieoczekiwanie pewna, jak się sprawy naprawdę mają. — Ach, tak! Zostałeś już tylko ty.

— Jeśli myślisz, że żywa opuścisz dwór, to...

— Wiem, że wielu twoich czeka na zewnątrz. Ściśle mówiąc, dziewięcioro, prawda? Ale martwmy się tym, co mamy tutaj. Proszę bardzo, twoja kolej.

Tamten roześmiał się tylko ponuro.

Nie mogła wywołać z mroku jego postaci, nie wiedziała, gdzie się znajduje, był po prostu silniejszy od tamtych. Odczuwała natomiast, że zionie bezgraniczną nienawiścią. Przerzedziła szeregi jego armii, zostały tylko nędzne resztki. Tego nie mógł jej wybaczyć. Nigdy!

Ale słowa, które teraz padły, zaskoczyły ją.

Stał tuż obok niej.

— Wejdź na strych, ty wariatko! Idź tam i weź sobie ten wasz klejnot! A później pogadamy.

Saga czekała z niedowierzaniem. On zapewne chce żeby odnalazła to, co zostało schowane na strychu i potem jej to odbierze.

Upiór stawał się niecierpliwy.

— Idź już, do diabła! Widzisz przecież, że pozwalam ci iść! Ale nie myśl sobie, że się poddałem!

Nie była w stanie stwierdzić, czy mówi szczerze, ale skinęła głową i zaczęła wchodzić po schodach. Obejrzała się kilka razy, lecz nikt nie szedł w ślad za nią, czuła to.

Strych przedstawiał sobą okropny widok. Ogromny i zrujnowany, dach pozapadany, na podłodze resztki zawalonej wieżyczki, część stropu zarwała się i spadła na dół. Podłoga trzeszczała złowieszczo pod nogami Sagi.

Gruba warstwa kurzu pokrywała wszystko, podłogę i zgromadzone tu niepotrzebne sprzęty. Jakaś piękna szafa spróchniała do tego stopnia, że w każdej chwili mogła się rozsypać.

Ale w jednym miejscu kurzu nie było, został zgarnięty z podłogi jakby podczas gwałtownej walki.

Saga rozglądała się uważnie w mdłym świetle przedostającym się tu przez otwory w dachu. Poczuła ssanie w żołądku. To, co widziała, to musiały być ludzkie szczątki, nic innego.

„Ktoś z władz gminnych wszedł kiedyś do dworu. Nigdy stamtąd nie wyszedł...”

Odwróciła się ze wstrętem. Musiała oddychać głęboko, żeby nie stracić przytomności.

Skarb Ludzi Lodu. Trzeba szukać...

Stała bez ruchu z zamkniętymi oczyma.

Jakiś dziwny szum wypełniał jej głowę. Całe ciało. Jak... wibracje? Heike wiele mówił o wibracjach. Wielu z Ludzi Lodu odezuwało ten fenomen tutaj na strychu. Wibracje dochodzące z któregoś kąta?

Powoli odwracała głowę, nasłuchując.

O! Tam! W tamtym rogu...

Przeniknął ją lodowaty dreszcz. Uświadamiła sobie coś jeszeze: dotarła do niej twarda, nieubłagana prawda, że nie jest na tym strychu sama.

To dlatego wisielec śmiał się cynicznie!

Istniała jeszcze jedna istota. Wielka, bezkształtna, wyczekująca. Tutaj, na górze, czekała na Sagę, całkowicie oddzieloną teraz od zewnętrznego świata.

ROZDZIAŁ XII

Sporo czasu mingło, nim Saga odważyla się zrobić następny krok. Kiedy jednak szła w stronę kąta, w którym znajdował się ów nieznany skarb, zmurszała podłoga trzasnęła pod jej stopą, koniec złamanej deski odskoczył i uderzył w resztki zrujnowanej wieżyczki. Rumowisko zaczęło się poruszać, a potem z wielkim hukiem spadło w dół, na niższe pietro domu, do sypiaini, która się tam właśnie kiedyś znajdowała. Cały strych, ba, cały dom zaczął się trząść, w końcu jedna ze ścian poddasza załamała się, wzniecając tumany pyłu.

Saga stała, dopóki się wszystko znowu nie uspokoiło.

Dom nie powinien umierać w ten sposób, myślała ze smutkiem. To niegodne! Zwłaszcza niegodne takiego domostwa jak Grastensholm z całą jego wspaniałą historią.

Tym razem musiała okrążyć rumowisko, żeby dostać się do tamtego kąta.

Przez cały czas miała świadomość, że coś czy ktoś się tu na nią czai.

Dotarła do celu. Rozejrzała się uważnie, ale niczego specjalnego nie zauważyła.

I wtedy znowu pojawiły się sygnały. Dla tych, którzy przychodzili tu przedtem, brzmiały one ostrzegawczo. Sadze wydały się przyzywające.

Ona musiała odnaleźć to, co zastało tu ukryte.

Wibracje były najsilniejsze koło dużej komody. Pod komodą? Czy naprawdę Saga będzie musiała czołgać się po tej brudnej podłodze? No cóż! Zdarzają się rzeczy znacznie gorsze od kurzu. Miała już okazję się o tym przekonać.

Teraz była po prostu trochę zmęczona.

Przez cały czas we wszystkim, co robiła, towarzyszyła jej nieustannie myśl o jedynym mężczyźnie, którego kiedykolwiek kochała. O Marcelu. Niekredy myślała o nim jako o Lucyferze. Wtedy jednak ogarniało ją uczucie tak gwałtownego szczęścia, że zaczynało jej się kręeić w głowie. Bezpieczniej więc było wspominać Marcela.

Miała wrażenie, że on tu z nią jest. Że patrzy, jak Saga klęka i szuka po omacku pod komodą. Ale ani Marcela, ani Lucyfera, rzecz jasna, w Grastensholm nie było. To tylko ona sobie wyobrażała, że jest, i czerpała stąd pociechę. Myśl o nim dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

Wyczuła dłonią jakąś szkatułkę.

To obiecujące. Nie bez trudności wyciągnęła szkatułkę spod komody. Wyglądała na bardzo starą. Okucia i zamek zardzewiały tak, że metal kruszył się w palcach.

Usiadła na podłodze wstrzymując dech i obiema rękami ściskała szkatułkę. Nagle coś ją uderzyło w ucho tak mocno, że omal nie straciła przytomności. Wstała zamroczona, ale zanim zdążyła się wyprostować, zauważyła, że coś się za nią skrada.

Było to cuś ogromnego, o ile mogła się zorientować, miotało się wokół niej, wirowało, potwornie wielkie!

Przypomniała sobie kilka słów z kronik Ludzi Lodu: „Niektórzy z nich są wysocy jak sosny.”

Kogóż to brakowało ze sporządzonej przez Heikego listy szarego ludku? Wysocy jak sosny?

Przyciskała szkatułkę pod pachą, a w drugiej, uniesionej w górę ręce trzymała alraunę.

— Kimkolwiek jesteś, wynijdź stąd — rzekła, świadomie używając staroświeckich słów. Ci, z którymi teraz miała do czynienia, należeli do dawno minionego świata. — Powróć do tej ziemi, w której złożono twoje członki!

Teraz jedno po drugim nastąpiły trzy wydarzenia. Najpierw, gdzieś na prawo od Sagi, dał się słyszeć kobiecy śmiech, z lewej zaś odezwał się głos bardzo starego mężczyzny, który posługiwał się równie starym językiem: „Na co ty się ważysz, niewiasto z Ludzi Lodu? Powiadam ci, że zostaliśmy stworzeni z tej samej gliny!” Jednocześnie to coś wielkiego i obrzydliwego, co, jak się jej zdawało, miała przed sobą, zwaliło jej się na plecy takim ciężarem, że opadła na kolana.

Teraz już wiedziała, kto może być taki wysoki jak dom. Wyrodzeńcy. Nowo narodzone dzieci, które wyniesiono do lasu, by tam umarły. Znajdowały sobie kryjówki na przykład pod podłogą obory albo w lasach i mogły upatrzonego człowieka zadręczyć na śmierć.

Tu, na górze, Saga miała przeciwko sobie trzy różnego rodzaju upiory. A żaden z nich najwyraźniej nie zamierzał pozwolić, by opuściła strych...

Poczuła czyjeś ramię na swojej szyi, a kiedy chciała sprawdzić, co to, odnalazła dziecięcą dłoń, tyle że ogromną, większą niż jej własna głowa. Zdławionym głosem wyszeptała, podobnie jak to kiedyś uczyniła Silje, kiedy znalazła w lesie porzuconego noworodka:

— Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, i nadaję ci imię Per. I ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego imieniem Kari. Amen!

Przez cały czas nie puszczała tej potwornie wielkiej dziecięcej ręki.

Uścisk zelżał. Jakby i ta ogromna istota, i ona sama jednocześnie doznały ulgi. Z cichym dziecinnym kwileniem, które z wolna przechodziło w gaworzenie, potwór zsunął się z pleców Sagi.

— Aha, aha — powtarzał starczy głos, a dochodził jakby z oddali, zarówno jeśli chodzi o miejsce, jak i o czas. — Nie jesteś w ciemię bita, jak widzę. Tak, tak, przecie przybyłaś tu do nas, a na to trzeba mieć w głowie nie tylko Ojczenasz, nie, nie.

Saga, odkąd znalazła się w Grastensholm, nie odczuwała najmniejszego lęku, nic ani na moment jej nie przestraszyło. Wiedziała, dlaczego tak jest. Oczywiście, jako jedna z wybranych, była chroniona przed zakusami takich jak ci tutaj, ale było coś jeszcze. Dane jej było przeżyć największą miłość, jaka może połączyć kobietę i mężczyznę, więc teraz, kiedy nic jej już nie pozostało, kiedy ukochany opuścił ją na zawsze, czego miała się lękać? Ktoś, kto nie ma przed sobą przyszłości, nie ma powodu lękać się tego, co nastąpi.

Spokojnym głosem zapytała:

— Kim jesteś? I kim jest ta kobieta?

— Nie wiesz? — zagulgotał. — Jesteśmy przecież spowinowaceni.

— Należycie do Ludzi Lodu? — zapytała z niedowierzaniem.

— O, nie, nie! Do tak szlachetnie urodzonych nie należymy!

— Teraz sobie przypominam — rzekła pospiesznie. — Według Heikego była tu jeszcze jedna wiedźma. I czarownik. Zgadza się?

— Tak to jest! I jeśli nie przyjdzie ci do głowy, żeby nas zepchnąć w jakiś ponury kąt albo gdzie indziej, to możemy wyjść do ciebie i porozmawiać.

Saga skinęła głową.

— Macie moje słowo honoru.

— To zacnie z twojej strony!

Z mroku zalegającego strych wyłoniły się dwie postacie. Kobieta, którą każdy by natychmiast, na pierwszy rzut oka, określił jako wiedźmę, i starszy mężczyzna w prostym i tak staroświeckim ubraniu, że musiał chyba pochodzić z epoki żelaza.

Przyglądali się Sadze i uśmiechali z podziwem.

— Zaiste, jesteś cudnym stworzeniem, Sago z Ludzi Lodu — powiedziała kobieta. — Wiele bym dała, żeby stać się tobie podobną!

— Nie jestem aż tak godna zazdrości, jak może mogłoby się wydawać — odparła Saga.

— Tak sądzisz? A przecie popędziłaś kota temu pyskaczowi, który tu nami dyryguje. I odebrałaś mu większość jego popleczników.

— O, ale ma jeszcze was, prawda?

— Nie będzie miał, jeśli zechcesz nam pomóc.

— Chętnie. Ale musicie mi obiecać, że opuścicie Grastensholm.

— Uczynimy to z radością. Dojadło nam już to życie.

„Życie”, cóż za dziwne wyrażenie w tych okolicznościach! Saga stłumiła uśmiech.

— Czego sobie ode mnie życzycie? — zapytała.

— Byś pokonała tego szaleńca, w którego władzy się znajdujemy. Kiedy twój krewniak, Heike, oddał ducha, my także pragnęliśmy opuścić Grastensholm. Ale ten podlec był naszym zwierzchnikiem i narzucił nam swoją wolę.

— Jakim sposobem? Nie zauważyłam, by miał jakieś szczególne właściwości.

— Dzięki! — stary czarownik uśmiechnął się szeroko. — Dzięki ci za te słowa, po prostu rozkosz tego słuchać. Ale trzeba ci wiedzieć, że istnieje specjalna skala ocen, u nas, wyrzutków, także. Tak, tak, zwiemy się wyrzutkami, my, którzyśmy nie zaznali spokoju, nie dano nam miejsca spoczynku.

— To znaczy, że według tej skali on plasuje się najwyżej? Dlaczego?

Kobieta w czarnym nędznym ubraniu skrzywiła się.

— On popełnił wielkie przestępstwo, największe w opinii potępionych. Zamordował dziecko, a uczynił to w kościele. Kiedy zaś nadszedł ksiądz, jego również pozbawił życia. Przed ołtarzem.

Saga zadrżała ze zgrozy.

— Ale to się musiało wydarzyć w tutejszej parafii, skoro Heike mógł go wywołać ze świa\_ta cieni. Nikt mi nigdy o niczym takim nie wspomniał, a przecież gdyby chodziło o kościół w Grastensholm, wszyscy by o tym wiedzieli!

— Nie, to nie w tym kościele. Z pewnością jednak wiesz, że w dawnych czasach duże dwory miały własne kościoły lub kaplice. A dwór w Grastensholm jest bardzo stary. I była tu inna pańska siedziba, zanim wzniesiono dzisiejsze domostwo. Na długo przed czasami Meidenów. Grzech dokonał się właśnie w dworskiej kaplicy. Zamordowanych złożono w poświęconej ziemi, ale nie jego.

— Ale... — zaczęła Saga niepewnie. — Czy to nie on jest upiorem z Bagien Wisielca w parafii Moberg?

— Owszem, tam było miejsce kaźni, ale ciało przywieźli tutaj.

— Gdzie znajduje się jego grób?

— Żywy masz umysł i nie brak ci rozumu — pochwalił stary czarownik.

— Także i moim pragnieniem jest go pokonać, a wszystko wskazuje na to, że niełatwo będzie go dostać.

— Został pochowany na Wzgórzu Wisielców.

Saga nigdy nie słyszała o żadnym Wzgórzu Wisielców.

— Może moi krewni będą wiedzieli, gdzie to jest.

— Wątpię! — przerwała jej wiedźma. — Nikt z żywych tego nie wie. Wzgórze Wisielców to było to nieduże wzniesienie koło bramy do Grastensholm, gdzie później wystawiano mleko.

Tam gdzie usiadł Viljar, nie mając pojęcia o grobie powieszonego opryszka!

— Dziękuję — powiedziała Saga. — W takim razie jest mój! Ale wy? Czego oczekujecie ode mnie? Mam wam urządzić pogrzeb?

Głos kobiety dochodził teraz z oddali niczym echo z grobowej niszy.

— Nie, nie! Nam jest tak dobrze razem, że polatamy sobie jeszcze po świecie paręset lat. Ale nie lękaj się, nie będziemy już więeej kłopotać Ludzi Lodu. Nigdy nie chcieliśmy tego robić. Żywimy wielki respekt dla twojego rodu. Zostaliśmy tu wezwani wbrew własnej woli. Jedyne, czego pragnęliśmy, to byś unicestwiła tego łotrzyka.

— Kim jesteście?

— Ja zostałam w tutejszej parafii spalona na stosie. Rok był wtedy tysiąc pięćset siedemdziesiąty i ósmy. Mój przyjaciel zaś był potężnym czarownikiem w pogańskich czasach. On także przypłacił życiem swoją sztukę, ale nie będziemy cię zadręczać opisywaniem, w jaki sposób go uśmiercono. W tamtych czasach ludziom brakowało delikatności.

— O, współczesnym też wiele brakuje, jeśli o to chodzi — mruknęła Saga. — A zatem opuścicie teraz Grastensholm?

— Oczywiście! Najzupełniej dobrowolnie.

Wiedźma podeszła do Sagi.

— Pozwól mi ucałować kraj twojej szaty, błogosławione dziecko!

Mężczyzna zaś pochylił się przed nią w głębokim ukłonie.

Saga uśmiechnęła się blado.

— Nie jestem godna takich podziękowań. Zostałam wybrana właśnie do tego i do niczego więcej. Wydaje mi się zresztą, że było to niesłychanie łatwe zadanie. Zbyt łatwe.

— No, no — zagulgotał znowu stary. — Okaże się z pewnością któregoś dnia, kim jesteś i dlaczego tak łatwo wykonałaś swoje zadanie! Wtedy zrozumiesz.

Spojrzała na niego pytająco, ale on uśmiechał się tylko i potrząsał głową.

Saga opanowała się.

— Wydale mt się jednak, ze na dziedztncu czeka na mnie jeszcze parę zjaw z ludowych wierzeń. Co ja mam z nimi zrobić?

Stara wiedźma machnęła lekceważąco ręką.

— Jeśli tylko dasz sobie radę z tym gagatkiem na dole, nie musisz się już martwić. Wszyskie duchy będą uciekać z dworu, gdy tylko ustąpi odrętwienie, w jakie popadają na widok upiora tak wysokiej rangi. Skupiaj się wyłącznie na starciu z nim!

— On mi dobrowolnie nie pozwoli odejść.

— Nie, nie, tego możesz być pewna. Ale on żywi dla ciebie respekt. Wielki, wielki respekt. Wykorzystaj to!

Szczerze mówiąc Saga nie zauważyła niczego szczególnego w zachowaniu się wisielca wobec niej. Zastanawiała się, jak postępawać. On na pewno zrobi wszystko, żeby jej stąd żywej nie wypuścić...

Podłoga pad jej stopami trzeszczała złowieszczo. Strych nie byłjuż bezpieezny.

Gdyby podeszła do tamtego otworu... Mogłaby wtedy zobaczyć bramę, gdzie siedzi Viljar i czeka na nią dokładnie na wprost starego wzgórza wisielców. Nie wiedziała, czy Viljar nosi na szyi krzyżyk, nie znała jego religijnych przekonań. Gdyby jednak miał krzyżyk i gdyby ona zawołała, żeby pobiegł i pobłogosławił wzgórek...?

Nie! Viljar nie zrozumie, o co jej chodzi, nie z tej odległości. Natomiast wisielec usłyszy i zrozumie... Pobiegnie tam czym prędzej i jeszcze zrobi krzywdę bezbronnemu Viljarowi. Nie, to zły pomysł.

Trzeba podejść upiora. Tylko jak?

Stara kobieta zdawała się czytać w jej myślach. Powiedziała cichym głosem:

— On jest próżny. I żądny władzy. Wykorzystaj to. Kiedy rzeczy idą po jego woli, staje się arogancki i zaczyna się puszyć. Jest wtedy mniej uważny.

Wisielec najwyraźniej ma sporo cech psychopatycznych, pomyślała Saga. Serdecznie podziękowała za informacje i oznajmiła, że ma już konkretny plan. Powiedzieli sobie do widzenia i po chwili zrujnowany strych był pusty. Starzy zniknęli.

Saga mocniej objęła szkatułkę i ruszyła ostrożnie ku schodom. Cała ta część strychu zaczęła się kołysać. Pośrodku, tam gdzie zwaliły się resztki wieżyczki, podłoga trzeszczała nieprzyjemnie. Saga podbiegła przestraszona do wyjścia i zaczęła schodzić w dół. Schody także kołysały się niepokojąco. Tak jak sobie zaplanowała, udawała zmęczoną, szła z trudem, zataczała się.

W końcu stanęła znowu na podłodze pierwszego piętra. Wisielca nie widziała, bo schował się przed nią, ale wiedziała, że tu jest, gdzieś bardzo blisko niej.

Nagle usłyszała jego głos tuż przy swoim uchu.

— No, jak widzę, wróciłaś?

— Tak, zeszłam na dół — jęknęła. — Ci, których wysłałeś przeciwko mnie, byli trudnymi przeciwnikami. Ale, oczywiście, w końcu rozprawiłam się z nimi.

— Trudno nie zauważyć, że kosztowało cię to sporo — powiedział złośliwie, wyraźnie zadowolony.

Saga zwróciła się w stronę, z której dochodził głos.

— Jesteś aż takim tchórzem, że nie masz odwagi mi się pokazać?

— Mam swoje zasady postępowania, przynajmniej w stosunku do ciebie. Pozbawiłaś mnie zbyt wielu moich podwładnych. Spodziewam się teraz, że w każdej chwili możesz wbić szpony w moją skórę.

Spojrzała z nienawiścią w jego stronę.

— Nigdy ci nie wybaczę zdrady, jakiej się dopuściłeś wobec Heikego z Ludzi Lodu. Nie zamierzam więc ustąpić, dopadnę cię któregoś dnia, nie uważam też, że winna ci jestem jakieś obietnice. Ale chętnie zawarłabym z tobą pewien kompromis. Akurat w tej chwili nie mam siły walczyć. Dobrze wiesz, że jeśli się skoncentruję i postaram, zdołam cię pokonać. Najpierw jednak chciałabym odnieść tę szkatułkę do Lipowej Alei. Dasz mi wolną drogę?

Wisielec zwlekał z odpowiedzią.

— Ale wrócisz?

— Oczywiście, i dobiarę się do ciebie, możesz być pewien. Liczę śię z tym, że będziesz próbował odbudowywać swoje imperium pod moją nieobecność, ale zaryzykuję.

Znowu się namyślał.

— Mógłbym unieszkodliwić cię natychmiast...

— Naprawdę?

— Oczywuście — odparł pospiesznie, ale nie podjął żadnej próby. Było tak, jak jej mówili starzy na strychu. Czuł dla niej respekt, zachawywał się bardzo niepewnie.

Dlaczego?

— To znaczy, że pozwalasz mi tu zostać? — zapytał z niedowierzaniem.

— Na razie tak. Ale uprzedzam cię, mogę zaatakować w każdej chwili.

Uświadomiła sobie, że wisielec się uśmiecha. Już planował, jak zgromadzi swoich zwolenników, i gdy Saga wróci, będzie dużo lepiej przygotawany.

— W takim razie idziemy — zdecydowała Saga. — I powiedz twoim pomocnikom na dziedzińcu, żeby mnie przepuścili.

— Proszę bardzo — zgodził się obojętnie. — I zapraszam z powrotem — dodał z bezczelnym uśmieszkiem, balansując na zrujnowanych schodach.

Saga zeszła na dół, a potem wyszła na dwór bez żadnych problemów. Nikogo nie było widać, nikt jej nie zaczepiał. Nie wiedziała, czy wisielec jej towarzyszy, czy nie. W końcu znalazła się poza niebczpiecznym terytorium. Viljar wstał ze swojego miejsca i szedł jej na spotkanie. Wyglądał na zmartwionego.

— Saga, Bogu niech będą dzięki, że wróciłaś! Chyba nigdy jeszcze się tak z żadnego spotkania nie cieszyłem! Ale zabawiłaś tam naprawdę bardzo długo.

Dopiero teraz spostrzegła, że zaczyna się zmierzchać. Naprawdę tak długo była we dworze?

— Ta szkatułka... Czy to znaczy, że ci się udało? — szepnął Viljar przejęty. — I Grastensholm jest wolne od, no, wiesz od kogo?

— Jeszcze nie całkiem — odparła zdyszana. — Viljar, czy ty masz srebrny krzyżyk? To znaczy, chodzi mi o to, czy nosisz krzyżyk na szyi?

Spoglądał na nią zdumiony, a potem podniósł rękę do szyi.

— Mam, naturalnie, że mam. Dostałem od Belindy, ona jest bardzo religijna. Noszę go ze względu na nią...

Saga przerwała mu.

— Daj mi go teraz, szybko!

— Co? Ty też jesteś wierząca? — zdziwił się.

— Na swój sposób jestem. Religijne wychowanie mojego katolickiego ojca zrobiło swoje. Dziękuję — dodała, biorąc krzyżyk. — To nam pomoże. A teraz weź szkatułkę i jak najszybciej wracaj do Lipowej Alei. Ja przyjdę trochę później. Spiesz się! Nie mamy czasu!

— Nigdzie nie pójdę! Zostanę z tobą. Widzę, że jesteś bardzo zdenerwowana, przyda ci się moja pomoc.

— To przynajmniej odejdź na bok. Nie wiem, jak się wszystko potoczy. Nie możesz zostać zraniony, wiesz, został mi jeszcze co najmniej jeden. Ten najgorszy.

Viljar chwycił szkatułkę i pobiegł drogą w stronę Lipowej Alei, ale niezbyt daleko. Saga działała jak w gorączce. Ściskając w dłoni krzyżyk, szła w stronę wzgórka. Po kilku krokach usłyszała krzyk. Wołanie z dworu, pełne przerażenia i wściekłości. Wisielec zorientował się, co jego przeciwniczka zamierza zrobić. Saga zaczęła biec.

— Saga! Uważaj, on cię goni! — krzyknął Viljar.

Spojrzała za siebie. Wisielec był tak zdenerwowany, że zapomniał stać się niewidzialny. Gnał jak burza, wyciągał swoje i tak niesamowicie długie nogi i wrzeszczał nieustannie.

Najwyraźniej nie brak i takich, którym nie spieszno do spokojnej mogiły! Powieszony nigdy przedtem nie miał tak wysokiej pozycji jak w Grastensholm, kiedy panował nad sporym oddziałkiem upiorów. Dobrze się z tym czuł i nie cheiał zmian.

Było już bardzo niedaleko wzniesienia, ale jednak jeszcze kawałek, a powieszony pędził z potworną szybkością. Saga biegła przez leżące odłogiem pole i krzyczała do Viljara, by się wystrzegał upiora. W krytycznej sytuacji może złapać Viljara jako zakładnika, żeby szantażować Sagę. Musiałaby wtedy ustąpić.

Nie miała czasu patczeć, co się dzieje z kuzynem, jej jedynym celem było wzniesienie, owo dawne szubieniczne wzgórze, o którym teraz już nikt nie pamiętał. Jeszcze kilka kroków... Ale powieszony zbliżał się nieustannie, słyszała tupot, czuła jego straszliwą złość. Gdyby przyszło co do czego, nie będzie miał litości. Żarty się skończyły, teraz gra toczy się o jego „życie”, jeśli można się tak wyrazić.

Stopy Sagi ledwo dotykały trawy porastającej wzniesienie, dosłownie płynęły ponad ziemią. Upiór dyszał iej w kark i nagle potwornie długie rarnię dotknęło jej barku. Saga bez tchu rzuciła się naprzód. Na szyi miała alraunę, ale ta nie mogła jej w niczym pomóc, tutaj potrzebny był krzyż.

Trzymała go mocno w wyciągniętej ręce, postać Ukrzyżowancgo kierowała ku ziemi. Wisielec potknął się i zatoczył, ale nie upadł. Jakby resztką sił rzucił się na Sagę, poczuła obrzydliwy smród od ramienia, które zaciskało się jej na szyi, i nagle wydarzenia potoczyły z zawrotną szybkością. Zdawało jej się, że słyszy jak dalekie nawoływania, które wiatr niesie od strony Grastensholm. Ci z szarego ludku, którzy tam jeszcze zostali, wołali do swojego przywódcy: „Nie ruszaj jej, nie ruszaj jej, ona jest śmiertelnie niebezpieczna!” Równocześnie wisielec otrzymał potężny cios i aż zawył z bólu. Upadł na ziemię, ryczał i wił się jak sieczony biczem wąż.

Saga starała się go przekrzyczeć:

— W imię Boga Ojca i Syna i Ducha, poświęcam ziemię i wszystko, co ona kryje. Moja osoba jest zbyt marna, by dokonywać poświęcenia, ale muszę to uczynić, zatem błagam Cię, Panie Boże, pomóż mi!

Przez cały czas trzymała krzyżyk skierowany ku ziemi.

Krzyk powieszonego stawał się coraz cieńszy, coraz bardziej piskliwy. Cała postać blakła, jakby wysychała, robiła się mniejsza i mniejsza, zawodziła żałośnie, aż w końcu z westchnieniem rezygnacji, a potem ulgi wsiąkła w ziemię.

Saga podniosła się z klęczek. Nogi się pod nią uginały, niepewnie schodziła ze wzniesienia ku polom.

Co to się stało? Coś czy ktoś wymierzył wisielcowi ten straszny cios, zanim ona zdążyła wypowiedzieć błogosławieństwo nad jego grobem i zmusić go do poddania się. Czy to krzyż sprawił? A może alrauna? A może fakt, że ona sama należy do wybranych...?

Żadne z tych przypuszczeń nie wydawało jej się prawdopodobne.

Viljar znowu szedł jej na spotkanie.

— O mój Boże, Sago — szepnął pobladłymi wargami. Więcej nie był w stanie wykrztusić.

Obok przemknęły z cichym szumem jakieś białe cienie i zniknęły w lesie.

— To maruderzy opuszczają dwór — wyjaśniła drżącym głosem, bo ostatnie przeżycia bardzo ją wyczerpały. — Teraz Grastensholm jest naprawdę wolne. Jutro pójdę do kościoła podziękować za pomoc.

Zatrzymali się przestraszeni. Od strony starej szlacheckiej siedziby słychać było głuchy łoskot. Wstrząsnął domem tak, że ściany się zachwiały, ale nie upadły. Wiedzieli jednak, że to już długo nie potrwa. Dach zakołysał się i runął do środka.

— Jakby dom na ciebie czekał — szepnął Viljar.

Saga nie była tego taka pewna.

— Ja sama zarwałam w jednym miejscu podłogę na strychu — wyjaśniła. — To mógł być śmiertelny cios dla całego budynku.

— Naprawdę byłaś na strychu? No tak, przyniosłaś przecież szkatułkę.

Wracali do Lipowej Alei. Saga wzięła od Viljara skrzyneczkę i oglądała ją uważnie.

— Możemy to otworzyć? — zapytał Viljar.

— Nie, dopiero w domu. Myślę, że Belinda i Henning powinni przy tym być.

— Dziękuję, że o nich pomyślałaś. Chcesz mi opowiedzieć, co się tam działo?

— Jeszcze nie teraz. Opiszę wszystko w księgach Ludzi Lodu i będziecie mogli przeczytać. Nie chciałabym o tym rozmawiać. To wszystko było... okropne!

— Rozumiem cię.

Wrócili do maleńkiej rodziny Viljara. Henning i Belinda witali ich wzruszeni, obejmowali Sagę i wszyscy cieszyli się, że koszmar dobiegł końca. Grastensholm było wolne, oni sami uratowani od nędzy.

W końcu wszyscy zgromadzili się wokół szkatułki.

— Jesteś pewna, że naprawdę kryje się tam jakaś tajemnica? — zapytał Viljar.

— Oczywiście — odparła Saga. — Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

— I szary ludek zgodził się ci to oddać?

— Ich to nie interesowało.

Z nabożnym skupieniem Viljar podniósł wieko.

Trzeba było sporo czasu, zanim pojęli, że te bardzo zniszczone kartki to dziennik Silje z Doliny Ludzi Lodu Jeszcze dłużej musieli się męczyć, nim zdołali odczytać niewyraźne pismo. Najwięcej czasu jednak potrzebowali na to, by zrozumieć istotę sprawy: że mianowicie na jednej z tych kartek znajduje się szczegółowy opis miejsca, w którym zostało zakopane naczynie Tengela Złego, zawierające wodę zła. Silje nie domyślała się, co takiego zobaczyła Sol. Opisała jednak miejsce z najdrobniejszymi szczegółami. I Kolgrim to zrozumiał. A także Tarjei. Dlatego obaj musieli umrzeć...

Później potomkowie Ludzi Lodu szukali tylko po omacku.

A teraz oni...

— Kim będzie ten, kto wyprawi się w góry? — zastanawiał się Henning.

— W każdym razie to nie ja — powiedziała Saga. — Ja nie otrzymałam wyjątkowej siły. Już właściwie w ogóle nie mam sił, żadnych. Jestem jedną z wybranych, ale miałam tylko oczyścić Grastensholm i odnaleźć ten dziennik.

— Myślę, że masz rację — rzekł Viljar. — Z powodu szarego ludku nasi przodkowie musieli wcześniej niż zamierzali znaleźć kogoś wybranego, żeby dziennik nie przepadł w zrujnowanym domu. I nie sądzę też, żeby któreś z nas trojga mogło wchodzić w rachubę, jeśli idzie o Dolinę Ludzi Lodu. Bogu niech będą za to dzięki!

— Musimy czekać — westchnęła Saga. — Teraz napiszę do Christera i Malin do Szwecji. Mój Boże, Viljar, jak niewiele nas zostało! Zaledwie pięcioro, to straszne! Musisz schować tę książeczkę w absolutnie pewnym miejscu.

— Schowam ją w tej ukrytej szafie, gdzie przechowujemy butelkę z wodą Shiry i znaleziska z Eldafjordu — poinformował krótko.

— Znakomicie. Niech tam dziennik czeka, dopóki nie narodzi się właściwa osoba. I żeby się to stało jak najszybciej!

— Amen — dodała Belinda.

W nocy Saga obudziła się, bo coś jej się śniło. Usiadła na łóżku i rozglądała się po swoim przytulnym pokoju. Była sama, ani śladu nikogo obcego.

Co to jej się śniło?

I czy to rzeczywiście był sen?

Jakaś przyjazna dusza stała przy jej łóżku i szeptała:

„Dziękuję ci, Sago! Dziękujemy ci wszyscy. Ale chyba rozumiesz, Sago z Ludzi Lodu, że wszystko poszło zbyt łatwo?”

„Tak” odparła. „Ja też tak uważam. Zbyt łatwo.

„Masz rację. Spodziewaliśmy śię, że będziesz musiała stoczyć o wiele cięższą walkę z szarymi. Martwimy się o ciebie. Bardzo się martwimy. Ale nic nie możemy zrobić, wiesz przecież.”

I właśnie wtedy się obudziła. Ale w pokoju nie było nikogo.

— Steinbrota? — dziwił się proboszcz. — Nie znam miejsca o takiej nazwie.

— To może być jakaś stara nazwa — tłumaczyła Saga, siedząc w pokoju na plebanii w towarzystwie rodziny Viljara.

Pastor przeglądał parafialne księgi.

— To mogłaby być jakaś komornicza zagroda — powiedział zamyślony.

Przyglądał się gościom przez grube okulary. Uważał zapewne, że przyszli tu w dość niezwykłej sprawie, ale też Grastensholm nie było zwyczajnym dworem. On sam też raz tam był, przeszedł przez bramę, ale natychmiast gwałtowny podmuch wiatru wyrzucił go z powrotem i pognał daleko na pola.

A oto teraz ta młoda kobieta ze Szwecji przepędziła upiory i przychodzi tu z prośbą o poświęcenie paru miejsc w parafii. Wszyscy czworo siedzący przed proboszczem są tacy pewni, tacy przekonani, że nie można im nie wierzyć.

— O, tutaj coś mam! — wykrzyknął proboszcz. — Stenbraten to znaczy to samo, co Steinbreta. Niech no zobaczę... Te stare zapisy nie tak łatwo odczytać... „Stenbraten, komornicza zagroda, należy do Grastensholm. Zburzona w roku 1499, po rodzinnej tragedii. Nigdy później nie zamieszkana, ludzie gadali, że w okolicy straszy...”

— No, to by się zgadzało — powiedział Viljar. — Ale gdzie to jest?

— To właśnie jest pytanie — westchnął proboszcz. — Ale poezekajcie, mamy przecież mapę parafii...

Znowu przez chwilę szukał w papierach, a potem wszyscy pochylili się nad stołem, na którym leżała mapa.

— Większość zagród komorniczych znajdowała się w lasach i na wzgórzach — wyjaśnił Viljar. — Tak jak Svanskogen czy zagroda Klausa i Rosy. Moja babcia Vinga powiedziałaby nam o tym sporo, ona znała wzgórza z czasów, kiedy sama mieszkała w lesie przez kilka lat. Ale i ja wędrowałem tam nie raz. I znam mnóstwo miejsc, gdzie są ślady dawnych zagród.

Wodził palcem po mapie.

— Tu, na przykład, są ślady po murach... Co tu jest napisane? „Odetj...” Nie, to nie to. Ale jest wiele innych na skraju lasów i wyżej.

— Tam! — wykrzyknął proboszcz wskazując palcem na górę mapy. — Tam, niedaleko od Svartskogen!

Saga czytała z wysiłkiem. Mapa była zniszczona, a wszystkie nazwy podawano w skrócie. „St. br.” Tak! To tam!

Pojechali w góry wszyscy jeszcze tego samego dnia, proboszcz zabrał święconą wodę, liturgiczne szaty i wszystko, co potrzebne do ceremonii. Liczyli się z tym, że nie odnajdą małych dziecięcych zwłok, może nawet nie ma już śladu obory, nie mówiąc o gnojowisku. Towarzyszył im kościelny, choć on odnosił się do całego przedsięwzięcia z najwyższą podejrzliwością. Nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi, i nie chciał rozumieć.

Odszukanie resztek zabudowań zajęło im bardzo wiele czasu. Na miejscu zagrody wyrosły wielkie drzewa. W końcu jednak ustalili, gdzie stał dom, proboszcz włożył ornat i w głębi gęstego lasu rozpoczęło się nabożeństwo. Saga uświadomiła sobie, że nigdy przedtem nie przeżyła czegoś równie smutnego a jednocześnie przepełnionego takim spokojem jak ta uroczystość, gdy stali wszysey w milczeniu, a w mrocznym lesie słychać było tylko śpiew kapłana.

Następna ceremonia miała się odbyć na cmentarzu, ale wtedy nieoczekiwanie kościelny wystąpił z protestami. Oświadczył, że nie pozwoli szukać szczątków nieszczęsnej kobiety, powinni zrozumieć, że to niemożliwe. I czy proboszcz zamierza poświęcić miejsca spoczynku wszystkich potępieńców? Kobieta była jawnogrzesznicą, musi ponicść karę. Czy ktoś może brać na swoje sumienie takie...?

— A czy pan, panie Olsen, weźmie na własne sumienie to, że odmówiono pomocy żałującej grzesznicy? — zapytał proboszez łagodnie. — Pan Jezus tak nie postępował i nauczał też inaczej. Ale może pan Olsen wie lepiej?

— Nie, oczywiście, że nie! Ale wszyscy pozostali...?

— Od lat się zastanawiałem, gdzie w dawnych czasach grzebano przestępców — powiedział proboszcz. — No i teraz wiemy. Nie możemy co prawda przenieść ich doczesnych szczątków na cmentarz, to byłoby za trudne, ale możemy poszerzyć cmentarz. Przyłączymy te zarośla, wytnie się stare, uschnięte jałowce...

I tak się stało. Proboszcz był dobrym i wyrozumiałym człowiekiem.

Postanowiono, że Grastensholm zostanie przejęte przez gminę. Za odpowiednią zapłatę, rzecz jasna. Zresztą parafia się już nie nazywała Grastensholm. Terytorium weszło w obręb dużego okręgu o nazwie Asker.

Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży dużego dworu rodzina Viljara będzie mogła stanąć na nogi. Doprowadzą do porządku Lipową Aleję i będą mogli skoncentrować się na tym gospodarstwie, którego nie chcieli stę pozbyć, mimo że osadnictwo o miejskim charakterze zbliżało się do nich coraz bardziej.

Ziemie należące do Grastensholm miały zostać podzielone i przyłączone do innych okolicznych dworów. Pewną część zachować miała, rzecz jasna, również Lipowa Aleja, która zresztą graniczyła zawsze z Grastensholm. Na miejscu zniszczonego przez szary ludek dworu postanowiono założyć park, bo, mimo zapewnień Ludzi Lodu, nikt nie cheiał się tam osiedlić. Łąki i nieużytki władze gminy przeznaczyły pod zabudowę.

Dawne szlacheckie gniazdo Grastensholm zostało zrównane z ziemią. Nie zostało nic, co mogłoby je przypominać. Nawet kościół otrzymał inną nazwę.

Lipowa Aleja była teraz niczym wyspa pośród nowych eleganekich willi.

Saga we wszystkim pomagała swoim krewnym, rada, że może się przydać. Sama jednak nie odczuwała żadnej radości życia. Zadanie zostało wypełnione. Czy miała do końca swoich dni żyć z pustką w duszy i tęsknotą w sercu? Widziała przed sobą nieskończenie wiele nieskończenie długich lat wypełnionych tęsknotą. Straszna wizja!

Trwało to kilka tygodni, aż któregoś dnia pod koniec lata wszystko odmieniło się gruntownie. Wtedy Saga zrozumiała, co się z nią naprawdę stało. Dlaczego tak łatwo jej poszło w Grastensholm. Dlaczego szary ludek się jej przestraszył. Dlaczego wisielec nie mógł jej bezkarnie dotknąć. I dlaczego wiedźma jej zazdrościła.

Teraz i ona wiedziała.

Saga spodziewała się dziecka. To nie jej, wybranej córki Ludzi Lodu, bały się i nie tylko ją czciły istoty z tamtego świata. Nie krzyż je do tego skłaniał i nie alrauna.

To dziecko, które w sobie nosiła. Bo ojcem dziecka był Lucyfer. Sam Anioł Ciemności.

Tego wieczora, kiedy uświadomiła sobie prawdę, długo siedziała na łóżku. Najpierw trwała w bezruchu, pozwalała, by ta nowina, ta pewność wypełniła ją, umocniła się. Potem wstała z radosnym, niecierpliwym, głośnym śmiechem. Wyciągała w górę ramiona, śmiała się i płakała na przemian ze szczęścia.

Nareszcie chciała żyć!

ROZDZIAŁ XIII

Saga zwierzyła się Belindzie, z którą bardza się zaprzyjaźniły.

Żona Viljara wpatrywała się w nią swoimi wielkimi dziecinnymi oczyma.

— Chce... Chcesz powiedzieć, że to ów mężczyzna, którego spotkałaś... w podróży?

— Tak, Belindo! — zawołała Saga rozpromieniana. — I zapewniam cię, że nie ma w tym nic nieprzyzwoitego, bo kochaliśmy się nawzajem tak, że nie przvpuszezałam, iż to jest w ogóle możliwe. Poza tym on wiedział, że mamy bardzo mało czasu, był już... śmiertelnie chory.

Belinda wcale nie uważała, że popełnili grzech, nie to dręczyło jej prostolinijną naturę.

— Byłaś przecież mężatką — rzekła zamyślona. — To znaczy, że mogłabyś wszystkim mówić, że to twój mąż jest ojcem dziecka. Wiesz, jacy ludzie bywają okrutni.

Saga skrzywiła się. Myśl o Lennarcie jako ojcu jej już tak bardzo kochanego dziecka sprawiła jej przykrość. Ale Belinda miała, oczywiście, rację.

— Na razie nie będziemy mówić nic — oświadezyła. — Dapóki ludzie sami nie zaczną pytać. A potem powiemy, że to mój mąż, nikt nie musi wiedzieć, jak było naprawdę.

Obie młode kobiety mówiły teraz tylko o dziecku, które miało się narodzić. Belinda stała się, jeśli to możliwe, jeszeze bardziej sympatyczna i troskliwa, a Saga interesowała się wszystkim jak nigdy przedtem. Mężezyźnizostali, rzecz jasna, poinformowani, ale oni nie pytali o szczegóły, cieszyli się po prostu szczęściem Sagi. Nikomu w rodzinie nawet do głowy nie przyszło, żeby robić jej jakieś wymówki.

Saga rozpoczęła nowe życie.

Viljar już wcześniej zaczął budować nowy dom mieszkalny w Lipowej Alei i w listopadzie rodzina magła się przeprowadzać. Wielu sąsiadów przyszło im pamagać. Zc srarego dumu przeniesiono wszystkie rodzinne klejnoty, jak na przykład witraż, który Benedykt Malarz zrobił kiedyś dla Silje, cztery portrety dzieci: Liv, Daga, Sol i Arego, namalowane przez Silje, skarb Ludzi Lodu, a także meble, które zabrano z Grastensholm, zanim szary ludek rozpanaszył się we dworze, oraz wszystkie własne meble i sprzęty domowe.

Nowy dom był większy i znacznie cieplejszy.

Viljar mógł się nareszcie cieszyć życiem. Najtrudniejsze lata mieli za sobą.

Przed Bożym Narodzeniem on i Belinda przyszli do Sagi z wielką prośbą. Chadziło u to, że przyrodni brat Viljara, Jolin, wrócił na Zachudnie Wybrzeże. Nie do Eldafjordu, co to, to nie, osiedlił się z rodziną w Jaeren, daleko na południe od Eldafjordu. Otóż Viljar i Belinda od dawna chcieli ich tam odwiedzić, nigdy jednak nie mieli ani za co, ani z kim zostawić domu. Czy nie mogliby pojechać teraz, na Nowy Rok? Wyjechaliby zaraz po świętach. Henning zostanie z Sagą. Chłopiec znakomicie sobie radzi z pracą w obejściu, sam umie wszystko zrobić, w każdym razie przez krótki okres ich nicobecności będzie pracował, przedtem nie chcieli go zostawiać, ale teraz, kiedy jest Saga...

Oczywiście, i Saga, i Henning zgodzili się na ich wyjazd. Chłopiec nie mógł im towarzyszyć, bo ktoś musiał się zajmować zwierzętami. Oboje z Sagą dadzą sobie radę i będzie im razem dobrze, zapewniali. Viljar i Belinda liczyli, że wróćą w początkach lutego, a przecież Saga oczekiwała dziecka nie weześniej niż w kwietniu. Mieli podróżować statkiem wzdłuż wybrzeża. Saga martwiła się co prawda, że o tej porze roku morska podróż może być niezbyt przyjemna, lecz uspokajali ją, że „Emma” jest solidnym statkiem i wiele razy pokonywała już tę trasę.

Najpierw jednak były święta.

Saga czuła się znakomicie. Cieszyła się bardzo na gwiazdkę spędzoną na wsi. Zaczynała też robić plany, jak urządzi sobie życie, gdy dziecko będzie już na świecie, gdzie zamieszka, bo przecież nie mogła na zawsze pozostać w Lipowej Alei, choć gospodarze serdecznie ją zapraszali.

I właśnie w same święta, podczas uroczystego obiadu, uświadomiła sobie coś, co powinna była wiedzżeć od dawna.

Siedziała przy stole i przygIądała się Henningowi, rozmawiającemu z ojcem. Jaki ten chłopiec jest prostolinijny i naturalny, doprawdy wspaniałe dziecko. Wkrótce ona sama będzie mieć pewnie takiego samego malca. Zaczęła wspominać Malin, swoją serdeczną przyjaciółkę z pokolenia Henninga. Ona też jest niezwykle sympatyczną, zrównoważoną osobą.

I nagle doznała szoku.

Zawsze traktowała prawie równą jej wiekiem Malin jako osobę ze swojego pokolenia. Ale to przecież nieprawda! Malin należała do generacji Henninga! Dwoje udanych, normalnych młodyeh ludzi.

W takim razie urodzi się jeszcze tylko jedno dziecko w tym pokoleniu, jej dziecko! Sagi!

Głęboko wciągnęła powietrze. Dziecko poruszało się w niej, w ogóle trzeba powiedzieć, że była to bardzo ruchliwa istota. Ale Saga czuła się znakomicie, nic w ogóle jej nie dolegało i pewnie dlatego tyle czasu minęło, nim sobie uśwuadomiła, że jest brzemienna. I tak długo trwało, zanim...

Teraz wszystko wydawało się inne. Groźne, a przyszłość budziła trwogę.

— Co się stało, Sago? — zapytał Viljar. — Źle się czujesz?

— Nie, nic mi nie jest. Uświadamiłam sobie tylko bardzo naturalną sprawę. Chodzi o moje dziecko.

Zaległa cisza.

W końcu Viljar powiedział:

— Już się nawet zastanawialiśmy z Belindą, jak możesz być taka spakojna. Ale musisz pamiętać, że twoja matka, Anna Maria, była dokładnie w takiej samej sytuacji. Ona także wiedziała, że musi urodzić dziecko dotknięte, bo była w swoim pokoleniu ostatnia. Ale pragnęła dziecka, bardzo chciała je mieć.

— Och, ja także bardzo chcę! Tylko po prostu tak mi go strasznie żal. Że będzie skazane na taki los!

— Ale przecież ty byłaś dla swoich rodziców samą radością, czyż nie?

Bo ja należę do wybranych!

— Dlaczego nie miałoby tak samo być z twoim dzieckiem? Musisz jednak zrozurnieć, że do rozwiązania powinnaś mieszkać u nas, a i potem pewnie jeszcze przez co najmniej kilka lat.

— Tak, rozumiem. I dziękuję wam! Teraz to ja potrzebuję waszej pomocy.

— Jeśli tylko możemy odpłacić ci się za wszystko, zrobimy to z największą radośćśą. I zapewnimy ci najlepszą opiekę lekarską. Wiesz, ostatnio tak wiele się zmieniło w sposobach leczenia, cesarskie cięcia i inne możliwości.

Saga uśmiechnęła się.

— O swoje życie się nie lękam. Tylko tak strasznie bym chciała sama wychowywać moje dziecko. Patrzeć, jak rośnie.

— Nie ma powodu, żeby było inaczej.

Mimo to niepokój przyćmił jej radość. Marcel nie zasłużył sobie na to, by mu urodziła dziecko obciążone dziedzictwem. Wybrał nieodpowiednmą kobietę.

Nie, tak nie wolno myśleć! Nikt nie umiałby kochać czarnego anioła tak gorąco jak ona.

Viljar i Belinda wyjechali i Saga została sama z Henningiem.

Bardzo się oboje ze sobą zaprzyjaźnili, myśleli o wielu sprawach podobnie, wciąż mieli sobie tyle do powiedzenia. Saga bardzo się przywiązała do synka Viljara i Belindy.

Już dawno napisała do Malin, córki Christera, i przekazała radosną nowinę, nie wspomniała jednak, kim naprawdę jest ojciec dziecka. Malin odpisała, serdecznie gratulowała Sadze i pytała, czy nie powinna przyjechać do Norwegii, żeby jej pomóc. Prawdopodobnie ona także myślała o ryzyku, że dziecko może być obciążone dziedzictwem.

Ale Saga nie uważała, że przyjazd Malin jest niezbędny. Mogła przecież liczyć na Belindę. Malin skończyła szkołę pielęgniarską w Ersta i nie wiedziała jeszcze, gdzie będzie mogła wykorzystać zdobytą wiedzę. Saga napisała, że z największą radością zobaczyłaby znowu kuzynkę i serdeczną przyjaciółkę, więc może jednak Malin niedługo odwiedzi Norwegię?

Oboje z Henningiem współdziałali ze sobą w największej zgodzie. On, prawie jak dorosły mężczyzna, ciężko pracował w stajni i w oborze, ona wzięła na siebie obowiązki domowe. Czuła się dobrze, była zdrowa i silna, doktor był z niej zadowolony.

Pewnego dnia jednak podczas badania doktor dziwnie się zamyślił. To, co na koniec powiedział, wprawiło Sagę w popłoch:

— Wydaje mi się, że to będą bliźnięta, Sago. Pewien, oczywiście, nie jestem, ale tak to wygląda.

Cóź, nawet jeśli początkowo był to dla niej szok, to z czasem pojawiła się też radość. Dwoje maleńkich dzieci, nieźle jak na Ludzi Lodu! Ród bardzo potrzebuje licznego potomstwa, jeśli nie ma wygasnąć.

Henning także uznał, że to wspaniała nowina, chociaż sprawiał wrażenie trochę tym wszystkim oszołomionego. Miał jedenaście lat i świat kobiet był dla niego czymś całkowicie nieznanym.

W końcu stycznia dostali list od Belindy. Chorowita małżonka Julina bardzo ostatnio zapadła na zdrowiu, ale jest nadzieja na poprawę. Czy mogliby zustać z nią jeszeze miesiąc?

Saga i Henning odpowiedzieli wielkodusznie, że, oezywiśtie, w domu wszystko w porządku, radzą sobie znakomicie, uprzędli nawet wełnę, a Henning naciął w lesie drzewa, rodzice nie muszą się o nic martwić.

Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, Viljarowi i Belindzie także nie, że bliźnięta często rodzą się przed terminem.

Zima mijała bez problemów. Saga nigdy przedtem nie była taka radosna, tak pełna oczekiwań, a jej wspaniały humor udzielał się też Henningowi. Za dnia pracowali ciężko, a wieczorami siadywali zwykle nad jakąś grą albo po prostu rozmawiali. Saga przygotowywała się na przyjęcie dzieci, szyła, robiła na drutach, a Henning zrobił dziecinne łóżeczko, może trochę niezdarne, ale szerokie na wypadek, gdyby to naprawdę miały być dwojaczki.

Nadszedł marzec z ciepłymi wiatrami, które stopiły zimowe śniegi. Podwórze zostało czysto wysprzątane ze wszystkiego, o czym się zapomina jesienią, a co w wiosennym słońcu ukazuje się jak wyrzut sumienia.

— Jutro statek ma zawinąć do Horten — powiedziała któregoś ranka Saga.

— Moglibyśmy wyjechać im na spotkanie? — zapytał Henning.

Saga wahała się chwilę.

— Może nie warto...

— Oczywiście, że nie. Nie powinnaś się oddalać od domu w twoim stanie. Kiedy oni mogą być w domu?

— W... czwartek. Albo w piątek.

Z nową energią zabrali się do sprzątania i upiększania domu na powitanie rodziców.

Henning w każdej wolnej chwili tkwił przy oknie, zarówno we czwartek, jak i w piątek, ciągle biegał do bramy, żeby popatrzeć na drogę. Ale nikt nie nadjeżdżał. Stare, uschłe lipy w alei nie były w stanie ukryć faktu, że droga jest kompletnie pusta.

W niedzielę wieczorem Saga powiedziała z pozoru lekkim tonem, żeby rozproszyć przygnębienie:

— Jutro rano pojedziemy. Nie możemy się z nimi rozminąć po drodze, więc prędzej czy później się spotkamy.

Henning podskoczył z radości.

— Jedźmy! Line z Eikeby dojrzy inwentarza, już do niej lecę!

— Idź!

Żadne nie okazywało otwarcie niepokoju, ale chcieli coś robić, musieli działać, nie mogli po prostu tak siedzieć i czekać.

W poniedziałek rano wyruszyli dwukółką zaprzężoną w jednego konia. Wicher, który wiał przez cały tydzień, ucichł, powietrze było jak na tę porę roku ciepłe. Wyraźny powiew wiosny.

Pn drodze trudno im było skupić się na rozmowie. Oboje wypatrywali, czy w oddali nie ukaże się pocztowy dyliżans, którym rodzice Henninga mieli wracać.

Droga jednak wciąż była rozpaczliwie pusta. Oczywiście spotykali od czasu do czasu jakieś wozy, ale nie ich oczekiwali.

Nareszcie!

— Tam! — krzyknął Henning. — Tam jedzie dyliżans!

— Dzięki ci, dobry Boże — mruknęła Saga.

Ale w dyliżansie nie było pasażerów z Lipowej Alei. Twarz Henninga zrobiła się szara. Saga poczuła się tak, jakby ciężki kamień przygniótł jej piersi.

— Oni mieli wsiadać w Horten. W środę mieli tam przypłynąć na parowcu „Emma”. Czy statek nie przyszedł?

Nie, nikt z pasażerów nic na ten temat nie wiedział.

Ale woźnica miał informacje. „Emma” jeszcze nie przyszła, oświadczył krótko, jest oczekiwana dosłownie w każdej chwili. Możliwe, że schroniła się przed sztormem w innym porcie.

Podziękowali i dyliżans pojechał dalej.

Po długim, długim milezeniu Saga zdecydowała:

— Skoro jesteśmy tak blisko Horten...

— O, tak! — zawołał Henning pospiesznie, ale głos miał jak martwy. Saga objęła dziecinne ramiona, a on przytulił się do niej szukając opieki. Bezskutecznie starała się znaleźć jakieś słowa pociechy. Co mogła mu powiedzieć? Co więcej ponad to, co już zostało powiedziane?

Na nabrzeżu w Horten otrzymali miażdżący cios: „Emma” zaginęła. Na odcinku pomiędzy Arendal i Tvedestrand złapał ją sztorm i przepadła. Nikt nie wie nic pewnego, ale jak sobie uświadomić, że przeklęte Malen jest właśnie tam, to...

— Co to jest Malen? — zapytał Henning żałośnie cieniutkim głosikiem.

No, otóż Malen to miejsce przy brzegu, gdzie na dnie zalegają rumowiska wygładzonych przez wodę kamieni, wyjaśnił kapitan portu. To wyjątkowo niebezpieczna okolica, ponieważ kamienie nie leżą bez ruchu. Przesuwają się nieustannie i ta niezwykła lawica wciąż zmienia pozycję. Kamienie leżą płasko na dnie, tak że na powierzchni niczego nie widać. Malen to zdecydowanie największe w Norwegii cmentarzysko okrętów; całkiem niedawno rozbił się w pobliżu statek niewolniczy.

Wyjaśnienia raczej nie dodały im otuchy.

— Jedziemy tam! — zawołał Henning.

— Nie powinniście tego robić — przestrzegł kapitan. — Teraz wiele statków i łodzi prowadzi tam poszukiwania, a z lądu nie można nikomu pomóc. Kiedy „Emma” mijała Malen, wiał wiatr od lądu.

Henning długo przełykał ślinę.

— Czy możemy tutaj czekać?

— Powinniśmy chyba wracać do domu — powiedziała Saga pospiesznie. Była blada jak ściana. — Line nie może zajmować się naszymi zwierzętami dłużej, niż obiecała.

Nie powiedziała, co niepokoi ją najbardziej. Że mianowicie nie czuje się najlepiej po przeżytym szoku. A poza tym wytrzęsło ją porządnie po drodze, najwyraźniej jej to nie posłużyło.

— Natychmiast wracamy, Henning. Tutaj jest nasz adres, panie kapitanie. Proszę dać nam znać, jak tylko będzie pan coś wiedział! To chodzi o rodziców tego chłopca.

Kapitan skinął głową.

— Na pewno państwa zawiadomię. Mamy tu wielu oczekujących, którzy mieszkają w hotelu. Ale myślę, że powinniście wracać — zakończył spoglądając na Sagę. — Wygląda pani na bardzo zmęczoną, w pani stanie...

— Tak — przyznała Saga. — Powinniśmy jechać do domu.

Najszybciej jak to możliwe, pomyślała. Co prawda zostały mi jeszeze trzy tygodnie, więc chyba nie ma niebezpieczeństwa, ale chciałabym być w domu. Pod opieką mojego lekarza. Tutaj nikt nic nie wie o przekleństwie ciążącym na Ludziach Lodu.

Kiedy wychodzili z biura kapitana, Henning tak mocno ściskał jej rękę, że traciła czucie w palcach. Ale odpowiadała mu także uściskiem, bo wiedziała, co chłopiec teraz przeżywa.

Taki jeszeze mały! Ona sama czuła nieznośne ssanie w piersiach i w żołądku. Belinda! To najlepsze pod słońcem drobne stworzenie, od urodzenia żle traktowane przez najbliższych, które nareszcie znalazło bezpicezną przystań u Viljara, gdzie znaczyła tak wiele, i dla niego, i dla ich ukochanego synka. I Viljar, który właśnie zaprowadził ład w swoim życiu!

Nie, Boże kochany, jeśli jest na świecie sprawiedliwość, to spraw, żeby im się nic złego nie stało! Należę do tych niewielu wśród Ludzi Lodu, którzy w Ciebie wierzą. Ale zaprawdę, nie ułatwiasz mi zadania! Czy to są próby, to czym nas doświadczasz? Naprawdę poddajesz próbie naszą wiarę w Ciebie? W takim razie Marcel miał rację, kiedy mówił, że to postawa mściwego, małostkowego bożka, zapatrzonego tylko we własną wielkość.

Ale ja nie wierzę, że jesteś taki. Nie wierzę, że zechcesz zadać taki ból temu dziecku!

Gdyby... Gdyby jednak stało się najgorsze... to obiecuję, że go nie opuszczę. Będę dla niego jak matka, będę go kochać tak samo jak własne dzieci. To wcale nie jest wymuszona obietnica, bo trudno byłoby znaleźć dziecko bardziej niż on godne kochania.

Ach, Henning, że też to się musiało stać! Czy już nie dosyć miałeś zmartwień i strachu o ojca, który sobie nie dawał rady z losem, z potwornym cieniem, jaki na wasze życie rzucało Grastensholm, i z powodu niechęci sąsiadów? Czy nie zasłużyłeś sobie na nagrodę za twoją niezłomną lojalność wobec ojca? A tymczasem spada na ciebie kolejne nieszczęście. Za co ta kara?

Objęła go mocno i zapewniała, że wszystko skończy się dobrze. Są przecież razem i Saga nie opuści go, dopóki rodzice nie wrócą.

Spokojne słowa pomogły mu, usłyszała, że odetchnął lżej.

Gdy tylko koń odpoczął trochę i pojadł siana, mogli ruszać. Wiedzieli, że przyjadą do domu późno, w środku nocy, ale trudno. Teraz oboje tęsknili do bezpiecznych czterech ścian.

Przez co najmniej dziesięć pierwszych kilometrów jechali w milczeniu. Żadne nie było w stanie nic mówić. Saga rozpaczliwie starała się myśleć o czym innym, próbowała koncentrować się na dziecku, a raezej na dzieciach, które miały się urodzić.

Jaka szkoda, że nie będziesz mógł ich zobaczyć, Lucyferze, powtarzała w duchu. Tak mi przykro z tego powodu! Ale poza tym to myśl o nich przepełnia mnie trudnym do opisania szczęściem. Dziękuję ci za nie, najdroższy. Dziękuję! To mi dało nową siłę. Zrobię dla nich wszystko, wszystko!

W końcu powiedziała do odrętwiałego Henninga:

— Statek nie zośtał odnaleziony, pamiętaj o tym! Nie znaleziono najmniejszego śladu. Musimy to użnać za dobry znak. Może ster mają uszkodzony, albo co innego, i statek zaczął dryfować? Jest teraz gdzieś na morzu. A sztorm przecież ustał i mnóstwo kutrów i łodzi wyruszyło na poszukiwania.

Skinął głową bez słowa. Siedział sztywny i patrzył przed siebie. Po chwili usłyszała, jak szepnął cicho:

— Mógł nam nie opowiadać o tym jakimś Malen.

Saga mówiła dalej spokojnym głosem:

— A może twoi rodzice wcale jeszcze nie wyjechali od Jolina? Zobaczysz, niedługo dostaniemy list, że musieli jeszcze trochę zostać. To bardzo możliwe.

— Tak — potwierdził Henning. — Ja nie chcę myśleć o niczym strasznym, bo jestem pewien, że mama i tata żyją. Oni nie mogą umrzeć, wiesz. Nie mogą, jeszcze nie. Ale mimo to okropnie przykro jest tak czekać i bać się, prawda?

— I nie wiedzieć, jak jest naprawdę? Tak, to straszne. Niepewność jest najgorsza ze wszystkiego.

W tym momencie ostry ból przeszył ją w okolicy krzyża. Aż musiała zacisnąć zęby.

To nic, nic takiego, myślała, zacinając konia.

Jechali przez bezludną okolicę i Saga wiedziała, że będzie tak jeszcze długo. Ale przecież nie ma żadnego niebezpśeczeństwa, nic jej nie grozi, to jeszcze trzy tygodnie, uspokajała sama siebie. To tylko napomnienie, że nie powinnam była wybierać się w tę podróż.

Ale co miała zrobić? Spokój Henninga też był ważny

Chłopiec był zmęczony.

— Usiądź wygodnie i spróbuj się zdrzernnąć — powiedziała serdecznie.

On jednak wyprostował się natychmiast.

— Nie, nie, muszę czuwać. Tata i mama...

Saga rozumiała go dobrze.

W dziesięć minut po pierwszym bólu przyszedł następny. Tak silny, że zgięła się wpół.

Henning był przerażony.

— Masz boleści, Saga?

— Ufam, że to nic groźnego — powiedziała, oddychając głęboko. — Przecież nie mogę sobie tu na nic pozwolić! Co byś ty powiedział, a poza tym umarłabym ze wstydu — próbowała żartować.

Chłopiec uśmiechał się niepewnie.

Ale po trzech kwadransach oboje wiedzieli, na co się zanosi. Saga kurczowo ściskała rękę Henninga.

— Nie bój się, Sago — uspokajał ją dzielnie. Teraz on powoził. — Ja cię nie zawiodę. Zawsze byłaś dla nas taka dobra, a ja kiedyś odbierałem prosięta i...

— Dziękuję ci — szeptała zdesperowana. — Och, żeby już dojechać do jakiegoś domu! To już trudno, niech obcy zobaczą dotknięte dziecko, rozpaczliwie potrzebujemy pomocy!

— Jeszeze bardzo długo nie będzie tu żadnych zabudowań — szepnął zmartwiony Henning. — Saga! Saga?

— Myślę, że musimy się zatrzymać — jęczała. — Henning, co my zrobimy?

Henning rozglądał się spłoszony. Zapadał już mrok, ale jeszeze nie na tyle, by nie mógł widzieć otoczenia. Kompletne bezludzie w głębi lasów, nigdzie śladu żywej duszy. Tylko niebo jarzyło się jeszcze płomienistą zorzą zachodu.

Ziemia pod drzewami była nierówna, pełna kamieni.

— Zostaniesz tutaj, połóż się na siedzeniu!

Jedenaście lat...

Saga nie chciała okazywać, jak bardzo krępuje ją ta sytuacja.

— Och, Henning — skarżyła się. — Dzięki Bogu, że mam ciebie! Jeśli uważasz, że to nieprzyjemne...

Henning poczul się nagle bardzo dorosły.

— Damy sobie radę, zobaczysz!

— Ale ja tu nie mam żadnych ubranek dla dzieci.

— Chyba będziesz musiał poświęcić swoją chustę. A poża tym mamy przecicż derki.

— To prawda. Henning, ty sobie zdajesz sprawę, że to może być dwoje?

— Tak, słyszałem o tym.

— Tylko pamiętaj, żebyś któregoś nic zgubił — uśmiechała się żałośnie.

— Och, nie bój się! Możesz na mnie polegać.

— Oczywiście, Henning, wem o tym — szepnęła serdecznie. — Myślę, że powinniśmy jednak jechać dalej. Im bliżej Lipowej Alei, tym lepiej. Będziemy się zatrzymywać, kiedy bóle się nasilą, dobrze?

— Jasne. Powiedz tylko, a zaraz staniemy.

Uścisnęła jego rękę z wdzięcznością. Nie położyła się. Wolala siedzieć.

Chłopiec był całkiem sztywny z przerażenia i niepewności. Był z tego przynajmniej taki pożytek, że nie miał czasu myśleć o rodzicach. Ale jednego obojc byli świadomi: To najtrudniejszy dzień w życiu Henninga Linda z Ludzi Lodu!

ROZDZIAŁ XIV

Mieli już za sobą wiele przystanków.

— Henning, jeśli uważasz, że to dla ciebie zbyt trudne, to może idź się trochę przejść. Spróbuję sama dać sobie radę.

— Nie, no coś ty! Jak to sama? — zaprotestował przestraszony. — Wiesz, ja byłem wiele razy... i odbierałem... no, różne zwierzęta, chodzi o to, że wiem, jak to trzeba... Z pępowiną i w ogóle.

Saga uśmiechała się i starała się wytłumaczyć, co i jak ma robić. Wszystko było takie okropnie prowizoryczne!

Była mu, oczywiście, bardzo wdzięczna, że chce jej pomagać. W przeciwnym razie czułaby się strasznie opuszczona. Dzieci nie mają ojca, ona nie ma ani rodziców, ani rodzeństwa. A tak to przynajmniej jest ich dwoje. Jeśli z Viljarem i Belindą stało się najgorsze, a chyba trzeba będzie spojrzeć prawdzie w oczy, to ona i Henning mieć będą tylko siebie.

Muszą trzymać się razem.

Bóle stawały się coraz trudniejsze do zniesienia. Tak straszne, że budząca grozę myśl już prawie Sagi nie opuszczała. Jeśli urodzi jedno z najbardziej obciążonych przekleństwem... Jedno z tych strasznych, o szerokich, spiczastych barkach...

Matka Tengela Dobrego zmarła przy jego urodzeniu. Podobnie Sunniva, kiedy wydała Kolgrima na świat. Matka Ulvhedina, Mara... i Heikego.

Nie, nie wolno teraz o tym myśleć. Ona musi przeżyć! Dla dzieci Lucyfera. I dla małego Henninga.

Przecież wiele innych kobiet z Ludzi Lodu urodziło dzieci dotknięte i nawet tego nie zauważyły. Jak Gunilla, kiedy urodziła Tulę, albo Gabriella. Ona wydała na świat zniekształcaną córeczkę, której świadomie pozwolono umrzeć, zanim zdążyła złapać pierwszy haust powietrza. Czy też matka Solvego... Inne kobiety rodziły dzieci wybrane. Dlaczego więc Saga nie miałaby wyjść z tego obronną ręką?

Oczywiście, że wszystko pójdzie dobrze! Musi iść dobrze!

Zanosiło się na szybki poród, świadczyły o tym coraz krótsze przerwy pomiędzy kolejnymi atakami bólów. Skurcze następowaly jeden po drugim.

Szybki poród zawsze oznacza większe krwawienie.

Och, nie, trzeba zachować optymizm! Mieć nadzieję. Zaraz będą w domu.

Saga nie traciła wiary, przekonana, że wszystko się ułoży.

Zdaje się, że mijali jakieś domostwo, ale pewności nie mieli, nie widzieli świateł w oknach, ludzie poszli już spać. Ale marcowe wieczory są długie, wciąż jeszcze dostrzegało się nalbliższe otoczenie. Żadnych podróżnych nie spotykali, o tej porze doby wszyscy wrócili już do domów. Może to nawet lepiej. Nie każdy chciałby pomagać przy porodzie.

— Henning — szepnęła Saga w chwili przerwy między bólami. — Nikt ci nigdy nie powiedział, kto jest ojcem dziecka.

— Nie — przyznał skrępowany.

— Myślę, że powinieneś wiedzieć. Rozmawialiśmy już o tym, że według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie to dziecko dotknięte, prawda?

— Tak. O tym wiem.

— Henning, ty mi na pewno nie uwierzysz, ale wiesz, dlaczego nigdy nie wspominałam o tym, kim jest ojciec dziecka? Dlatego, że to jest anioł.

Patrzył na nią zdumiony.

— Żartujesz ze mnie?

— Nie, Boże broń. To jest Lucyfer. Upadły anioł światłości. Spotkałam go na pustkowiach i staliśmy się sobie... bardzo, bardzo bliscy. Było nam tak cudownie razem, spędziliśmy kilka dni, ale on musiał opuścić Ziemię i wrcicić dn swojej otchłani. Dlatego chciałabym cię prosić, żebyś nigdy nikomu nie wspominał, kim jest ojciec tego dziecka. Ale nie mów też, że był nim Lennart, mój były mąż, bo nic chcę, żeby on był łączony z dzieckiem Lucyfera. Mów po prostu, że nie wiesz, nie masz pojęcia o niczym!

Henning patrzył na nią bardzo zmartwiony. Czy Saga ma gorączkę i zaczyna bredzić? To niedobrze. Ale obiecał żc nikomu nic nie powie.

Znowu musieli się zatrzymać. Oboje zdawali sobie sprawę, że czas się zbliża.

Kiedy ucichł kolejny skurcz, Saga przez chwilę oddychała ciężko, a potem wyjęła ze swojej torebki papier i ołówek. Poprosiła Henninga, żeby na razie nie jechał dalej.

— Wiesz, Henning, ja naprawdę wierzę, że dam sobie z tym radę... że przeżyję. Ale gdyby sprawy miały się potoczyć źle... Na wszelki wypadek spiszę testament. Chciałabym, żeby wszystko, co mam, zostało podzielone pomiędzy cicbie i moje dziecko czy moje dzieci. Wiesz, musimy spojrzeć prawdzie w oczy, pomyśleć, że gdybyś został sam... Wiem, że to straszne tak mówić, ale takie jest życie. Ty dostaniesz trzecią część majątku, niezależnie od tego, czy urodzę dwoje dzieci, czy jedno. Gdybyś musiał zostać sam, Henning, to napisz do Malin! Masz adres Christera i Malin prawda?

— Mam — odparł Henning drżącymi wargami. — Ale...

— Ja naprawdę nie zamierzam umierać — zapewniła Saga i dała mu lekkiego kuksańca w bok. — Ale musimy być przygotowani na wszelkie ewentualności, prawda? Malin chciała przyjechać, żeby mi pomóc. Poproś ją teraz, gdybyś miał... kłopoty. W takim razie jednak powinieneś swoją część majątku podzielić między siebie i Malin. Będziesz wtedy musiał wziąć na swoje barki naprawdę wielką odpowiedzialność. Jeśli będzie niedobrze, ze mną i z twoimi rodzicami, moje dzieci będą musiały zostać z tobą.

Chłopiec przełykał ślinę. Po raz pierwszy widziała w jego oczach łzy.

— Ja nie chcę, żebyś umarła, Sago!

— Wiesz przeeicż, że nie umrę!

Skinął głową.

— Obiecuję ci, że zaopiekuję się... I napiszę do Malin.

— Dobrze! Ona przyjedzie niezwłocznie, jestem pewna. I nie mówmy już o tym więcej. Testament jest w torebce, a teraz jedźmy dalej!

Ledwo jednak ruszyli, a już musieli się zatrzymać. I teraz sprawa wyglądała poważnie. Oboje zdawali sobie sprawę z tego, że dwukółka jest zbyt mała. Henning rozłożył na ziemi obszerny płaszez Sagi i pomógł jej zejść. W tej okolicy leśne poszycie było równiejsze, porośnięte trawą, zmarzniętą i suchą, rzecz jasna, ale mogło być gorzej. Las był tu rzadki, pomiędzy wysokimi sosnami rosły wrzosy.

Saga traciła poczucie czasu i miejsca, cierpiała strasznie, nigdy by nie przypuszezała, że można cierpieć aż tak. Świat wirował jej w oczach.

— Zaraz się zacznie — jęknął Henning żałośnie.

— Przygotowałeś chustę? I moje nożyczki do paznokci? — wykrztusiła Saga.

— Wszystko gotowe. Oj, jakie czarne włoski!

Saga uśmiechnęła się blado, udręczona bólami. Dziecko rodziło się bardzo szybko.

Henning nie widział, czy Saga bardzo krwawi. Chwycił maleństwo i uniósł je wysoko, tak jak się tego nauczył przy zwierzętach, i dał mu lekkiego klapsa.

W spokojnym lesie rozległo się słabe, ale wyraźne kwilenie. Koń zarżał cicho.

— To chłopczyk — oznajmił Henning. — A jaki śliczny! Nigdy bym nie pomyślał, że noworodek może być taki śliczny!

Saga powstrzymała się, żeby nie zapytać, czy dziecko ma skrzydła. Wcale tego nie oczekiwała, ale musiała się uśmiechnąć do siebie, że taka myśl przyszła jej do głowy.

— Otuliłem go chustą — donosił Henning. — Wszystko poszło znakomicie.

— Czy on ma ciemną skórę? — zapytała z wysiłkiem, jakby nie miała już sił.

— No, może trochę bardziej niż zwykłe dzieci. Ale niespecjalnie...

Saga badała swój brzuch.

— Henning, jest jeszcze jedno.

— Tak, wiem. Chcesz go zobaczyć? Tego pierwszego?

— Och, tak!

Sama była zdumiona, jak niezwykle piękny jest ten synek. I bardzo podobny do ojca. Do niej zresztą też, bo przecież Marcel i ona nie różnili się od siebie za bardzo.

— Chciałabym, żeby on miał na imię Marco — wyjąkała z trudem. — Marco, pisane przez „c”, bo jego oiciec nazywał się Marcel, wiesz, w czasie swojej ziemskiej wędrówki. To trochę obco brzmi dla nordyckich uszu. Marco będzie lepiej.

Ciało Sagi znowu wygięła się w strasznym bólu. No, teraz zaczyna się najgorsze, pomyślała. Nie mogła powstrzymać przejmującego krzyku, który niósł się daleko, daleko po lesie.

— Henning! Henning! Ja tego nie zniosę, o mój Boże, Hennang, ze mną jest źle!

Nie mogło już ulegać wątpliwości, co się z nią dzieje. Miało się urodzić dziecko dotknięte dziedzictwem zła.

Bóle zelżaly na moment.

— Henning... Skarb Ludzi Lodu... on...

Nie mogła powiedzieć nic więcej. Miała wrażenie, że jakaś straszna siła rozrywa jej ciało na kawałki. Henning krzyczał rozpaczliwie, ale jej nie opuścił, pomagał, jak mógł, i w końcu wyciągnął drugie dziecko.

— Ty krwawisz, Sago! Och, ratunku! Jaki straszny krwotok, co robić, żeby go zatamować?

— Nie, nie bierz derki — wyszeptała blada jak ściana. — Musisz ją mieć dla dzieci.

Moje dzieci! Ja nie chcę, nie chcę ich opuszczać, nie mogę!

— Och, jaki on okropny — jęczał Henning. — Jak on potwornie wygląda!

Dwóch synów. Jeden urodziwy jak ojciec, drugi obciążony.

Jak mogłaby opuścić dwoje takich maleństw?

Saga musiała zebrać wszystkie siły, by wydobyć z siebie głos. Świat wokół niej się kręcił, widziała niewyraźnie.

— Skarb Ludzi Lodu... Powinien go dostać ten obciążony. Jeśli nie będzie bardzo zły, rzecz jasna. Ale myślę, że nie będzie. I traktuj go dobrze, Henning. On i tak będzie miał trudne życie. Powinien mieć na imię..

Siły ją opuszczały.

— Mój ojcicc, Kol, w rzeczywistości miał na imię Guillaume. Ale dziecka nie można tak nazwać... tutaj, w Norwegii. William także nie, choć to to samo imię. Też dla Ludzi Lodu brzmi zbyt obco, chuciaż przypominałoby to Viljara, twojego ojca, nie, nie. Daj mu na imię Ulvar, na pamiątkę Ulvhedina! I, Henning, nie rozdzielaj ich! To bracia!

Henning szlochał głośno i starał się opatulić w derkę drugiego chłopca. Nie miał już odwagi spoglądać na Sagę, próbował swoim szalikiem powstrzymać strumień krwi, ale bez powodzenia.

Natomiast alraunę, Henning, weź ty. Ona będzie cię ochraniać. O Boie, dopomóż mi! Myślę, że będziesz jej potrzebował!

Te ostatnie słowa były już ledwo dosłyszalne. Sadze pociemniało w oczach. Ktoś przestraszony pochylał się nad nią. Duchy... One wiedzą, że ja umieram.

Dziceko leżało utulone w wełnianą derkę.

— Mogę jego też zobaczyć? — wyszeptała.

Henning uniósł maleństwo. Serce Sagi skurczyło się z bólu. Raz w życiu widziała Heikego. Ale ten malec był dużo ciężej dotknięty.

— Syneczku mój — szeptała, ledwie mogąc poruszać wargami. — Mój biedny, mały syneczku! Henning, musisz rozwodnić mleko... Podgrzać je trochę...

— Saga! Saga! Nie umieraj!

Już nie mogła mu odpowiedzieć.

Pogrążony w bezgranicznej rozpaćzy Henning myślał początkowo, że widzi i słyszy rzeczy, które nie mogą hyć prawdziwe. Że szumi mu w głowie od tego strasznego napięcia i przerażenia.

Ale dźwięk się nasilał... I czyż las nie rozjaśnił się jakimś niezwykłym światłem? Migotliwą, błękitną poświatą, której przedtem nie było? I ten dźwięk. Przypominający ciężkie uderzenia skrzydeł jakichś ptaków, które nie mogą istnieć, bo musiałyby być ogromne.

Chłopiec drgnął. Ktoś chodził po lesie. Teraz zatrzymał się niedaleko nich, wśtód sosen. Dwie ciemne sylwetki otoczone tym wspaniałym błękitnym blaskiem.

Szum skrzydeł ustał.

Chłopiec stał i patrzył. Nie wydobył z siebie ani słowa, i nie był w stanie się poruszyć.

Nieznajomi podeszli bliżej. Anioły? Czarne anioły!

— Czy ona umarła? — zapytał cicho.

Bo czasami aniołowie zabierają do nieba dobrych ludzi po śmierci, tak jest napisane w Biblii. A czy był na świecie ktoś lepszy niż Saga?

Ale czy anioły nie powinny być białe?

— Nie, nie umarła — odpowiedział z uśmiechem jeden z przybyłych. — Ale umarłaby, gdybyśmy jej nie zabrali ze sobą. Nasz pan wysłał nas tutaj, byśmy przynieśli mu tę, którą wybrał. A zatem ona musi cię teraz opuścić, Henningu z Ludzi Lodu. Ale będzie bardzo szezęśliwa, pamiętaj o tym!

Saga otworzyła oczy.

— Więc on nie jest sam w otchłani — szepnęła. — A kim wy jesteście? Dżinnami?

— Możesz nas tak nazywać — uśmiechali się. — Trzeba ci wiedzieć, że liczny orszak towarzyszył naszemu władcy, Lucyferowi, kiedy opuszczał niebo. On ciebie oczekuje.

Śmiertelnie zmęczona Saga znowu zamknęła oczy.

— Ale dzieci... — szepnęła głosem tak cichym, że przypominał tchnienie wiatru. — Nie mogę ich opuścić. Ani Henninga.

— Jeśli tu zostaniesz, to umrzesz — tłumaczył jeden z aniołów. — A wtedy nie pomożesz nikomu.

Obaj podeszli do dzieci, poowijanych w koce, leżących na ziemi, i dotykali ich nędznych becików. Henning, który trzymał jedną rękę na kocu, poczuł, że tkanina wypełniła się miłym ciepłem, i tak już zostało.

Jeden z dżinnów, a może czarnych aniołów, czy jak je określić, dotknął twarzy Sagi i natychmiast nastąpiła zmiana. Krwotok ustał, cała krew zniknęła. Drugi anioł położył rękę na głowie Henninga. Nie powiedział nic, ale Henning czuł, jakby słowa przepływały przez jego ciało. Że oto spływa na niego siła wybranych, a także inne dziwne myśli, których znaczenia nie rozumiał. Nagle jednak poczuł się bardzo, niewiarygodnie silny, jakby był dorosłym.

Dżinn cofnął rękę i Henning był znowu strasznie samotnym i bezradnym jedenastolatkiem.

— To znaczy, że dzieci nie zabierzecie? — odważył się zapytać.

— Nie, nie, oni są potrzebni na Ziemi. Obaj. Poprowadzą walkę Ludzi Lodu ze złem. Oni są darem naszego władcy dla waszego dzielnego rodu. Nadchodzi decydujące starcie. Potomek jednego z tych malców uratuje Ludzi Lodu i całą ludzkość. Drugi z nich ma inne zadanie. A kiedy ich czas się dopełni, przyjdziemy i zabierzemy ich tam, gdzie jest ich miejsce.

Podnieśli Sagę z ziemi i z szumem skrzydeł ulecieli. Henning długo patrzył w ślad za nimi, gdy płynęli w powietrzu niczym czame ptaki na tlc rozjaśnionego łuną nieba. Las wokół niego stawał się na powrót ciemny.

Saga nie wiedziała, czy śni, czy przeżywa to wszystko naprawdę. Miała wrażenie, że lecą ponad wysokimi szczytami gór i ponad wodami. Trwało to długo, bardzo długo. Była zbyt zmęczona, by rozmawiać, pozwalała się nieść, jakby płynęła w strumieniu powietrza, nie była nawet w stanie myśleć, nie czuła niczego, nie zastanawiała się nad tym, co się z nią stanie.

Ponownie znaleźli się nad lądem. Jakaś bardzo dziwna okolica, prawie bez roślinności, z górami, które wyglądały, jakby je ukształtowały potężne wirujące prądy. To tu, to tam z ziemi wydobywały się kłęby białej pary.

Obniżyli lot i wylądowali pośród groteskowych olbrzymów i potworów nad połyskującą w głębokiej jamie wodą.

Dimmuborgir, przemknęło jej przez myśl. To tutaj.

Została zniesiona w dół przez jedną z tych mrocznych jaskiń, tylko że bez wody. Wąska studnia była tak głęboka, że kręciło się jej w głowie.

I oto znalazła się we wspaniałym pałacu o połyskliwych, czarnych ścianach. Na jej spotkanie szedł on! Wyższy od wszystttich innych istot w tej sali. Jeszcze piękniejszy niż w jej wspomnieniu. Szedł i uśmiechał się, a ona bez słowa padła mu w ramiona. Długo tak stali. Nieskończenie długo, rozkoszując się swoją bliskością.

A potem zaczęli rozmawiać o dzieciach.

Mały Henning natomiast został sam w ciemnym lesie. Malcy leżeli cicho, spali. Słychać było tylko rozpaczliwe, przejmujące szlochanie Henninga.

Wziął alraunę i zawiesił ją sobie na szyi. Dziwne, jak ładnie ułożyła się na jego piersiach, jakby tam było jej miejsce, najwyraźniej czuła się u niego dobrze. Ostrożnie zapakował wszystkie rzeczy na dwukółkę. Niemuwlęta ułożył na podłodze wózka, żeby nie pospadały, po czym wdrapał się na siedzenie i zaciął konia.

— Nie bójcie się niczego, chłcypcy — powiedział swoim dziecinnym ufnym głoscm, teraz zdławionym od płaczu. — Henning będzie się wami opiekował. A kiedy mama i tata wrócą, to już wszystko będzie dobrze. Oni naprawdę niedługo wrócą, poczekajcie tylko trochę.

I pojechali do dumu, do Lipowej Alei, gdzie nikt na nich nie czekał.